

Katarzyna Anna Gieracz

PO TAMTEJ
STRONIE
TĘCZY

NOVAE RES

Katarzyna Anna Gieracz

PO TAMTEJ
STRONIE
TĘCZY



NOVAE RES

Wszystkim kobietom, które kocham

Opisane wydarzenia i główni bohaterowie powieści są wytworem wyobraźni autora, a fakty historyczne i urzekająca sceneria Nikaragui stanowią jedynie ich tło.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

ROZDZIAŁ XVII

ROZDZIAŁ XVIII

ROZDZIAŁ XIX

ROZDZIAŁ XX

ROZDZIAŁ XXI

ROZDZIAŁ XXII

ROZDZIAŁ XXIII

ROZDZIAŁ XXIV

ROZDZIAŁ XXV

ROZDZIAŁ XXVI

ROZDZIAŁ XXVII

ROZDZIAŁ XXVIII

ROZDZIAŁ XXIX

ROZDZIAŁ XXX

ROZDZIAŁ I



Dzisiaj kończę osiemdziesiąt pięć lat. Aż mi wstyd, że tyle dożyłam, kiedy wszystkie moje miłości już dawno błakają się po zaświatach. Ale dożyłam i kropka. I dzisiaj mam urodziny. I spędzam je w domu opieki La Salette w podparyskim Plaisir, który – zapewniam – nie ma nic wspólnego z cudami, a tym bardziej z przyjemnością. Pensjonariusze od rana szykują się do hucznych obchodów tego jubileuszu, a ja najchętniej nie wychodziłabym z łóżka. Dotarłam do miejsca, gdzie nurzanie się we wspomnieniach jest dużo bardziej ekscytujące niż otaczająca mnie rzeczywistość. Owsianka na śniadanie, klopsiki z ryżem na obiad, gotowane owoce na podwieczorek i maczane w mleku herbatniki na kolację. Wszystko mdłe i lekkostrawne, by nie narażać opiekujących się nami pielęgniarek na dodatkowe sprzątanie po żołądkowych rewolucjach.

Od dawna marzę o krwistym steku z czerwoną fasolą, ale nawet z okazji mojego święta odmówiono mi tej przyjemności. Bo po pierwsze, jak niby miałabym go zjeść bez uszczerbku dla resztek uzębienia, a po drugie, rzekomo mogłabym nie przeżyć tak wybuchowej potrawy. Straciłam zatem kulinarny powód, by uczestniczyć w przyjęciu, gdzie daniem głównym będzie legumina z moreli. Zresztą żadne, absolutnie żadne z moich urodzinowych życzeń nie zostanie spełnione. Nie zapalę cygara, nie wychylę szklaneczki brandy, nie zaśpiewa dla mnie „Padam, padam” paryski Wróbelek. Siostra Amelia – chuda mysz ze zwierzęco rozwiniętym zmysłem powonienia, która pilnując podopiecznych w parku, wyczuwa tytoń w toalecie na ostatnim piętrze naszego pałacu, omal nie wyzionęła ducha, krztusząc się ze śmiechu podczas lektury listy moich urodzinowych zachcianek. Po co zatem, pytam, wychodzić spod kołdry? Nowej – zaznaczam – kołdry puchowej, ufundowanej przez syna pana Girrac z wdzięczności, że zdołał umieścić tu ojca poza kolejnością.

Otóż nie mogę zawieść moich bezzębnych przyjaciół. Oni z utęsknieniem czekają na podobne uroczystości, które ubarwiają na chwilę śmiertelnie poważne i przewidywalne życie pensjonariusza La Salette. Każde urodziny, choć nieuchronnie przybliżają każdego z nas do wyjścia tylnym drzwiami bez użycia własnych nóg, są jednakże celebrowaniem okruchów życia.

Chcąc nie chcąc, zakładam perłowy naszyjnik, moją najlepszą jedwabną sukienkę w kolorze bladego różu i satynowe, już mocno zdezelowane, pantofle. Splątam resztki włosów w niewielki supeł z tyłu głowy. Maluję usta czerwoną, a jakże, pomadką. Jestem gotowa wyjść ze swojej celi. Ostatnie spojrzenie w lustro... i jak co dzień ze zdumieniem spotykam srebrnowłosą staruszkę. Gdyby nie to, że jej palec styka się z moim na gładkiej tafli, mogłabym udać, że jej nie znam. Trudno mi uwierzyć, że to zwiędłe ciało wzbudzało kiedyś wielką namiętność, że odczuwało nienasycone pragnienie, że było pieszczone, obsypywane pocałunkami. Gdy mówią, że dobrze wyglądam, odpowiadam z przekąsem, że ropuchy też wyglądają dobrze. Poznają siebie tylko po oczach, które ponoć są zwierciadłem duszy, u mnie wciąż żywej i namiętnej.

Moje oczy... jasnoniebieskie, już nieco wyblakłe i zasnute obwisłą powieką, lśnią tak samo, jak wtedy, gdy pierwszy raz pocałował mnie mężczyzna, gdy stąpałam w białej sukni po kamiennych stopniach katedry w Granadzie, gdy smakowałam zakazanej miłości, która obdarowała mnie tak szczerze.

Nie wiem, ile jeszcze zostało mi czasu, zanim dołączę do nich po tamtej stronie tęczy... Ale każdej nocy na skrzydłach snu wracam do dawnych dni... I znów jestem z nimi...

ROZDZIAŁ II



Byłam wtedy uczennicą przyklasztornej szkoły żeńskiej w Granadzie. Trafiały tam wszystkie dziewczęta z lepszych rodzin, bynajmniej nie tylko z powodu odpowiednio wysokiego poziomu żeńskiej edukacji. Chodziło o to, że w czasach, gdy napływająca z Północy rozpusta wdzierała się do najznamienitszych nikaraguańskich rodów, zakonnice Miłosierdzia Maryi dawały niemal stuprocentową gwarancję zachowania dziewictwa swych podopiecznych.

Otoczona wysokim kamiennym murem porośniętym purpurową bugenwillą długo nie wiedziałam, że istnieje inne życie niż tylko nauka, poranne dziesiątki różańca i wieczorne litanie, plewienie przyklasztornego warzywnika, próby szkolnego chóru, popołudniowe marsze po kamiennym dziedzińcu pod czujnym okiem siostry Weroniki. Tylko w wakacje i święta furta klasztorna uchylała się dość szeroko, by móc opuścić ten zacny przybytek i na jakiś czas wrócić do rodziny. Zwykle wysyłano po mnie ciotkę Matyldę, która przewoziła mnie jak szczególnie niebezpiecznego więźnia. Wsadzała mnie do powozu, którym Javier podjeżdżał pod samą szkołę, i wypuszczała dopiero pod drzwiami bielonego domu.

Rodowa posiadłość Badenbrocków, mieściła się na obrzeżach Nandaime, jakieś półtorej mili na północny zachód w kierunku Santa Teresa. Od małego dziecka chowano mnie w iście niemieckim porządku. Właściwie nie powinnam się dziwić, w końcu dziadkowie ze strony ojca przybyli do Nikaragui z okolic Heidelbergu. Odkąd zaczęłam mówić i chodzić, obawiano się, że wpadnę w jakieś tarapaty i przyniosę wstyd rodzinie. Chłodny chów zdawał się być na to jedynym lekarstwem. Rzadko byłam przytulana i brana na kolana przez rodziców, o babce nawet nie wspomnę. Jedynie ciotka Matylda pozwalała sobie na okazywanie odrobiny czułości, ale tylko wtedy, gdy nikt tego nie

widział. Nauczyłam się żyć niezauważalnie, jak zjawa przemykać obok zajętych ważnymi sprawami dorosłych, byle nie stać się powodem czyjegoś gniewu. Zanedbany przez ludzi mój zmysł dotyku z powodzeniem zaspokajała szarobura suka Luna, która brutalnie pozbawiona swoich bękartów, z lubością matkowała wałęsającemu się samotnie dziecku.

Życie w rodzinie rozkwitło dopiero po narodzinach mojej młodszej siostry – Isabel. Z matczynej piersi, jałowych dla mnie, tryskało mleko niczym woda z fontanny w granadyjskim parku. Niemal w tym samym czasie po raz pierwszy zaowocowały posadzone sześć lat wcześniej przez babkę Gertrudę krzewy kawowców. Piękna, lecz smutna twarz matki pojaśniała z radości i choć nie ja byłam tego przyczyną, poczułam się najszczęśliwszą istotą pod słońcem. Po zaledwie roku łono matki nosiło kolejne życie. Jakby w odpowiedzi na ten cud, kawowce rodziły jak szalone małe czerwone kuleczki, zasypując uprzednio całe ranczo białym, kwiatowym puchem. Grzałam się w miłości, którą matka obdarzała moje siostry i w zupełności mi to wystarczało.

Codziennie przez trzy godziny uczyłam się pod okiem dońy Luizy, potem bawiłam się w patio z Isabel i Paulą, po obiedzie chodziłyśmy wspólnie z matką, ciotką i dziewczynkami na dalekie spacerunki. W martwych dotąd murach rozbrzmiewał dźwięczny śmiech mojej matki. Jak perliczka szczebiotała do swoich czarnookich piskląt, a że te pisklęta uwielbiały moje towarzystwo, to i na mnie patrzyła z dużą przychylnością. Zjadłam wtedy tyle deserów, że wystarczyłoby mi już na całe życie – pieczone banany w karmelu, ryż na mleku ze szczyptą cynamonu, mango i jocote obgotowywane w słodkim syropie, a nade wszystko ulubione – tres leches, biszkopt nasączony skondensowanym mlekiem i udekorowany bitą śmietaną, bez którego niedziela nie była niedzielą. Tak dogadzała nam Flora, która trafiła do *unsere Familie*, kiedy babka wyszukiwała wśród okolicznych chłopek najlepszą kandydatkę do roli mojej mamki. Monstrualne piersi Flory mogłyby wykarmić połowę niemowląt w Nandaime. Kiedy przypadkiem okazała się też wyśmienitą kucharką, Gertruda bez skrupułów wyrzuciła starą gospodynię i zmusiła Florę do zamieszkania na ranczo z całą swoją rodziną. Miała babka nosa, bo mąż Flory – Javier także okazał się

prawdziwym skarbem. Jak nikt inny znalazł się na ziemi i szybko pojął prawa, jakimi rządzą się kapryśne kawowce.

Trwającą cztery lata sielankę przerwało jedno zdanie rzucone przez ojca mimochodem, między jednym a drugim kęsem pieczeni z młodego wołu, który poświęcił życie w imię niedzielnego obiadu:

– Rozmawiałem z Siostrą Weroniką. Jest już miejsce dla Ewy.

Powiedział to tak sucho, tak beznamiętnie, jak gdyby chodziło o oddanie sąsiadowi na przechowanie kilku worków kukurydzy. Zrozumiałam, że to nie nagła decyzja. Wszystko było skrupulatnie zaplanowane. Miałam dopiero dwanaście lat. Byłam nawet młodsza niż inne dziewczęta przyjmowane do szkół z internatem. Czułam się zdradzona i nie wierzyłam ojcu, że to dla mojego dobra. Mogła mnie wciąż uczyć doña Luiza, która nadal z nami mieszkała, bo wkrótce miała się zająć edukacją Isabel i Pauli.

W Granadzie byłam dotąd tylko dwa razy i choć od Nandaime dzieliła ją zaledwie godzina drogi, wydawało mi się, że to koniec świata. Obraziłam się na ojca i matkę, znienawidziłam siostry – lukrowane laleczki, które bez żadnego wysiłku tak zawładnęły sercami rodziców. Postanowiłam nie korzystać z przysługujących mi odwiedzin i nie przyjeżdżać do domu, aż do Świąt Bożego Narodzenia, kiedy kończył się rok szkolny.

Lata spędzone wśród innych ofiar rodzicielskiej ambicji mijały jednak dość szybko. Dla kogoś, kto jak ja przywykł do rygoru, klasztorne życie okazało się wcale nie takie najgorsze, a zakonnice wcale nie takie surowe. Nauka szła mi nadzwyczaj dobrze, choć uczyłam się głównie z nudów, bez pretensji do bycia prymuską. Szczególnie upodobałam sobie lekcje języka angielskiego i francuskiego, na których odkryłam w sobie zamiłowanie do słowa i pragnienie dalekich podróży. Wybaczyłam rodzicom zesłanie, kiedy zobaczyłam, jak panny ze znacznie bogatszych i szacowniejszych domów, będące oczkami w głowie swoich ojców, przy najbardziej nawet rozdzierającym serce pożegnaniach i tak zostają niemal wepchnięte za klasztorną furtę.

Każdego roku kilka tygodni wakacji spędzałam w Nandaime. Życie w domu nie różniło się szczególnie od tego w szkole. Prawie codziennie musiałam uczestniczyć w wieczornym nabożeństwie w Kościele pod

wezwaniem świętej Anny. Matka i Matyllda nie dawały mi odpocząć od modlitwy i przymusowych kontaktów z Panem Bogiem, których miałam aż nadto w szkole. Nie mogłam znaleźć wytłumaczenia dla rozbuchanej dewocji Matylldy, w której żyłach płynęła przecież krew pragmatycznej Niemki. Babka Gertruda, córka ewangelickiego pastora Kościoła Opatrzności Bożej w Heidelbergu nie widziała potrzeby, by po przybyciu do Nikaragui szukać swoich współwyznawców. Interesowały ją zasadniczo dwie kwestie – co jest w nowej ojczyźnie lepiej widziane – bycie katolikiem czy protestantem, a także do jakiego kościoła jest bliżej. Gertruda traktowała świątynię po faryzeuszowsku, jako miejsce, gdzie można zasłyszeć najgorętsze nowiny i dobić najlepszego targu. Matyllda modliła się w dwójnasób.

Na szczęście znalazłam sposób, by od czasu do czasu unikać wyjazdu do kościoła. Około godziny piątej po południu, wraz z pierwszym uderzeniem spiżowego dzwonu ogłaszającego mieszkańcom Nandaime porę wyjścia na nabożeństwo, dopadały mnie różne przypadłości. Zazwyczaj bóle głowy, ale zdarzały się też nudności i skurcze żołądka. Matka dawała mi do picia regulujący trawienie sok z mięszu mamoncillo, a kiedy i po nim nie przestawałam narzekać, dla świętego spokoju posyłała Javiera po najlepszego w całym departamencie doktora Carlo D'Annunzio, który dwa razy w tygodniu przyjeżdżał z Granady do Nandaime. Ten przystojny mężczyzna z gustownie przyciętą bródką w szpic i delikatnie zawiniętymi wąsikami miał najwyraźniej zdolność wnikania w umysły swoich pacjentów.

Z poważną miną badał mój puls, zaglądał w oczy i kazał wyciągać język. Bez cienia lubieżności przykładał ucho do dziewiczej piersi i wsłuchiwał się w trzepocące jak uwięziony ptak serce. Potem szelmowsko puszczał do mnie oko, zwracając się jednocześnie do matki z zaleceniem podawania naparów z melisy i zapewnienia mi spokoju przez co najmniej tydzień.

Stan mojego zdrowia uległ zadziwiającej poprawie od pewnego lutowego wieczoru, gdy w ławie parafialnej świątyni doznałam objawienia. Przeszył mnie dreszcz, po mojej szyi przemaszerował rząd mrówek, a drobne włoski na rękach podniosły się na baczność jak u prosięcia. Było mi na przemian zimno i gorąco. Miałam nieodparte

przeczucie, że czyjś wzrok prześlizguje się po moim ciele. Nie sposób było się wiercić, będąc wciśniętą pomiędzy kościstą Matyldę a przyjemnie miękką dońę Luizę. Musiałam cierpliwie doczekać do komunii, by wracając od ołtarza, móc spojrzeć na tylne rzędy. Nie myliłam się. Błękitnoszare oczy wpatrywały się we mnie natarczywie. Kiedy nasze spojrzenia musnęły się przez chwilę, właściciel stalowych oczu jakby się wystraszył i opuścił w dół ciemną czuprynę. Wiedziałam na pewno, że nie kto inny, tylko on był sprawcą niezwykłych doznań.

Odtąd wszystkie choroby minęły jak ręką odjął. Ku uciesze matki i ciotki byłam gotowa do wyjścia na wszelkie modły, zanim Javier wyprowadził konie ze stajni. Co wieczór z drzeniem serca wypatrywałam w kościele cichego wielbiciela i uspokajałam się wówczas, kiedy odnajdywałam jego coraz śmielsze spojrzenie. Nie wątpiłam, że przyszedł tam tylko dla mnie. Mimo towarzystwa tak wielu przyzwoitek, czułam się jak na potajemnej schadzce.

Za każdym razem dostrzegałam inny, nowy szczegół jego wyglądu, co w warunkach tak skrajnej konspiracji nie było łatwe. Nie mogłam zatrzymywać na nim wzroku dłużej niż tylko chwilę, by, broń Boże, nie zdradzić powodu rozkwitu mojej pobożności. Wiedziałam już, że był całkiem wysoki, szczupły, miał pociągłą twarz i jasną karnację. Jego usta były dość wąskie, nos wydatny. Włosy raz wydawały się czarne, innym razem ciemnobrązowe, w zależności od światła padającego na ławki z okrągłego okna umieszczonego pod samym sklepieniem. Musiał lubić kolor niebieski, bo zwykle ubrany był w granatowy surdut, a pod szyją miał zawiązany błękitny fular. Wyglądał na kilka lat starszego ode mnie. Poza tym nic o nim nie wiedziałam – jak brzmiało jego imię, gdzie mieszkał i kim byli jego rodzice.

Pod koniec wakacji tajemniczy adorator przestał pojawiać się w kościele Santa Ana, co tym razem prawdziwie odchorowałam. Byłam zasmucona i rozbita, głowiłam się, czy już stracił mną zainteresowanie, czy gdzieś bezpowrotnie wyjechał, czy może nawet zachorował i umarł. Mój odmienny stan od razu zauważyła ciotka Matylda, która po kilku dniach wnikliwej obserwacji namówiła matkę na ponowne sprowadzenie lekarza. Doktor D'Annunzio i tym razem nie zawiódł.

– Miłość? – wyszeptał mi do ucha, kiedy zakończył szczegółowe

ogłędziny.

Otworzyłam usta ze zdziwienia, a moje policzki oblał pałący rumień. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się, czy to jest właśnie to magiczne uczucie, o którym szeptałyśmy nocami z dziewczętami ze szkoły. Mimo ciągłych podejrzeń rodziny co do mojej skłonności do grzechu, byłam czysta jak łąza. Choć piętnastoletnie ciało budziło się do życia innego, niż to, jakie wymarzyła sobie dla mnie matka, wciąż wypełniała mnie naiwność dziecka. Nie wiedziałam, co to miłość. Gdy jednak w Santa Semana ponownie ujrzałam skrytego wielbiciela, serce chciało mi wyskoczyć z piersi. Przepelniała mnie taka radość, że zaczęłam się nawet obawiać, że nie zdołam utrzymać jej powodu w tajemnicy. Oczy śmiały mi się nawet wymowniej niż usta. Nie chodziłam, a podskakiwałam. Głos mi drżał. Pierś falowała. Miałam ochotę wykrzyczeć całemu światu – to jest właśnie miłość!

Wyjazd do szkoły zbliżał się nieuchronnie i choć martwiło mnie rozdzielnie z ukochanym, cieszyłam się, że wreszcie będę mogła się podzielić się z kimś tym, co czuję, wylać z siebie choć trochę buzującego we mnie miłosnego nektaru, bo utrzymywanie wszystkiego w absolutnej tajemnicy bardzo mi już ciążyło.

Za radą Klary, z którą dzieliłam klasztorną celę, zaczęłam pisać sekretny pamiętnik. Przelewałam na papier targające mną emocje, a słowa same układały się w kilkustronicowe poematy. Pisałam też listy do nieznanego młodzieńca z kościoła Santa Ana, mając nadzieję, że pewnego dnia sam je przeczyta. Fundamentem tego uczucia były tylko ukradkowe spojrzenia, a jednak z dnia na dzień, nawet podczas rozłąki, przybierało ono na sile.

Zaczęłam się jeszcze bardziej przykładać do nauki, by z powodu jakiejś kary, na którą wcale nie było trudno zasłużyć, nie zostać pozbawioną przywileju przyjazdu do domu. Moje wysiłki dostrzegła wąsata siostra Wiktoria. W nagrodę przesunęła mnie do pierwszego rzędu szkolnego chóru i w czwartki odjęła obowiązek plewienia grządek w przyklasztornym warzywniku.

Dni mijały, a ja nie mogłam doczekać się dorocznego odpustu w Nandaime na cześć naszej patronki. To był festiwal radości, tańca, muzyki, jadła i napoju, na który przybywali tłumnie mieszkańcy wielu

okolicznych miejscowości. Nie na darmo nazwa naszego miasteczka wywodzi się od słów: strumień i obfitość. Siedząca na tronie święta Anna i jej równie święty mąż Joachim wyruszyli na ramionach wyróżnionych przez proboszcza mężczyzn w długą wędrówkę uliczkami Nandaime. Tej zacnej parze towarzyszyli kolorowi tancerze, którzy w czerwonych pelerynach, pstrokatych kapeluszach na głowie i maskach na twarzy wirowali w tradycyjnym diabelskim tańcu.

Próżno liczyłam, że znów zobaczę mojego ukochanego. Nie zdołałam go wypatrzeć ani wśród nieprzebranych uczestników parady, ani wśród korowodu gawiedzi z barwnymi wstęgami i kwiatowymi łańcuchami. Przed oczami migotały mi maski, w uszach dudniły bębny i świdrowały trąbki chicheros, w nozdrza wdzierały się zapachy zwierzęcych odchodów, tortilli i pieczonych plantanów, ciągle ktoś mnie szturchał i przydeptywał. Poczulałam, jak ziemia zaczyna wirować, jakby także poddała się zbiorowemu szaleństwu. Moje nogi nie nadążyły za tą karuzelą. Tylko silne ramię Matyldy, która w porę zauważyła moją bladość, uchroniło mnie przed męczeńską śmiercią poprzez stratowanie przez końskie kopyta i stopy pijanych od szczęścia i wina ludzi. Wróciliśmy wcześniej do domu, zanim jeszcze szacowni Rodzice Przenajświętszej Paniienki dotarli z powrotem do kościoła.

Potem było jakieś kolejne i kolejne święto. Błękitnooki wielbiciel przepadł jak kamień w wodę, co pogrążyło mnie w coraz większej rozpacz. Gdyby nie wsparcie Klary, moje życie znów niebezpiecznie zbliżyłoby się do krawędzi. Umarłabym z tęsknoty i nikt poza moją przyjaciółką, i może jeszcze doktorem D'Annunzio, nie domyślałby się nawet przyczyny odejścia piętnastoletniej dziewczyny.

Cierpiałam w milczeniu, zapisując kolejne strony pamiętnika.

Znowu nie było go w kościele. Ile jeszcze przyjdzie mi czekać, kiedy go zobaczę? Być może zapomniał już o mnie i teraz jego stalowe oczy wpatrują się w kogoś innego, a może został zmuszony do rozłąki i cierpi ogromnie, tak jak ja? A może, oby to nie była prawda, leży zimny i głuchy w ciemnym grobie? Boże, daj mi cień nadziei, że nie wyplakuję oczu nadaremno.

Po kilku chmurnych miesiącach znów zaświeciło dla mnie słońce. W Święto Niepokalanego Poczęcia Maryi zobaczyłam go przy wyjściu z kościoła. Wypiękniał. Zmężniał. Wyrósł. Posłał mi najgorętsze z gorących spojrzenie i odzyskałam wiarę w boskie miłosierdzie. Nie był sam. Towarzyszyły mu dwie kobiety, jedna młodsza, druga trochę starsza. Kobiety łaskawie potakiwały głową w odpowiedzi na płynące zewsząd pozdrowienia.

Młodsza miała wygląd dość pospolity, wszak czarne włosy i śniada cera nie są w Nikaragui niczym nadzwyczajnym, ale ta starsza wyróżniała się z tłumu subtelną urodą, jasną skórą i niezwykle gustownym strojem. Głowę tej damy ozdobił imponujący kapelusz, na którego założenie miejscowym elegantkom z pewnością zabrakłoby odwagi.

Zatem żyje. Nie wiem skąd, ale wrócił. Jest. Kocha.

Brzmi niewiarygodnie, lecz tak na odległość kochaliśmy się przez niemal dwa lata. I nikt, oprócz Klary, nie miał o tym pojęcia.

Moją radość z powrotu do domu po ukończeniu szkoły zniweczyły wieści o nadchodzących zmianach w życiu rodziny von Badenbrock. Ojciec, który od dawna udzielał się politycznie, został nieoczekiwanie wybrany na urząd gubernatora departamentu Granada. Cała rodzina była bardzo podekscytowana tym znaczącym awansem, zwłaszcza, że oprócz istotnej poprawy dochodów i wskoczeniu na kolejny szczebelek drabiny w hierarchii społecznej, wiązał się on z przeprowadzką do Granady i zamieszkaniem w pięknej rządowej rezydencji. Dla moich sióstr było to znaczne udogodnienie, gdyż mogły rozpocząć kształcenie w szkole dla dzieci z wyższych sfer bez konieczności rozstawania się z rodzicami. Matka, krążąca dotąd tylko pomiędzy kościołem a domem, miała wyjść na salony i zacząć udzielać się towarzysko jako żona gubernatora.

Słowem, kiedy niemal cała rodzina tryskała radością na myśl o malowniczej przyszłości, jedynie ja i Matylda miałyśmy posępne miny. Ciotka kochała spokojne życie na obrzeżach Nandaime z ukochanym kościołem Santa Ana, w którym, jak mawiała, przyjmie wszystkie w życiu sakramenty, z wyjątkiem kapłaństwa i małżeństwa. Mnie cierpienia dodawała myśl, że mogę już nigdy nie zobaczyć

ciemnowłosego młodzieńca. Wiedziałam, że ojciec w życiu nie zgodziłby się na to, byśmy zostały z Matyldą w Nandaime.

Musiałam działać. Nie przepuściłam żadnego nabożeństwa, licząc, że jakimś cudem uda mi się powiadomić ukochanego o moim wyjeździe. Tyle, że on znów przepadł bez wieści.

W takich okolicznościach nie mogło mnie cieszyć pożegnalne przyjęcie, które ojciec wyprawił przed objęciem nowego urzędu. Choć powinno, bo już same przygotowania zapowiadały nową erę w naszym zaściankowym życiu. Matka po raz pierwszy zabrała mnie i siostry na zakupy z prawdziwego zdarzenia. Wybierałyśmy tkaniny, z których sprawne ręce jedynej w Nandaime krawcowej wyczarowały oszałamiające kreacje. Zamieniłam skromną granatową sukienkę z białym kołnierzykiem na koronkowe cudo w odcieniu kości słoniowej. Stałam się również posiadaczką mięciutkich pantofli z cielęcej skóry z atlasową kokardą. W dniu przyjęcia do domu została sprowadzona doña Cristina, która głowy wszystkich kobiet zmieniała w ptasie gniazda.

Matka i ciotka, noszące na co dzień białe koszule i proste, bawełniane spódnice, zachwyciły mnie w nowej odsłonie. Wyglądały niemal tak samo wytwornie, jak owa dama w kapeluszu towarzysząca mojemu ukochanemu.

Dom lśnił czystością. W salonie pośrodku stał ukwiecony blad różowymi orchideami stół, a na tarasie i w ogrodzie poustawiano mnóstwo maleńkich owalnych stoliczków jak w prawdziwej kawiarni, by po głównym posiłku goście mogli prowadzić swobodne rozmowy w kameralnym gronie. Jednak mimo tych wszystkich wspaniałości czułam się jak osa w ulu. Myślałam tylko o nim.

Kwadrans po szóstej w salonie siedzieli prawie wszyscy zaproszeni, tylko trzy wolne miejsca pośrodku stołu pozostały puste. Ojciec chciał już otworzyć przyjęcie przemową, ale wciąż czekał na brakujących gości. W tym czasie z nudów zdążyłam oskubać wszystkie płatki orchidei leżącej jako przybranie na moim talerzu. „Jedyni mądrzy, którzy zrezygnowali z tej maskarady” – myślałam o spóźnionych.

Gdy Flora powiadomiła o przybyciu ostatnich gości, ojciec poderwał się od stołu. Chwilę później wprowadził do salonu przystojnego mężczyznę w sile wieku. Tuż za nim weszła drobna,

niezwykle elegancka jasnowłosa kobieta, której twarz wydała mi się znajoma. Za nią podążał ciemnowłosy młodzieniec w granatowym surducie. Patrzyłam oszołomiona, bo w tym szykownym, młodym mężczyźnie ledwie rozpoznałam mojego tajemniczego wielbiciela. Z tak bliska jeszcze go nie widziałam. Nasze spojrzenia natychmiast się spotkały i choć nie fizycznie, to jednak gorąco przyłgnęliśmy do siebie. Na odległość zaledwie kilkunastu stóp czułam jego zapach, ciepło i miękkość.

Boże, Boże... To nie może być prawda! Moje serce trzepotało radośnie. Po dwóch latach zerkania na niego ukradkiem, miałam sposobność usłyszeć jego głos i dokładnie mu się przyjrzeć.

Ojciec przedstawiał po kolei spóźnionych gości, zerkając ukradkiem na kartkę z litanią nazwisk, którą zaradnie wysunął spod swojego talerza.

– Senator Fernando... Antonio Primo de Barroso... y de Selgado Prado z Granady, współtwórca mojego politycznego sukcesu, jego pochodząca z Paryża małżonka, madame Laura Maria de... Bouchard Barroso i chluba rodziny – Federico, który poszedł w ślady ojca i zgłębia nauki prawne na uniwersytecie w Leon.

Dostojna rodzina została usadzona po przeciwnej do mnie stronie stołu. Nie pamiętam, co jadłam ani co piłam, w ogóle nic nie pamiętam poza jego twarzą z młodzieńczym, delikatnym jeszcze zarostem, ciemnobrązową czupryną i stalowymi oczami, których barwę, jak zauważyłam, odziedziczył po europejskiej matce, delikatnymi dłońmi, w których trzymał srebrne sztucce oraz błękitnym fularem ożywiającym śnieżnobiałą koszulę. On też raz po raz spoglądał na mnie, pełnym tęsknoty i pragnienia wzrokiem, śmielszym niż dotąd, ale wciąż dalekim od zuchwałości. Miałam sobie za złe, że pozwoliłam upiąć długie, jasnokasztanowe włosy w tak okropny kokon, ale przecież nie mogłam nawet przypuszczać, że doña Cristina czesze mnie dla Federico.

Po kolacji większość gości wyszła na patio. Podmuch rzeńskiego powietrza był mi potrzebny jak rzadko kiedy. Cały czas, niczym w gorączce, nachodziły mnie zlewne poty. Służba szybko uwinęła się z udekorowaniem ogrodowych stolików, które godzinę przedtem pośpiesznie zbierano, gdy tylko pierwsze krople ciepłego deszczu

pojawiły się na posadzce z czerwonej terakoty. Panie przysiadły się do siebie i żywo plotkowały przy kawie, panowie przechadzali się raczej niespiesznie, paląc opasłe cygara.

Ojciec, mecenas Barroso i doktor D'Annunzio byli pochłonięci rozmową. Obok nich stał Federico. Rozglądał się niespokojnie, dopóki nie znalazł mnie przy jednym ze stolików. Nie ośmielił się jednak podejść, zwłaszcza że ciotka Matylda i doña Luiza nie odstępowały mnie na pół kroku. Moje serce wyrywało się do niego, ale ciało musiało tkwić w towarzystwie leciwych dam i wysłuchiwać debat na ważne tematy – której z dziewcząt podejrzanie zaokrąglił się brzuch, czy dodanie kurczaka do nacatamal jest innowacją czy profanacją, jak paskudne dziecko urodziła synowa Nurii Casillas, ile kobiet zbrukał grasujący przed laty po okolicy jeździec z czerwoną chustą na twarzy. Kiedy ciężko grzeszyłam, nadziejąc w myślach na ruszt ostatnią z dam, bo pozostałe już od dawna smażyły się na różnie niczym dorodne prosiaki, ojciec niespodziewanie przywołał mnie do siebie. Ciotka natychmiast ruszyła za mną, ale brat powstrzymał ją ruchem ręki. Po chwili stałam obok Federico, którego twarz zapłonęła żywym rumieńcem. Ja też poczułam żar na twarzy – z emocji, że stoję tak blisko mojego ukochanego, i ze wstydu, że moja wyobraźnia posunęła się przed chwilą do wielokrotnego morderstwa.

– Moja córka Eva. – Ojciec poczekał na moje dygnięcie. – W tym roku ukończyła Szkołę Sióstr Miłosierdzia Maryi. Dodam, że z wyśmienitą cenzurą. Szczególnie wysokie noty uzyskała z literatury i języków obcych – angielskiego i francuskiego. Jest także niebywale religijna, wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazują, że zostanie w klasztorze.

Wstrzymałam oddech, słysząc, jakie plany mieli wobec mnie rodzice.

– Ależ drogi Maximilianie, jej uroda nie pozwoliłaby na to. – Roześmiał się tubalnie Barroso. – Mój Federico albo studiuje prawnicze książki, co mnie bardzo zadowala, albo przesiaduje w kościele, co mnie mniej zadowala. Też miałem niegdyś dwadzieścia lat i umiałem korzystać z uroków tego wieku. Sądzę, że obojgu, i twojej Evie, i mojemu Federico, przydałoby się więcej swobody – dodał poklepując

mojego ojca znacząco. – Może pozwolimy młodemu lepiej się poznać?

– Eva nigdy nie była sam na sam z obcym mężczyzną, sądzę, że czułaby się niezręcznie – zaproponował ojciec.

– Jest przecież dorosła. Chcesz nadal zamykać taką pannę przed światem? – zdziwił się Barroso.

– Cóż, masz rację przyjacielu. Z takim gentlemanem, jak twój syn, nic jej nie zagraża – ojciec i Barroso pozostawili nas samych.

Nieoczekiwanie znalazłam się w okolicznościach, o których marzyłam od niezliczonych miesięcy. Nie mogłam wykrztusić słowa. Federico także. Patrzyliśmy tylko na siebie tak samo rozkochanym wzrokiem jak w kościele.

– Evo... – po chwili Federico odważył się przemówić.

– Tak, Federico? – głos łamał mi się ze wzruszenia. Poznane przed chwilą imiona wypowiedaliśmy z nabożnym namaszczeniem.

– Ty wiesz... Ja tam zawsze dla ciebie – Federico postanowił nie tracić czasu na kurtuazyjną rozmowę.

– Wiem. Ja także... dla ciebie – szepnęłam, rozglądając się dookoła, czy ktoś się nam nie przysłuchuje. Bałam się, że zaraz wszyscy odkryją naszą tajemnicę i nie ominie mnie kara za lata okłamywania rodziców. Zadbają, bym już nigdy nie ujrzała Federico.

– Przeprowadzacie się do Granady, ja jeszcze dwa lata studiuję w Leon. – Federico gorączkowo planował nam najbliższą przyszłość. – Jeśli twoi rodzice pozwolą, chciałbym cię odwiedzać... – wyciągnął swoją dłoń w moim kierunku, jakby pragnął mnie dotknąć.

– No, gołąbeczki... – ciotka Matylda uznała, że jak na pierwszy raz spędziłam aż nadto czasu z dopiero co poznanym młodzieńcem.

– Miło sobie gruchacie, ale Eva jest potrzebna do opieki nad młodszymi siostrami. Ja już mam dość niańczenia. – Matylda bezceremonialnie popchnęła do przodu stojące za nią dziewczynki i podążyła w kierunku przysadzistej kobiety w słomkowym kapeluszu.

Federico i ja usiedliśmy razem z Isabel i Paulą przy jednym z ogrodowych stolików. Byliśmy zmieszani i rozmowa się nie kleiła. Na szczęście wkrótce podeszła do nas matka, zapraszając ponownie do stołu w salonie, gdzie na deser podano tort marcepanowy.

Tego wieczoru nie zamieniłam już z Federico ani słowa. Fernando

Barroso i jego rodzina opuścili przyjęcie jako jedni z pierwszych, tłumacząc się koniecznością wczesnego wyjazdu do Managui następnego dnia. Mnie wystarczyło tych kilka chwil, by czuć się wybranką losu, najszczęśliwszą panną w Nikaragui, a może i na całym świecie. Mój ukochany był wreszcie człowiekiem z krwi i kości, a nie tylko zmysłowym wytworem mojej wyobraźni. Nic mnie w nim nie rozczarowało, wszystko było wspaniałe – jego głos, zapach, cała jego fizyczność, to, co mówił, jak mówił, jak się śmiał, jak poruszał.

Do dnia wyjazdu do Granady nie myślałam już o niczym innym, jak tylko o kolejnym spotkaniu z nim w nowym domu. Przedmioty leciały mi z rąk, stale o czymś zapomniałam, nie słyszałam, co inni do mnie mówią. Ciotka Matylda przypatrywała mi się z kwaśną miną.

– Jedno zetknięcie z mężczyzną i tyle trudu włożonego w pobożne wychowanie poszło na marne! – prychnęła, pomagając mi w zbieraniu z podłogi rozsypanych pomarańczy, których nie zdołałam bez szwanku donieść z kuchni. Czułam, że za moimi plecami wszyscy w domu szepczą, że jestem zakochana.

ROZDZIAŁ III



Nowy dom okazał się rezydencją zbudowaną w stylu francuskich pałaców. Jego poprzedni właściciel, niejaki Jacques Dubois, przybył do Nikaragui z nadzieją zbiccia fortuny przy budowie kanału łączącego dwa oceany. Plany spełzły na niczym. Podczas gdy nasz rząd wciąż debatował nad tym, czy korzyści z tej inwestycji okażą się co najmniej tak duże, jak przypuszczalne straty, sprytni Amerykanie rozpoczęli już pierwsze prace przy kanale na terytorium Panamy. W tej sytuacji rozżalony monsieur Dubois nie widział dalej dla siebie miejsca w tak niestabilnym emocjonalnie i politycznie kraju. Wyjechał w siną dal, pozbywając się uprzednio europejskiej rezydencji, z czym ponoć miał nie lada problem, bo nikt nie chciał kupić dziwoląga bez patio z fontanną pośrodku, który zupełnie nie pasował do tutejszej zabudowy. Zdesperowany Francuz odsprzedał dom za śmieszłą kwotę temu samemu rządowi, którego niezdecydowanie zaprzepaściło jego świetlaną przyszłość. Nie wiem, czy to prawda, czy tylko jej część, wszak historię domu opowiadała znajoma matki Conchita Vera, a ona – wbrew temu jak się nazywała – lubiła dodawać kolorów pospolicie szarej prawdzie. Faktem jest jednak, że zamieszkałam w pałacu z kilkoma sypialniami, dwoma gabinetami, wielkim salonem dla gości i mniejszym do codziennego użytku. Nasze rodzime meble, na szczęście nieliczne, zdawały się skurczyć ze wstydu w tych przestronnych, wytwornych przestrzeniach z marmurowymi posadzkami.

Jedynie ogród był dużo mniejszy od tego w Nandaime. W zamian za deficyt gabarytów, ktoś go starannie zaplanował – od przestronnego dwupoziomowego tarasu z półkolistymi podcieniami odchodziły liczne małe alejki, które przecinały różnobarwne rabaty. Na samym końcu królowała owalna altana z sześcioma korynckimi kolumnami, spowitymi przez pnące się róże. Ogrodnik poprzednich mieszkańców musiał

szczególnie ukochać te kwiaty, bo ich różnorakie, niewątpliwie szlachetne odmiany i barwy wyparły przasne pelargonie, hiacynty i lwie paszczki. Nawet mur odgradzający rezydencję ozdabiały różane pnącza, a nie pospolity bluszcz czy bugenwilla.

Tak, wszystko było jak z bajki, ale nic nie cieszyło równie mocno jak posiadanie własnej sypialni. Od zawsze męczyło mnie dzielenie pokoju czy to z siostrami, czy z dziewczętami w szkole zakonnej. Najchętniej nie wychodziłabym z mojej pustelni, gdzie mogłam w spokoju oddawać się marzeniom o kolejnym spotkaniu z Federico.

Pragnienie to zdawało się być zresztą bliskie spełnienia, gdyż z rozmów rodziców wynikało, że szykują kolejne, tym razem powitalne, przyjęcie w nowym domu. Byłam pewna, że zostanie na nie zaproszona rodzina Barroso. Po kilku dniach od zasłyszania tej nowiny przed dom zaczęły podjeżdżać wozy, z których krzepcy, czekoladowi chłopcy w luźnych, białych koszulach wynosili wprost do naszej kuchni skrzynki wina i brandy, stopy krwistego mięsa i co najmniej dwa tuziny martwego ptactwa, kosze pełne warzyw i soczystych owoców. Wszystko najlepszego gatunku, z najlepszych hodowli i upraw. Kiedy nowo zatrudniona kucharka starała się uporać z górą jadła, służące w białych fartuszkach polerowały olejkim migdałowym nowo nabyte meble, a ogrodnik przycinał bujnie rozrastające się wokół tarasu róże, matka zarządziła wyjazd na zakupy.

Nasz powóz z trudem przeciął plac pod katedrą, tętniący o tej porze dnia życiem miejskiego targowiska. Naprędce sklecone stragany, które co dzień trzeba było składać i rozkładać od nowa, oferowały towar wszelkiej maści, barwy i zapachu. Obok smętnie zwisających główek kurczaków, parującej ostatnim tchnieniem wołowiny i oskarżających oczu tkwiących w odrąbanych świńskich łbach, na straganach leżały stopy różnobarwnych płodów natury: lubieżnie fioletowe, nabrzmiące od słońca bakłażany, żółtawe mango, delikatnie pomarańczowe melony, ciemnozielone, lśniące awokado, drobne koraliki jocotes, rozkosznie orzeźwiający cytrusy i ogromne nerkowce. Prosto z wozów sprzedawano kolorowe draże, ręcznie tkane, tęczowe spódnice, pieczone banany, ryż z fasolą zawinięty w liście plantanów, skórzane sandały, tytoń, gotowane kolby kukurydzy, vigoron, noże, rondle i gliniane dzbany, chrupiące

uszy świńskie, odurzający pinol, ziołowe maści i syropy, a nawet chińskie ciasteczka z wróżbą. Unosząca się nad wszystkim brzęcząca chmara much, która falowała niczym czarna chmura zwiastująca burzę, nie stanowiła istotnego problemu ani dla kupujących, ani dla sprzedających, którzy targowali się z nieziemską pasją, jakby na szali cynowej wagi kładli właśnie swoje życie. Wychowana w ciszy, chciwie chłonełam donośne głosy przysadzistych, kolorowych i hałaśliwych jak papugi Indianek, nieustraszenie walczących o najlepszą sztukę mięsa na stoły swoich białych panów, siarczyste przekleństwa grających w kości mężczyzn, szczery śmiech bosonogich dzieciaków, którym udało się coś podwędzić i żalosalne trele uwięzionych w miniaturowych klatkach kolibrów, łapanych na zlecenie zakochanych młodzieńców.

Wkrótce minęłyśmy pospólstwo i powóz skręcił w boczną uliczkę, gdzie ulokowały się najlepsze sklepy z zamorskimi towarami. Nawet mnie, dotąd niedbałej w kwestii mody, zawróciło się w głowie na widok wiszących w witrynach strojów. Tym razem sama wybrałam błękitną suknię, której dekolt i dół spódnicy przyozdabiała delikatna koronka. Choć matka namawiała mnie na pudrowy róż, byłam nieugięta. Już za czasów, gdy rzucaliśmy sobie z Federico ukradkowe spojrzenia podczas niedzielnych mszy, zauważyłam, że w jego ubiorach pojawiał się głównie kolor niebieski. Dziewczynki aż piszczały z radości, gdy donoszono kolejne sukienki do przymiarki. Matka zdecydowała się na atlasową suknię w barwie szmaragdu, która podkreślała jej nietuzinkową urodę. Po uzgodnieniu wszystkich detali z prowadzącą salon krawcową, sztab ciemnoskórych szwaczek miał zaledwie dwa tygodnie na uszycie pasujących na nas kreacji.

Jedynie Matylda nie mogła się na nic zdecydować. Omiatała sklep nieobecny wzrokiem, przestępowała z nogi na nogę, wzdychała, jakby oddawała ostatnie tchnienie, by w końcu oznajmić, że może ponownie wystąpić w sukni uszytej z okazji pożegnania przyjęcia. Na jej piegowatej twarzy nie dopatryłam się cienia radości z możliwości nabycia nowej garderoby w tak szykownym sklepie. Wciąż nie mogła się pogodzić z wyjazdem z Nandaime. Awans brata wyrócił jej świat do góry nogami. Nie była stworzona do wielkomiejskiego życia, które z takim entuzjazmem przyjęła reszta rodziny. Musiała tęsknić za

przysadzistym, niemodnym, białym domem, z którego okien roztaczał się widok na porośnięte kawowcami wzgórze, za rozsadzonym przez urodzaj sadem, gruntową, dziurawą drogą prowadzącą do posiadłości i przytulnym, brukowanym placem przed kościołem, na którym przystawała z kumoszkami z sąsiedztwa, wymieniając się ploteczkami. W nowym domu wszystko było dla niej za duże i zbyt obce. Poza tym, nie wierzyła, że Javier sam zdoła prowadzić plantację. Martwiła się o każdy krzak kawowca, który z takim zawzięciem sadiła Gertruda. Nieśmiało napominała swojego ojca, że bez pańskiego oka trud ich matki pójdzie na marne. Najchętniej zostałaaby w starym domu i zajęła się doglądaniem plantacji, ale nie starczyło jej odwagi, by odłączyć się od rodziny Maximiliana i zacząć żyć swoim życiem. Jedyne, co udało się jej wskórać u brata, to zapewnienie, że na całe dwa miesiące wakacji kobiety i dzieci będą zjeżdżać do Nandaime.

Wreszcie nadszedł ten wielki dzień i wraz z kilkudziesięcioma innymi gośćmi w naszym domu pojawiła się rodzina Barroso. Federico podszedł do mnie bez skrępowania i w trakcie całego wieczoru nie odstępował na krok, zwłaszcza, że wśród zaproszonych byli także inni młodzieńcy należący do towarzyskiej śmietanki Granady. Nie mogłam się w pełni cieszyć tak długo wyczekiwany spotkaniem, bo moje ciało po raz pierwszy zakleszczono w śmiertelnym, zdawało mi się, uścisku gorsetu. Z zazdrością spoglądałam na moje siostry, które z racji wieku, mogły jeszcze nosić luźne w talii sukienki. Nic nie jadłam i nie piłam, gdyż obawiałam się, że moje trzewia lada moment wybuchną. Jakby tego było mało, wlokłam za sobą imponujący kuper z utworzonej przez kilka warstw falban turniury.

Nie tylko ja cierpiałam w tym dniu z powodu tego modowego wybryku. Z nieba, jak to w marcu, lał się żar i wszystkie eleganckie damy wzdychały, jak mogły głęboko, i unosiły oczy do nieba, oczekując zapewne naiwnie, że stamtąd nadejdzie pomoc. Co Bóg mógł mieć do tego? Przecież same dały się uwięzić w żelaznych obręczach. Jedno było dla mnie pewne, czegoś takiego, tak perfidnego narzędzia tortur nie mogła wymyślić kobieta. Jego twórcą był zapewne mężczyzna, koniecznie nieszczęśliwie zakochany, którego dumę zdeptały atlasowe

pantofelki niewiernej kochanki.

Powietrze zastygło jak czekoladowa polewa na torcie, nie drgnął nawet jeden różany listek, w ruch poszły wachlarze i serwetki, panowie poluzowali kołnierzyki. Goście walczyli z upałem i stadem much lgnących do spoconych ciał.

Przez całe popołudnie nie mieliśmy z Federico okazji, by swobodnie porozmawiać. Za to przy pożegnaniu Federico zapytał wprost mojego ojca, czy mógłby mnie ponownie odwiedzić. Po latach skrywania naszej miłości w tajemnicy takie zachowanie wydawało mi się niesłychanie odważne. Ze zdumieniem przyjąłem odpowiedź ojca, który nie dość, że wyraził zgodę na jego odwiedzin, to jeszcze dodał, iż syn jego przyjaciela będzie zawsze miłym gościem w naszym domu. Stałem pąsowa i spocona, i gdy tylko zatrzaśnięto drzwi za państwem Barroso, nie zważając na to, że przyjęcie nadal trwało, pędem pobiegłem do swojej sypialni, dysząc równie ciężko jak babka Gertruda w ostatnich dniach swojego żywota.

Odtąd w domu nie mówiło się o niczym innym, jak tylko o mnie i Federico. Co ciekawe, sama Matylda stała się podejrzanie przychylna dla naszej znajomości. W czasie pierwszej wizyty Federico pozwolono nam spędzić sam na sam całe pół godziny w ogrodzie, w tym czasie zdążyliśmy wymienić się naszymi pamiątkami. Okazało się, że on także przelewał na papier skrywaną przez całe lata niewyrażoną miłość. Do dziś wspominam odurzający zapach różanych krzewów, których łodygi malowniczo oplatały altanę. Może to zasługa wcześniejszego deszczu, który docucił omdlałe od upału kwiaty, a może w stanie zakochania odczuwa się wszystko żywiej. Spędziliśmy w altanie tylko kilka chwil, bo nie uchodziło zniknąć na zbyt długo z oczu ciotki i matki, które akurat wymyśliły sobie dzierganie koronkowych serwetek na tarasie. Federico nie ośmielił się mnie jeszcze pocałować, ale tego popołudnia do szczęścia wystarczył nam dotyk dłoni.

Mój ojciec uznał, że syn państwa Barroso to najlepsza partia, jaka mogła mi się przydarzyć. W tych okolicznościach zasadne było odstąpienie od wcześniejszych postanowień co do mojej przyszłości. W końcu moje wstąpienie do zakonu nie przyniosłoby tak dużych korzyści dla całej rodziny, jak koligacja z jednym z najbardziej

szanowanych rodów w Granadzie. Ciotka uśmiechała się tylko pod nosem, gdy Federico stawał w drzwiach naszego domu z bukietem ulubionych przeze mnie białych orchidei.

Nie upłynęło wiele czasu, a dostojni państwo Barroso złożyli moim rodzicom wizytę. Drzwi do salonu zostały zamknięte nawet przed ciotką Matyldą, przez co siedziała naburmuszona przez resztę kolacji. Matka skarciła siostry, które nieustannie kręciły się na tarasie i próbowały podsłuchać rozmowę dorosłych. Wszyscy wiedzieli, że spotkanie dotyczy mnie i Federico. Drżałam z napięcia, przeczuwając, że właśnie ważą się nasze losy. Chodziłam po sypialni, kładłam się do łóżka, wstawałam, klęczałam, modliłam się i znów chodziłam. To była najdłuższa godzina w moim życiu. Udrękę przerwała młodsza siostra Paula, która została wysłana na górę, by sprowadzić mnie do salonu. Musiałam wyglądać okropnie, bo stojąca w drzwiach matka szepnęła, bym wróciła do sypialni i doprowadziła się do ładu. Byłam okropnie roztrzęsiona i z trudem ułożyłam sterczące niemal we wszystkie strony włosy. Gdy pojawiłam się w końcu w salonie, nieśmiało popatrzyłam na twarze tam zebranych. Odetchnęłam z ulgą, gdy dostrzegłam, że zarówno państwo Barroso, jak i moi rodzice wyglądali na zadowolonych. Ojciec kazał mi usiąść przy stole.

– Evo – zrobił pauzę, by podkreślić doniosłość swej wypowiedzi – mój przyjaciel Fernando Barroso i jego szanowna małżonka Laura zaszczytli nas swoją wizytą z powodu waszej sympatii z Federico. Wspólnie uznaliśmy – w tym miejscu uklonił się w stronę siedzących naprzeciw mnie gości – że czas najwyższy poczynić pewne zobowiązania i ustalić termin zaręczyn.

Co prawda, ojciec nie pomyślał nawet, by zapytać, co sądzę o, bądź co bądź, decyzji dotyczącej mojego życia, ale szeroki, szczery uśmiech, który natychmiast rozświetlił moje oblicze, wystarczył zebranym za odpowiedź i uznano sprawę za zamkniętą.

Ośmielony rodzicielskim przyzwoleniem Federico odważył się pocałować mnie w altanie. Delikatnie muśnięcie jego warg wystarczyło, by po raz pierwszy przez moje łono przetoczyła się nieznana fala gorąca. To dziwne uczucie pojawiała się już za każdym razem, gdy zostawaliśmy sam na sam.

– Teraz już jesteś moja, na zawsze – oświadczył zaraz potem uroczyście, jak gdyby właśnie złożył pieczęć na akcie własności. Nie mogłam uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę, że nic nie musimy ukrywać, że nikt nam nie przeszkadza. Bałam się, że to tylko sen, z którego lada moment się przebudzę.

Datę przyjęcia zaręczynowego wyznaczono już dwa tygodnie później. Matka, chcąc zapewne oczarować madame Barroso, ustaliła wyrafinowane menu, na które składały się głównie dania kuchni francuskiej: foie gras, przepiórcze jaja w ziołach, ryba zapiekana w delikatnym, chrupiącym cieście, zupa cebulowa, kurczak w migdałach, a na deser cytrynowa tarta pod kołderką z bezy i oczywiście crème brulêe. Trzeba było sprowadzić szefa kuchni z Grand Hotelu, gdzie zatrzymywało się wielu gości z Europy, bo nasza kucharka nie mogła nawet wymówić nazwy tych potraw, a co dopiero je przyrządzić. Jej gallo pinto, pieczone na ruszcie żeberka i smażone w głębokim oleju plantany nie miały sobie równych, ale uznano, że byłyby zbyt pospolite na taką okazję.

Tuż po obiedzie, ale jeszcze przed deserem, Federico stanął na baczność przed moim ojcem i drżącym głosem poprosił go o moją rękę. Następnie klękawszy przede mną, wsunął na mój serdeczny palec rodowy pierścionek z imponujących rozmiarów rubinem. Byłam tak odurzona tym, co dzieje się wokół mnie, że jak zwykle słowa uwięzły mi w gardle. Dopiero gdy mój ojciec zażartował, że przedłużanie tej ceremonii mogłoby nadwyrężyć kolana Federico, wróciliśmy do stołu.

Po części oficjalnej na stół wjechały desery i słodkie wina. Delektując się podaną na koniec kawą, nasi rodzice zaczęli prowadzić dysputy o najdogodniejszym terminie ślubu i wesela oraz miejscu, gdzie mielibyśmy zamieszkać już jako małżonkowie. Przysłuchiwaliśmy się tylko tym obradom, bo ani mnie, ani Federico nikt nie pytał o zdanie. Takie szczegóły nie miały zresztą dla nas wtedy znaczenia. Byliśmy zachłyśnięci radością, że wszystko poszło niezwykle gładko i zniknęły wszelkie przeszkody do bycia razem na zawsze.

Ustalono zatem, że ślub odbędzie się w pierwszym dniu Bożego Narodzenia, tuż po złożeniu przez Federico końcowych egzaminów, oczywiście w katedrze w Granadzie. Przyjęciem weselnym zajmie się

tradycyjnie rodzina panny młodej, a nasz nowy dom wydawał się wymarzonym miejscem na taką uroczystość. Po ślubie pomieszkamy trochę sami w Nandaime, ale – jak zaznaczył Fernando Barroso – kiedy Federico nacieszy się już młodą żoną, będzie musiał podjąć pracę w jego kancelarii. Wtedy osiadziemy w Granadzie, w urządzonej specjalnie dla nas części rezydencji państwa Barroso.

Ciotka Matylda już od następnego dnia zaczęła przebąkiwać przy śniadaniu, że najchętniej wróciłaby do Nandaime ze mną i Federico, bo przecież, przekonywała, któż lepiej niż ona zajmie się gospodarstwem. Mogłaby także doglądać naszych dzieci, które – była pewna – zaczną licznie przychodzić na świat tuż po ślubie. Na szczęście matka ostro zaprotestowała, gdyż nie wyobrażała sobie życia w obcym mieście bez towarzystwa oddanej Matyldy.

Santa Semana spędziliśmy jeszcze spokojnie, jak większość mieszkańców Granady, na przedpołudniowych piknikach nad jeziorem Nikaragua i wieczornych hałaśliwych procesjach wychodzących z katedry. Tradycji stało się zadość i na świątecznym stole królowała iguana. Zielony potwór z wyłupiastymi oczami, który przed odarciem ze skóry skutecznie wypłaskał mnie z kuchni, smakował doprawdy wybornie pod postacią kruchej pieczeni i ciemnozłotawej, gęstej zupy. A co ciekawe, spożycie jego mięsa miało pobudzać do amorów najbardziej nawet leniwych kochanków. O tym dowiedziałam się oczywiście w znacznie starszym wieku.

Tuż po Wielkanocy matka rzuciła się w wir przygotowań weselnych. Aby nie popełnić żadnej gafy, zatrudniono Cécile Sorel, światowej sławy specjalistkę od organizowania takich uroczystości. Chuda jak szczapa Francuzka, stara panna, zamieszkała z nami na kilka miesięcy, próbując przy okazji przygotowań zamienić bandę nieokrzesanych prostych ludzi w towarzystwo światowego formatu. Nasza wybuchowa mieszanka ciężkiej bawarskiej kuchni i miejscowych, przasných przysmaków doprowadzała ją do szału. Fukała jak rozwścieczona kotka, gdy chrupaliśmy chicharrones, zanieczyszczaliśmy powietrze po kapuście z kiełbasą, a na śniadania zamiast maleńkiego rogalika pochłanialiśmy olbrzymi talerz fasoli z ryżem. Z jej ust nie schodziło słowo *dégoût*¹. Nasze stroje, fryzury, upodobania muzyczne

były – jej zdaniem – *dèmodè*. Panna Sorel chciała nas stworzyć na nowo, niemal jak Pan Bóg ulepić z gliny, przyodziać, przysposobić do godnego życia. Ojciec zadziwiająco długo znosił jej rewolucje, ostro zaproteutował dopiero wówczas, gdy zamierzała sprowadzić słynnego paryskiego krawca. Cécile zrozumiała, że może stracić intratną posadę i bez problemu przystała na krawcową urodzoną w Granadzie.

Przez kilka tygodni cierpliwie znosiłam długie przymiarki. Tkaniny były, rzecz jasna, francuskie – delikatny muślin i jakby tkana przez pająki koronka na welon, mięsiste róże, którymi miał być udekorowany dekolt i dół sukni oraz perłowo połyskujący atłas. W sumie warto było się trudzić, bo moja suknia ślubna miała zachwycić najznamienitszych mieszkańców Granady, których licznie zaproszono do udziału w weselnych uroczystościach. Choć zwykle przyszłe panny młode ekscytują przygotowania do dnia swoich zaślubin, marzyłam tylko o tym, by mieć je już za sobą i zacząć dzielić codzienność z Federico.

Zresztą, cały ten rok dłużył mi się okropnie. Egzaminów było widać tak wiele, że Federico prawie mnie nie odwiedzał. Tęskniłam. Bałam się, że nie podtrzymując regularnych kontaktów, może się rozmyślić. Teraz, kiedy miałam go już prawie w garści. Byłam stale rozdrażniona. Wszystko mnie denerwowało, a najbardziej moje siostry, które niczym dwie pstokato upierzone papugi trzymane w klatce na tarasie, rozprawiwały tylko o weselu.

Pewnego wieczoru matka niespodzianie pojawiła się w mojej sypialni. Leżałam już w łóżku, gdy przysiadła na krześle obok i ujęła moją dłoń. Rzadko okazywała mi czułość, ale tej nocy w jej oczach wyczytałam prawdziwą troskę.

– Drogie dziecko – zaczęła niepewnie – domyślam się, że bardzo się obawiasz tego małżeństwa. Wszystko zadziało się tak nagle. Ani się spostrzegłam, że nie jesteś już małą Evą, lecz dorosłą kobietą. Powinnaś wiedzieć, że... – jej głos zadrżał – nie zawsze pierwsze obcowanie z mężczyzną jest przyjemne...

Moje oczy musiały wtedy przypominać spodeczki od porcelanowych filiżanek.

– Nie bój się. Potrzeba trochę czasu, by się poznać, ale potem jest już znacznie lepiej. Federico cię kocha. Będzie z pewnością delikatny. –

Pocałowała mnie w czoło i opuściła pokój.

Byłam zdumiona. Czegoś takiego nie mogłam się po matce spodziewać. Lekcja *ars amandi* w jej wydaniu nie wyjaśniła mi wiele, ale wreszcie poczułam, że coś ją obchodzi. Między nami nawiązała się niewidzialna nić kobiecego porozumienia. Bo jeśli chodzi o jej przypuszczenia, to wcale nie bałam się obcowania z Federico. Cokolwiek to miało oznaczać! Moje ciało rwało się do niego i samo otwierało na jego namiętność. To był tak czysty zew natury, że nie spodziewałam się ani krzty rozczarowania.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć, zastanawiając się, przed czym próbowała mnie ostrzec matka.

1 *dégoût* (franc.) – wstręt, niesmak.

ROZDZIAŁ IV



25 grudnia 1890 roku pod błękitną kopułą najpiękniejszej katedry w Granadzie – Katedry pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny – zapewnialiśmy się wzajemnie z Federico o naszej dozgonnej miłości i wierności. Choć marzyłam, by ślub odbył się w kościele Santa Ana w Nandaime, zarówno przyszli teściowie, jak i moi rodzice nie mieli wątpliwości, że katedra była miejscem bardziej odpowiednim.

Oczy Federica szklily się ze wzruszenia, gdy ojciec doprowadził mnie do ołtarza ubraną w misternie drapowaną suknię, z opadającym na twarz koronkowym welonem. Wiedziałam, że jego serce przepełnia radość. Przez te wszystkie lata nauczyliśmy się czytać z naszych oczu jak z otwartej księgi, słowa i gesty okazywały się często zbędne. Byłam oczarowana wytwornym wyglądem mojego męża, który w aksamitnym czarnym fraku z niezmiennie błękitnym fularem błyszczał jak diament wśród innych młodych mężczyzn. Chyba nawet nie zdawałam sobie wówczas sprawy, jak wiele panien w departamencie Granada zazdrościło mi tak świetnej partii. Owszem, cieszyłam się, że Federico ukończył prestiżowe studia i miał wkrótce rozpocząć karierę adwokacką. Schlebiało mi, że wejść do szanowanej i zamożnej rodziny Barroso, ale tak naprawdę był to tylko dodatek do szczerzej, dziewiczej miłości, która zakwitła, zanim jeszcze cokolwiek o nim wiedziałam.

Półtorej godziny później obsypani na szczęście kwiatami, ryżem i odchodami gołębi, których z tuzin wypuszczono z klatek tuż nad naszymi głowami, przy dźwięku rozbrzmiewających na całe miasto dzwonów i wiwatujących tłumów, zgromadzonych na placu, opuściliśmy katedrę i udaliśmy się wprost na przyjęcie weselne.

Dekorując nasz salon panna Sorel musiała mieć wściekłą ochotę na francuską bezę – w życiu nie widziałam tyle tiulu i białych kwiatów

zgrupowanych w jednym miejscu. Nawet dwa charty mojego ojca przyozdobiono białymi kokardami, a w specjalnie wykopanej na tę okazję sadzawce pojawiły się dwa białe łabędzie. Papugi zostały usunięte z tarasu, bo nie dość, że swą pstrokacizną burzyły niezmacone królestwo bieli, to jeszcze – chcąc zwrócić na siebie uwagę – nieznośnie stuknęły dziobem w klatkę, a jeśli to nie pomagało, zwyczajnie darły się wniebogłosy. Takiej konkurencji nie mogła zdzierżyć orkiestra, która dzień przed weselem urządzała próbę w altanie. Cécile zadbała, by zarówno menu, jak i muzycy pochodzili z Europy. Przy drzwiach pojawił się zapożyczony kamerdyner, a nasze służące zamieniły pasiaste spódnice na czarne uniformy i białe fartuszki. Na takim weselu nie było miejsca na rodzimy folklor.

Już po godzinie nużyły mnie gratulacje i toasty, drażnił hałas wspaniale bawiących się gości, z których większość widziałam po raz pierwszy, a żołądek stanowczo odmawiał przyjęcia kolejnej porcji. Oczami wyobraźni widziałam pusty dom i tylko nas dwoje. Federico musiał odczuwać to samo, posyłał mi tęskne spojrzenia, porozumiewawczo ściskając moją dłoń pod stołem.

Nad ranem, mocno już zniecierpliwieni przedłużającym się przyjęciem, dotarliśmy wreszcie do mojej sypialni. Z nieśmiałego młodzieńca Federico zmienił się w zdecydowanego, namiętnego mężczyznę, który – gdy tylko zatrzasnęły się drzwi alkowy – zaczął obsypywać mnie pocałunkami. Moim ciałem, skrępowanym przez gorset i drucianą halkę, wstrząsało uczucie silnego pożądania. Dzięki pomocy Federico udało mi się wysupłać z kilkunastu metrów szlachetnej tkaniny i kiedy pozostałam już w samej bieliźnie, jego pewność i drapieżność uleciały niczym gołębnie sprzed kościoła.

– Boże, jakaś ty piękna... – Patrzył na mnie maślanymi oczami, jakby bał się skosztować weselnego tortu, w obawie, że zniszczy dekorację.

Za to we mnie jakby wstąpił diabeł. Jak najprędzej chciałam poczuć mężczyznę, tak blisko, jak to jest tylko możliwe. Zdarłam z niego koszulę i mocno przyłgnęłam do jego torsu.

– Jestem twoja, na zawsze... – szeptałam, prowadząc jego rękę do moich piersi.

Zachęcony Federico dzielnie ruszył do ataku i wkrótce nadal na wpół ubrana poczułam silne pchnięcie i ból pomiędzy nogami. Mój świeżutki małżonek przewrócił kilka razy oczami i z zawołaniem: „O Jezu!” – padł obok mnie wyczerpany. Tak musiał się czuć torreador po udanej walce. Mnie niewątpliwie bliżej było do byka. Tej nocy nie widzieliśmy się nawet w pełnej okazałości, bo tuż po akcie małżeńskim Federico z powrotem wciągnął spodnie i z poczuciem dobrze spełnionego małżeńskiego obowiązku spokojnie zasnął.

Leżałam wpatrując się w żelazny kandelabr, zanim dotarło do mnie, że to już koniec nocy poślubnej. Po cichu wysunęłam się z jego objęcia i udałam się do łazienki. Tam, rozebrawszy się wreszcie do naga, długo przyglądałam się swojemu odbiciu w lustrze, szukając zewnętrznych oznak utraty dziewictwa. Poza pieczeniem między nogami nie zauważyłam nic szczególnego. Rozczarowana wynikiem oględzin założyłam nocną koszulę i położyłam się obok męża. W uszach dźwięczały mi słowa matki, że na początku muszę być dzielna i potem jest coraz lepiej.

Następnego dnia goście znów biesiadowali do późna, ale my koło północy dyskretnie opuściliśmy salon. I tym razem Federico nie obnażył się przede mną i minęło trochę czasu, zanim nasze nagie ciała wreszcie się spotkały i poznałam sprawcę całego zamieszania. Kolejne, spędzone już w Nandaimé, noce podbudowały mnie nadzieją, że na wszystko przychodzi właściwy czas i potrzeba cierpliwości także do tego, by w pełni cieszyć się ze spotkania z mężem.

Prezenterem ślubnym od rodziców Federico była podróż do Europy. Mieliśmy przy okazji odwiedzić w Paryżu rodzinę mojej teściowej. Kiedy kufry czekały już w sieni, przypędził na koniu Leonardo, służący państwa Barroso, przynosząc przykrą wiadomość. Teść doznał nagłego ataku serca, co oznaczało, że Federico, zamiast uprawiać z żoną szaleństwo w najmodniejszej stolicy świata, musiał przywdziać adwokacką togę i dwa dni w tygodniu zastępować ojca w kancelarii. Wyprawę do Paryża przełożyliśmy na pierwszą dogodną okazję, gdy tylko pan Barroso dojdzie do pełni sił.

Z początku, gdy mój mąż wyjeżdżał na całe dni do Granady, wcale nie czułam się samotna. Najpierw towarzyszyłam mu w podróży

i odwiedzałam moją rodzinę, ale z czasem coraz częściej pozostawałam w Nandaime. Miałam co robić w domu, którego wystrój nie zmienił się od czasu, gdy królowała tu babka Gertruda, twarda kobieta o ponurej naturze i surowym guście. Kupiłam nowe zasłony, narzuty na sofy, obrusy i poduszki. Wszystko w jasnych barwach. Mięiste, ciemno zielone i bordowe tkaniny, które pozostawiła po sobie Gertruda, działały na mnie przygnębiająco i przypominały mi surowy dom, w którym przestrzeganie zasad było ważniejsze od okazywania uczuć. Chciałam wnieść powiew świeżości i lekkości. Codziennie układałam w wazonach kwiaty, które same rozsiały się wokół domu. Za życia babki nikt nie sadił kwiatów w pobliżu domu, gdyż – jej zdaniem – przyciągały jedynie robactwo.

Coraz więcej czasu zaczęłam spędzać w kuchni. Flora z ochotą wtajemniczała mnie w magiczny świat zapachów, smaków, konsystencji. Kochała jeść i kochała gotować. Mawiała, że kobieta umiejąca dać rozkosz podniebieniu, prędzej utrzyma męża, niż ta, która zapewnia tylko podniety cielesne.

– Każda kochanka prędzej, czy później spowszednieje, a pieśzcoty żołądka nigdy – mawiała.

Chciałam być najlepszą żoną pod słońcem. I w kuchni, i w łóżku. Pragnęłam, by Federico nigdy nie pożałował swojego wyboru, a jego rodzice byli dumni ze swojej synowej. Zwłaszcza moja teściowa – Laura. Jej uroda i pochodzenie mnie onieśmiały. Wiedziałam, że nie będzie łatwo zyskać przychylność tak zjawiskowej istoty, jak ona. Modliłam się w duchu, by nie popełnić w jej obecności jakiegoś *faux pas*, którym na zawsze zamknęłabym sobie drogę do jej serca. Wielbiłam ją z daleka, jak figurę Przenajświętszej Panienki, bowiem od dnia ślubu nie zamieniłyśmy ze sobą ani słowa. Laura miała zwyczaj porozumiewania się ze mną za pośrednictwem Federico.

Pewnego przedpołudnia, kiedy zrywałyśmy z Florą mamoncillo w przydomowym ogrodzie, przed dom zajechał z impetem biały powóz, bogato zdobiony złotymi ornamentami. Spojrzałyśmy z Florą po sobie, zastanawiając się, kto, do licha, mógł przyjechać taką karocą do Nandaime. Kosz prawie wypadł mi z rąk, gdy zobaczyłam, jak z powozu najpierw wychyliła się koronkowa parasolka, trzymana przez drobną

dłoń w atlasowej rękawiczce, a następnie wysiadła moja wytworna teściowa. Jak mi potem obwieściła, od kilku dni była gościem mieszkającej w pobliżu siostry Fernando. Spodziewała się, że jestem w Nandaime sama i postanowiła ucieszyć mnie niezapowiedzianą wizytą.

Szykowna jak zwykle, zmierzyła surowym wzrokiem moją płócienną spódnicę, w której najczęściej chodziłam po domu kiedy nie było Federico. Na domiar złego, szykując się do pracy w ogrodzie, przepasałam się białym fartuchem, jaki zwykły nosić wiejskie służące.

– Twoja uroda wymaga lepszej oprawy – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. Zrozumiałam, że w szczególności dla siebie wyrafinowany sposób przekazała mi, że wyglądam żałośnie.

Chociaż – kolejna niestosowność – nie miałam na sobie gorsetu, czułam jak żołądek podchodzi mi do gardła. Poczęstowałam Laurę kawą i ciasteczkami nasączonymi rumem, a sama pobiegłam założyć strój odpowiedni do przyjęcia tak szacownego gościa. Szybko się jednak poznałam, że teściowa nie przyjechała ze względu na mnie. Poza zaspokojeniem swojej ciekawości, czy aby nie jestem już w ciąży, interesowała się wyłącznie Federico. Zostałam zasypana gradem pytań – czy jej syn dobrze się odżywia, czy nie miewa napadów duszności, które w dzieciństwie męczyły go w porze deszczowej, czy daje mu się dobrze wysypiać, ma takie podkrążone oczy, czy dysponuje własnym gabinetem, gdzie mógłby pracować i odpocząć w samotności. Ubolewała, że nadal mieszkamy w Nandaime, kiedy Federico jest coraz częściej potrzebny ojcu w Granadzie. Ta fanaberia, podkreśliła raz jeszcze – fanaberia, naraża go na częste podróże, a droga do naszej plantacji nie wygląda na bezpieczną. Ich dom, choć z powodu nagłej choroby Fernando nie przeszedł planowanego remontu, i tak jest na tyle duży, że bez trudu się w nim pomieścimy, nawet z gromadką dzieci.

Przekazała mi w detalach wskazówki, jak dbać o Federico, jakie lubi potrawy, a po których miewa wysypki, jakie zioła stosował w domu, kiedy miał kłopoty z zaśnięciem, a jakie – gdy nie mógł się wypróżnić, wreszcie – ile łyżeczek miodu dodawać mu do herbaty, a ile do kawy. Zaznaczyła, że Federico wychował się na delikatnej, europejskiej kuchni i nasze ciężkie, tłuste i pędzące gazy jedzenie może mu zaszkodzić.

Przed oczami bulgotały mi flaki z wołowego żołądka, które Flora właśnie przygotowywała na przyjazd młodego pana domu. Federico je uwielbiał. Siedziałam wbita w fotel, próbując zapamiętać wszystkie z zaleceń Laury. Zupełnie niepotrzebnie, bo na końcu wręczyła mi pisemną listę wszystkich powinności wobec męża.

– To na wypadek, gdyby coś ci umknęło – wyjaśniła, widząc moje zdziwienie. – Chyba rozumiesz, że oddaję ci przysługę. Federico będzie cię jeszcze bardziej kochał – dodała, wstając z sofy.

Podziękowała za kawę, pocałowała powietrze obok moich policzków i odjechała królewskim powozem z powrotem do szwagierki.

Mój żołądek wrócił na właściwe miejsce dopiero po godzinie, ale kłopoty z trawieniem utrzymywały się jeszcze przez kilka dni. Pocieszałam się, że Laura nie okazała mi wyraźnie niechęci, zaledwie obojętność i nie wszystko jeszcze stracone. Musiałam się z nią zgodzić, że wyjazdy Federico stawały się coraz bardziej uciążliwe. Już nie dwa, a trzy i cztery dni w tygodniu spędzał w Granadzie, a kiedy nawet przyjeżdżał do naszego domu, i tak długie godziny przesiadywał w gabinecie, pracując nad kolejnymi sprawami. Nie ośmieliłam się narzekać. Bałam się, że to tylko przyspieszy decyzję Federico o przeprowadzce do jego rodziców, kiedy ja na dobre zaanektowałam dla nas dom w Nandaime.

Czułam się coraz bardziej samotna i zaproponowałam ciotce Matyldzie, by przez jakiś czas pomieszkała z nami. Nigdy dotąd nie widziałam jej tak rozpromienionej. Mimo powściągliwej natury nie potrafiła ukryć, jak bardzo pragnęła wrócić do rodzinnego domu. Zaproszenie Matyldy wywołało natychmiast domysły, że pewnie spodziewam się dziecka i w stanie błogosławionym szczególnie potrzebuję opieki i towarzystwa.

Niestety, mimo mijającej szóstej miesięcznicy naszego ślubu, nadal nie mogłam podzielić się radosną nowiną. Nie byłam przesadnie spragniona macierzyństwa, ale nie chciałam zawieść Federico. Marzyłam też, by zamknąć usta Laurze, która przy każdej okazji dręczyła mnie pytaniem, kiedy powiększy się ród Barroso. Nie omieszkała zaznaczyć, że Federico został poczęty już podczas nocy poślubnej.

Zacząłam podpytywać Floreę, czy nie zna tajemnych ziół na zwiększenie płodności. Stara kucharka śmiała się i mówiła, że najlepszym lekiem jest kochanie się z mężem na łonie przyrody, koniecznie podczas pełni. Federico zauważył mój niepokój i zapewnił mnie, że jeszcze nie dość nacieszył się mną jako żoną.

– Nie odbyliśmy nawet podróży poślubnej. – Gładził moją głowę, spoczywającą na jego nagiej piersi. – Przyjdzie czas na dziecko.

Jego spokój i wciąż pełne miłości spojrzenie wyciszały mnie aż do kolejnej miesiączki.

Wracając do Matyldy... Ochoczo skorzystała z zaproszenia i tydzień później zjechała do Nandaimé z niemal całym swoim dobytkiem. Widok kufrów wyjmowanych przez Javiera z powozu trochę mnie przeraził i prawie zaczęłam żałować, że ją sprowadziłam do domu. Ciotka bardzo jednak uważała, by nie wchodzić w drogę nowożeńcom. Muszę przyznać, że zadziwiła mnie swoim wyczuciem i dyskrecją. W pełni uznała mnie za panią tego domu, choć spędziła w nim trzydzieści lat więcej. Przyjęła, że przywilej bycia gospodynią należy się kobiecie zamężnej, a stara panna winna się podporządkować najpierw żonie brata, a teraz dorosłej bratanicy. Wcale nie przypominała mi tej chłodnej i zasadniczej matrony, z jaką spędziłam dzieciństwo. Jej towarzystwo okazało się dla mnie zaskakująco miłe. Jadałyśmy razem, kiedy Federico wyjeżdżał do Granady, kiedy zaś wracał do domu Matylda zamykała się w swojej sypialni i samotnie spożywała kolację, twierdząc, że mam się teraz wyłącznie zajmować mężem. W ciągu dnia mało czasu spędzała w domu, godzinami krążyła z Javierem wśród krzewów kawowców. Odkąd nie było Maximiliana, samodzielnie doglądała upraw, z większym nawet powodzeniem niż on sam. Kiedy nie objeżdżała konno całej plantacji, bo dokuczały jej korzonki, zaczytywała się książkami pożyczanymi od wikarego i swoich znajomych.

Pewnego wieczoru zwierzyłam się Matyldzie, że coraz gorzej znoszę rolę wyczekującej męża żony. Ciotka pokiwała głową ze zrozumieniem i zapytała mnie na pozór bez związku, co najbardziej ciekawiło mnie w szkole. Przyznałam, że lubiłam uczyć się francuskiego i angielskiego, co przychodziło mi z dużą łatwością, a poza tym zawsze marzyłam o podróży do Europy. Matylda doradziła mi, bym nie

zaprzepaściła tej zdolności i czytywała obcojęzyczną literaturę. Wzięłam sobie jej radę do serca i od razu poprosiłam Federico, by zdobył dla mnie kilka oryginalnych angielskich i francuskich książek.

Pewnego spędzanego jak zwykle na czytaniu popołudnia, ciotka zaskoczyła mnie wyznaniem, że wcale nie żałuje braku męża i dzieci, ale tego, że nie odważyła się żyć, tak jak pragnęła.

– Evo – mówiła – światem rządzą mężczyźni, ale Bóg daje talenty także kobietom. Musi być zasmucony, kiedy je zakopują.

Wtedy nie bardzo rozumiałam jej słowa, bo dla mnie wszystko wydawało się jasne, żyję tylko dla Federico.

Niewątpliwą korzyścią z przyjazdu Matyldy była zanikająca liczba odwiedzin teściowej. Starsze panie nie przypadły sobie do gustu i mimo udawanej uprzejmości, na odległość wyczuwało się ich wzajemną niechęć. Pani Barroso nie mogła w obecności ciotki używać sobie na mnie jak dawniej i trudno było się jej pogodzić z brakiem kontroli nad młodą synową, a Matylda lojalnie trzymała moją stronę. Wyszukane kreacje Laury i poza księżnej nie robiły na ciotce najmniejszego wrażenia. Po wyjściu pani Barroso demonstracyjnie otwierała okna w salonie na całą szerokość.

– W powietrzu krąży trucizna – wyjaśniała złośliwie.

Federico ugruntował swoją pozycję cenionego adwokata i w ślad za swoim ojcem zaangażował się w życie polityczne. Mnie polityka obchodziła tak samo, jak Gertrudę kościół i jeszcze do niedawna mogłabym przynieść wstyd rodzinie, bo nie wiedziałam, z ramienia której partii kandydował ojciec. Zresztą, w moim rodzinnym domu rozmowy dorosłych toczyły się za zamkniętymi drzwiami i dopiero po wyjściu za mąż, chcąc nie chcąc, zostałam zaangażowana w życie partii konserwatystów. Miałam teraz uczestniczyć w przyjęciach, wiecach i festynach jako żona świeżo upieczonego konserwatysty. Wydawało mi się, że mój delikatny Federico nie pasuje do świata polityki, ale ze zdumieniem zobaczyłam, jak żarliwie przemawia na jednym z wieców. Jego niebieskie oczy lśniły tak samo intensywnie, jak wtedy, gdy spotykaliśmy się potajemnie w kościele. Państwo Barroso patrzyli na niego z jawną dumą, ja natomiast czułam dziwny niepokój, coś jakby przecucie, że podąża w złym kierunku.

Najbardziej męczące były dla mnie podwieczorki z żonami polityków, których rozmowy zasadniczo wypełniały dwa tematy: wspaniali mężowie i niezwykle udane dzieci. Nie sposób było nie odnieść wrażenia, że kobieta bez męża i dziecka nie przedstawiała dla nich jakiegokolwiek wartości. Brzemienne damy mogły godzinami opowiadać o swoich kolejnych pociechach, co było dla mnie przykre i krępujące. Mój brzuch pozostawał płaski.

Po roku bezskutecznych starań musiałam zostać powszechnie uznana za bezpłodną, nikt już nawet nie dopytywał o dziecko. Nawet Federico tracił powoli nadzieję na dziedzica. Zadeklarował jednak odważnie, że nie opuści mnie nawet wtedy, gdy nie urodzę mu potomka. Tylko Matylda twardo wierzyła, że doświadczę macierzyństwa, bo – jak twierdziła – „załatwiła” to tam na górze. Chcąc wspomóc działania Stwórcy, obsadziła cały dom białymi i różowymi sacuanjoche, których intensywny, słodkawy zapach wydzielany podczas nocy uchodził za naturalny afrodyzjak. O ile wszystko i wszyscy wkoło zdawali się ulegać zmysłowej woni – klacze źrebiły się jak szalone, wisienki kawowców czerwieniały w oczach, pod łóżkiem Matyldy znalazłam pikantny romans, a dobiegających pięćdziesiątki Florę i Javiera przyłapałam na igraszkach na kuchennym stole – o tyle mnie, ogarniętej obsesją ciąży, nie sprawiało różnicy czy pachnie kwiatami, czy końskim łajnem. Czułam się jak balon wypełniony powietrzem, pusty worek, ciało wyprute z wnętrzości. Tak bardzo chciałam dać Federico syna, że przeżywałam niemal każde spotkanie z ciężarną kobietą. Podejrzywałam, że Bóg zakpił ze mnie za karę, że przez niemal dwa lata traktowałam jego dom jak miejsce potajemnych schadzek.

Moi teściowie nie ukrywali rozczarowania z powodu braku wnuka. Wyobrażałam sobie, jak musieli przeklinać dzień, w którym stanęłam na drodze ich syna. Kiedy Federico wracał od nich z Granady, stawałam się szczególnie wyczulona na jego gesty, słowa, ton głosu, a przede wszystkim spojrzenie, doszukując się dowodów jego obojętności. Do naszej alkowy wkradła się rezygnacja i zniecierpliwienie. Oboje czuliśmy, że choć byśmy nie wiem, co robili, dziecka z tego nie będzie. Federico częściej bywał zmęczony, a mnie w miłości przeszkadzały ataki migreny. Zasypialiśmy obok siebie, a jednak oddzielnie, pogrążeni we

własnych światach, które coraz bardziej się oddalały. Federico miał coraz więcej zajęć, które zatrzymywały go w Granadzie. Więcej mieszkał u swoich rodziców, niż ze mną w Nandaime. I nie wyglądało na to, że jest mu z tym źle. Nie wspomniał już o przeprowadzce do Granady.

Tymczasem sytuacja polityczna w kraju stawała się coraz bardziej napięta. Rządzący nieprzerwanie przez trzydzieści lat konserwatyści lawinowo tracili poparcie na rzecz odradzającej się partii liberalnej. W samej nawet Partido Conservator ostro ścierały się dwie frakcje – najbardziej zatwardziały polityków, którzy chcieli utrzymać przywileje jeszcze z czasów konkwistadorów, i tych, którzy widzieli potrzebę, a raczej konieczność dogadania się z liberałami. Dni prezydenta Sacasy wydawały się policzone, a na politycznej arenie groźnie prężył muskuły liberalny generał Zelaya. Do pierwszych wystąpień przeciwko obecnej władzy doszło w Leon, ale zaraza – jak Federico nazywał liberałów – wdzierała się do innych miast, także do Granady. Panowie Barroso, nieustępliwi wobec jakichkolwiek zmian, desperacko rzucili się w wir partyjnej pracy i teraz ich narady trwały do późna w nocy.

Mój ojciec z kolei, najwyraźniej sprzyjający liberalnemu odłamowi Partido Conservator, sam chciał ustąpić z funkcji gubernatora. Oznaczało to, że do domu w Nandaime miała wkrótce wrócić cała moja rodzina, a my przestaniemy z Federico być jego gospodarzami.

To był trudny czas. Emocje ludzi wychodzących ze złowieszczymi okrzykami na ulice krążyły w powietrzu i na grzbiecie wiatru dotarły nawet do sielskiego Nandaime. Udręczona brakiem dziecka i oddaleniem męża chłonełam jak gąbka cały niepokój świata. Z dnia na dzień ogarniała mnie coraz większa nostalgia, tak że prawie przestałam opuszczać sypialnię i większość czasu spędzałam w łóżku. Nie miałam nawet ochoty, by zejść do salonu na obiad. Rano Flora przynosiła mi filiżankę kawy i kukurydziane placuszki, które zaspokajały mój głód do wieczora, kiedy zmuszałam się do przegryzienia kilku plasterów mango. Moja talia zrobiła się cienka jak u ważki i nie potrzeba już było ucisku gorsetu, co poważnie zaniepokoiło ciotkę. Jak wtedy, gdy byłam dzieckiem, chciała sprowadzić doktora D'Annunzio. Stanowczo się

sprzeciwiłam. Znałam przecież przyczynę swoich dolegliwości.

– Evo, na litość boską, nie zadręczaj się. Musisz znaleźć sobie jakieś zajęcie. Wstawaj. – Matylda wyciągała mnie z pościeli.

– A co niby mam robić? Widzisz gdzieś dzieci albo chociaż męża, którymi mogłabym się zająć? Los zakpił ze mnie, uciekłam przed zakonem, a żyję jak zakonnica.

– Mogłabyś uczyć dzieci w szkółce parafialnej – ciotka wysunęła zaskakującą propozycję.

– Słucham? Skąd ten niedorzeczny pomysł?

– Nie jest wcale niedorzeczny! – oburzyła się ciotka. – Wikary od dawna szuka wykształconej kobiety chcącej poświęcić trochę czasu biednym dzieciom. Próbował nakłonić mnie, ale mam dość zajęć na plantacji, poza tym, sama wiesz, chyba jestem zbyt zasadnicza. A do tego trzeba serca, dlatego pomyślałam o tobie. Miałabyś podwójną korzyść – wartościowe zajęcie, które wyciągnęłoby cię z melancholii i zarazem zasługę w niebie.

– Naprawdę sądzisz, że Federico zgodziłby się, żebym pracowała?
– Kręciłam głową z niedowierzaniem.

– Owszem, gdybyś tylko podała odpowiednie powody. – Matylda uśmiechnęła się tajemniczo. – Rodzina Barroso bardzo dba o dobrą reputację – kontynuowała, trzepiąc poduszkę, którą wydarła mi spod głowy. – Czy twoja praca charytatywna nie podreperowałaby ich przykurzonego wizerunku mecenasów? Czy mąż, walczący o pozycję konserwatystów, nie byłby zadowolony z żony udzielającej się społecznie? Laura też od czasu do czasu pokazuje się w jakimś sierocińcu z wypiekanymi rzekomo przez nią ciasteczkami. Pomyśl o tym.

Byłam zdumiona rozumowaniem starej ciotki, która choć całe życie spędziła bezszelestnie w cieniu rodziny brata, doradzała z przebiegłością na miarę wytrawnego polityka. W młodości sama nie odważyła się żyć podług siebie i trawiona rozczarowaniem, chciała mnie przed tym uchronić.

Jej pomysł, bym poprowadziła szkołkę parafialną, trafił na podatny grunt. Lubiłam dzieci, więc pokusiłam się na tę namiastkę macierzyństwa. Poza tym wreszcie coś odwróciłoby moją uwagę od

obumierającego małżeństwa. Nie byłam tylko pewna, czy posiadam zdolności odpowiednie dla nauczyciela, ale ciotka od razu rozwiała moje wątpliwości:

– Evo, te dzieci nie znają jednej litery. Nie trzeba kończyć uniwersytetu, by je uczyć. Jesteś przepełniona miłością, którą nie masz kogo obdarzyć. Daj ją tym dzieciom, to wystarczy.

Nie mogłam doczekać dnia, kiedy Federico wróci do domu i będę mogła mu o tym powiedzieć. Jeszcze nie zdążył zdjąć surduta, a już w sieni pytałam go o aprobatę dla mojego nowego przedsięwzięcia. Do tego, by dzielił mój entuzjazm, było bardzo daleko, ale – dokładnie jak przewidziała ciotka – w końcu dał się złapać na brednie o poprawie wizerunku rodziny Barroso w przededniu kolejnych wyborów. Przyznał, że wygląda to na całkiem dobry pomysł, musi się jednak z nim „przespać”, zanim podejmie ostateczną decyzję. „Przespanie” się nie oznaczało nic innego, jak naradę ze swoimi rodzicami. Widocznie jednak teściowie nie dojrzeliby żadnych przeszkód, bo kiedy znów zajechał do Nandaime, przywitał mnie słowami:

– Ta szkoła to wyborny pomysł! Zaczynij pracę jak najszybciej!

ROZDZIAŁ V



Wielebny Domenico Almodovar nie mógł wyjść z zachwytu, że ktoś tak znaczący jak synowa państwa Barroso chce uczyć w jego parafialnej szkole. Oprócz szanowanego nazwiska moim niewątpliwym atutem była edukacja u sióstr Miłosierdzia Maryi, o której Matylda kilkakrotnie nadmieniła podczas rozmowy z duchownym. W małej salce na plebanii miałam odtąd spotykać się z kilkoma wiejskimi dziećmi. Ich niepiśmienni rodzice zostali przekonani przez wikarego, że należy dać pociechom szansę na lepsze życie.

Gdy przyszłam na pierwszą lekcję, zastałam osiem par ciemnych oczu wpatrzonych we mnie z zaciekawieniem – zaledwie dwie dziewczynki i sześciu chłopców – siedziało w bezruchu na pospiesznie skleconych ławkach z surowego drewna. Nie miałam podręcznika ani żadnych wskazówek, jak prowadzić spotkania. Starłam się zatem wyobrazić sobie, jak uczyłabym stawiać pierwsze litery moje własne dzieci. Przypomniało mi się, jak doña Luiza łączyła w pierwszych latach naukę z zabawą. Kiedy tylko aura była przychylna, lekcje odbywały się w ogrodzie. Dla przykładu, nauka rachunków wyglądała tak, że najpierw zgadywałyśmy obie, ile płatków może mieć napotkany kwiatek, ile wisienek dźwiga gałązka kawowca, ile ptasich odchodów znajdziemy na patio. Potem rozgrzana rywalizacją liczyłam z wypiekami na twarzy, by przekonać się, która z nas była bliższa prawdy. Na początku doña Luiza pozwalała mi wygrywać, ale z czasem wymyślała coraz trudniejsze zadania, dzięki czemu nauczyłam się wybornie szacować. Postanowiłam także wyprowadzić moich uczniów z ławek i ile się tylko da, korzystać z darów natury. Wielebny nie był tym z początku zachwycony, chciał szkoły z prawdziwego zdarzenia – poważnej i surowej, a nie zabawy w przykościelnym sadzie. Widząc jednak, że dzieci nie ubywa, a nawet pojawiają się nowe, pozwolił na wszelkie innowacje.

Nie spodziewałam się, że umorusanym, wyrwanym z beztroski dzieciakom tak spodobać się spotkania ze mną. Przychodziły schludnie ubrane, niemal jak na niedzielną mszę. Przygotowałam się, że będą mocno dokazywać, a one w możliwie dla siebie największym skupieniu chłonęły moje słowa. Jakby wiedziały, że dokonują swoistego przełomu, stając się pierwszymi piśmiennymi i rachującymi w wielopokoleniowych rodzinach.

Polubiłam wszystkich podopiecznych, ale moje serce od początku zawojowała mała Mia. Dziewczynka miała kruczoczarne włosy i śniadą cerę, podobnie jak jej indiańskiej krwi rodzice. Moja jasna skóra i rudawe loki były dla niej szczytem urody. Jak na córkę wiejskiego robotnika najemnego była wyjątkowo śmiała i bystra. Niezłe też radziła sobie z czytaniem i pisanem. Już po kilku lekcjach bez najmniejszego problemu kleiła się do mnie jak szczenię. Jej uwielbienie sprawiało mi taką przyjemność, że najchętniej nie rozstawałabym się z nią także po lekcjach. Nie mogłam jej faworyzować i choć uwielbiałam, jak przez całą przerwę, zamiast biegać z innymi dziećmi, sterczała przy moim biurku, karciałam ją za niestosowne zachowanie. Mia nic sobie z tego nie robiła, bo najwyraźniej czuła, że jestem spragniona jej towarzystwa. Na naszej wzajemnej sympatii wygrywały także inne dzieci. Miałam nieposkromioną ochotę obdarować ubogą dziewczynkę piękną lalką, ale że musiałam wszystkich uczniów traktować jednakowo, zorganizowałam wśród żon polityków zbiórkę zabawek, którymi nagrodziłam wszystkich uczniów na zakończenie nauki. Przynosiłam wypiekane przez Florę łąkocie, zostawałam po lekcjach i czytałam dzieciom baśnie. Wszystko po to, by jak najwięcej czasu spędzać z moją ulubienicą.

Po kilku miesiącach spotkań musiałam się jednak rozstać z pierwszymi podopiecznymi. Ideą szkoły przykościelnej było poznanie pisania, czytania i rachunków w stopniu podstawowym i wikary nie planował rozszerzać edukacji, tym bardziej, że coraz więcej pracowników okolicznych plantacji zwracało się do księdza i do mnie z prośbą o przyjęcie ich dzieci. Naukę zakończyła uroczysta msza, na którą mali absolwenci przybyli wraz ze swymi rodzicami. Kiedy wikary zakończył wręczanie starannie wykaligrafowanych przeze mnie dyplomów, z gromadki dzieci wyskoczyła Mia i desperacko rzuciła mi

się na szyję:

– Doña Eva! Kocham panią, nie chcę przestać tu przychodzić!
Dlaczego nie mogę uczyć się dalej?

Przytuliłam ją żarliwie, ale że wszystko działo się w obecności jej matki i wikarego, po chwili zdjęłam drobne rączki splecione na moim karku i odsunęłam ją od siebie.

– Mia – zwróciłam się do niej stanowczo – takie są tu zasady. Ty już umiesz liczyć i znasz cały alfabet, a inne dzieci czekają na przyjęcie do szkoły. Możesz nas zawsze odwiedzać, o ile pozwolą ci na to rodzice.

Kiedy to mówiłam, po ciemnej twarzyczce spływały krokodyle łzy, aż zniecierpliwiona matka dziewczynki popchnęła ją w kierunku drzwi.

– Señora wybaczy, zawsze z nią same kłopoty – mruknęła pod nosem i wyprowadziła małą z sali.

Nigdy więcej nie zobaczyłam już mojej Mii. Wracając do domu ze ściśniętym gardłem i dopiero gdy zamknęłam za sobą drzwi sypialni, bezgłośnie się rozplakałam. Czułam się jak po stracie wielkiej miłości, czułam, że Mia powinna być moim dzieckiem, że nigdy nie pogodzę się z niemożnością zostania matką. Rozpamiętywałam jej czarne oczy, bystre i lśniące z ciekawości, smagłe, małe rączki, które ciągle czepiały się mojej spódnicy, białe, jeszcze nie pokryte próchnicą zęby, ukazujące się w całej okazałości w szerokim uśmiechu i dwa ciemne warkoczki podskakujące z każdym krokiem. Byłam do tego stopnia rozzalona, że nie widziałam już możliwości, by powrócić do szkoły.

Matylda i wikary postanowili przeczekać mój najgorszy nastrój, ale kiedy nadal utrzymywałam, że już uczyć nie będę, przystąpili do działania. Usłyszałam, że zanadto się nad sobą rozczulam, że Mia nie jest przecież sierotą, że poradziłam sobie wybornie w roli nauczycielki, że jest tyle ubogich, chętnych do nauki dzieci, którym jestem potrzebna.

Po kilku tygodniach przerwy wróciłam do małej salki przykościelnej i uczyłam kreślić pierwsze litery kolejnych uczniów. Tym razem grupa liczyła dwanaście osób. W małym pomieszczeniu było duszno i niewygodnie, ale dzieci wyglądały na szczerze uradowane, że mogą tu przychodzić.

Nie zapomniałam o Mii. Widziałam ją w każdym dziecku po trochu, ale z czasem zaczęła w pamięci zacierać mi się jej twarz. Tylko

bicie serca wciąż przyspieszało na myśl o niej.

Pewnego lipcowego popołudnia wikary zajrzał do szkoły tuż przed zakończeniem lekcji. Jego mina zwiastowała coś nieprzyjemnego. Ruchem ręki zaprosiłam go do sali, ale on dał znać, że poczeka, aż dzieci rozejdą się do domów. Kiedy zostaliśmy sami, zapytał, czy słyszałam coś o Mii.

– Nie widziałam jej od zakończenia nauki, ani razu nie przyszła mnie odwiedzić. Pewnie jej matka nie pozwoliła... – wzruszyłam ramionami.

Wikary poczerwieniał i wzięwszy uprzednio głęboki oddech, wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Mia nie żyje. – Potem upewnił się, czy jeszcze stoję i dodał: – Chorowała... nie stać ich było na leczenie. Zresztą mają jeszcze ośmioro dzieciaków...

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? – krzyczałam. – Przecież zapłaciłabym za to leczenie! Dlaczego pozwoliliście jej umrzeć?!

– To nie tak, jak pani myśli, rodzice nie zabiegali u mnie o pomoc. Kiedy coś do mnie dotarło, zaraz tam pojechałem, ale już było za późno... – wikary tłumaczył się z opuszczoną głową. – Jutro odprawiam za nią mszę. Chciałem tylko o tym panią powiadomić.

Nie wiem, jak doszłam do domu, nie wiem, co później się działo, bo ponoć spałam nieprzerwanie dwanaście godzin. Śniła mi się Mia. Byłyśmy w naszym ogrodzie. Siedziałyśmy na pledzie rozłożonym na ziemi, przy naszych stopach czuwała Luna. Próbowałam czytać jej książkę, ale Mia nie była zainteresowana lekturą. Wsuwała swoje drobne paluszki w moje, upięte wysoko włosy, tak że po chwili po fryzurze nie było śladu.

– Przestań! – strofowałam ją.

– Rozpuść je, proszę – mała nie dawała za wygraną.

Dla świętego spokoju wyjęłam szpilkę, która podtrzymywała całe upięcie.

– Ładne. Czerwone – zachwycała się.

– Nie czerwone, tylko rude.

– Czerwone. Chciałabym takie mieć.

– Widzę, że z nauki już nic nie będzie. – Podniosłam się z ziemi, zabierając pled i książkę. – Idziemy.

Mia była tak rozbrykana, że ani myślała się uspokoić. Biegała wokół mnie i zawadiacko szarpała moją spódnicę. Luna ochoczo dołączyła się do zabawy i podgryzała Mię, brudząc jej białą tunikę. Tę samą, w której zawsze chodziła do szkoły.

– Mia, jak będziesz grzeczna, kupię ci nową, kolorową sukienkę! – szukałam sposobu, by ją ujarzmić.

Mała przeskakiwała wysokie trawy:

– Na co mi nowa sukienka! – wykrzykiwała. – Nie jest mi już potrzebna! Kup ją komuś innemu!

Obudziłam się z przekonaniem, że Mia żyje i ma się całkiem dobrze, dziwiło mnie tylko, że we śnie pojawiła się Luna, która od dawna ujada na anioły. Dopiero stojąca nad łóżkiem Matylda sprowadziła mnie na ziemię.

– Evo, już piąta. Jedziesz na mszę za Mię?

Pojechałam. Z Matyldą i Florą. W kościele, oprócz nas, były tylko stałe bywalczyńskie popołudniowych litanii. W końcu, cóż znaczyło życie małej ciemnoskórej dziewczynki.

– Żegnaj, córeczko... – wyszeptalam pod nosem, wychodząc z nabożeństwa.

Gdy wróciłyśmy do domu, Federico oczekiwał na mnie w salonie. Nie rozmawialiśmy już od kilku dni, bo jakiś ważny proces sądowy zatrzymał go na dłużej w Granadzie i ostatnie noce spędził u rodziców.

– Gdzie się podziewasz? – wyglądał na poruszonego. – Nie wyobrażasz sobie, co się wydarzyło! Sacasa wyjechał z Managui!

– Byłam w kościele. Msza za duszę mojej uczennicy. – Spojrzałam beznamiętnie na trzęsącego się z emocji Federico.

– To był fatalny ruch! Teraz Zelaya ma wolną drogę do pałacu!

– Wiesz, dlaczego ona umarła? – przerwałam Federico. – Dlaczego pogrzebano niespełna dziesięcioletnią dziewczynkę? Bo jej matka nie miała pieniędzy na leczenie!

Federico popatrzył na mnie zdziwiony. Takie rzeczy nie były szczególnym kuriozum.

– Nie rozumiesz? Do mnie co tydzień przyjeżdżał z Granady doktor D’Annunzio, kiedy udawałam bóle głowy!

– Zrobiłaś się zbyt emocjonalna. – Poglądził mnie po policzku.

– W Nandaimie nie brakuje dzieci, które możesz uczyć. Nie pogrążaj się w bezsensownej rozpacz, bo teraz jak nigdy potrzebny jest jasny umysł. Szykuje się wojna domowa!

– Masz rację... Moja egzaltacja nie ma uzasadnienia! – roześmiałam się gorzko. – Powinnam raczej rozpaczać, że wali się układ, w którym jednych stać na żartowanie z lekarzy, a inni żyją jak zwierzęta!

– Evo, co ty wygadujesz? Rozumiem, że jesteś zmęczona i obolała, ale chyba posuwasz się za daleko. – Federico patrzył na mnie, jakby mnie nie poznawał.

– Ten kraj potrzebuje zmiany! Jakiejś... rewolucji!

– Bzdura! Bzdura! – Na jego twarzy pojawiły się rumieńce. – Nic nie wiesz o życiu! Nie wiesz, co znaczy rewolucja! Nie masz pojęcia, ile może zginać ludzi, gdy wygra żadne władzy prostactwo!

– Jeśli tylko wszyscy rodzice będą mieli pieniądze na leczenie swoich dzieci, jestem całym sercem po ich stronie! – krzyczałam, wprawiając w osłupienie Matyldę i Florę, które wyrzwały z kuchni zaniepokojone moim wrzaskiem.

– Jesteś głupia, bezdennie głupia! – pierwszy raz w życiu Federico podniósł na mnie głos. – Pouczyłaś trochę sierotki i wydaje ci się, że jesteś rewolucjonistką! Chyba zapomniałaś, dlaczego tam poszłaś!

– By przyczynić się do wygranej konserwatystów, prawda?! I co, teraz pewnie żałujesz, że mi pozwoliłeś? Wystarczyłoby, żebym piekła ciasteczka jak twoja matka!

– Tego już za wiele! – rzucił widelcem o talerz i żywo rozwścieczony ruszył w moim kierunku.

– Federico! – Ciotka stanowczo odsunęła go ode mnie. – Daj spokój! Eva nie jest dzisiaj sobą! Oboje nie jesteście! Porozmawiacie jutro. Niech opadną emocje.

– O, mylisz się, Matyldo! – Miotalam się jak oszalała. – Właśnie dzisiaj jestem naprawdę sobą!

Musiałam wyglądać naprawdę żałośnie, skoro mój mąż nie kontynuował awantury, tylko wyszedł z salonu, rzucając chłodno zza

drzwi:

– Matyldo, zajmij się tą wariatką.

Ciotka dała mi kojącą nerwy nalewkę z męczennicy i w milczeniu trzymała za rękę, siedząc na skraju łóżka. Federico przeniósł się na noc do gabinetu.

Następnego dnia, zanim zasiadł do przeglądania papierów, które przywiózł z kancelarii, zajrzał do sypialni, chcąc dowiedzieć się, jak się czuję. Udawałam, że nadal śpię. Słyszałam jego głos dobiegający z salonu. Dopytywał się Matyldy, jak zasnęłam i przyznał, że nie powinien był mnie zostawiać w takim stanie. Już nie czułam do niego złości. Wręcz przeciwnie, trawiło mnie poczucie winy, że tak paskudnie na niego napadłam. W końcu, jeśli chciałam naprawiać świat, powinnam zacząć od samej siebie. Nie obchodziło mnie, jak żyją dzieci i wnuki Flory, a przecież nie tak dawno ganiałam z nimi po podwórzu, nie wiedziałam nic o ludziach uprawiających naszą ziemię, nie zainteresowałam się rodzinami dzieci ze szkoły. Nie miałam prawa atakować Federico. Nie mogłam pozwolić, by pierwsza kłótnia oddaliła nas od siebie. Mieliśmy być dla siebie oparciem w każdych okolicznościach. Chciałam poprosić go o przebaczenie.

ROZDZIAŁ VI



Tydzień po tym, jak Jose Santos Zelaya na dobre rozgościł się w gabinecie prezydenta, do Nandaimé przybyła rodzina von Badenbrock. W czasie gubernatury ojca nie zaglądali tu często, można by rzec, całkowicie oddali nam we władanie rodową posiadłość. Chcąc się z nimi spotkać, to my musieliśmy jechać do Granady. Ojciec oznajmił, że już na zawsze wyleczył się z polityki i w przeciągu najbliższego miesiąca przeprowadzą się do domu na dobre.

Wkrótce w naszym salonie pojawiła się niezliczona ilość pudeł i walizek, wypełnionych w zdecydowanej większości garderobą dziewcząt i matki. Jako posiadaczka zaledwie trzech sukienek w wieku dorastania – jednej do szkoły, jednej do domu, a jednej do kościoła, byłam zaskoczona, że można mieć tyle strojów. Widocznie jednak w mieście nie należało pokazywać się dwa razy w tej samej kreacji. Nie odczuwałam cienia zazdrości, było mi nawet żal moich zachłyśniętych wytwornym życiem siostr, które wyrosły na dorodne panny. Byłam pewna, że ciężko odchorują powrót do dawnego, znacznie skromniejszego bytu.

Rzadko je widywałam. Duża różnica wieku między nami sprawiła, że nie miałam z nimi wspólnych tematów do rozmów. Isabel dopiero co wchodziła w piętnasty rok życia, ale jej ciało wczesnie nabierało pełnych, kobiecych kształtów. Czarne, gęste włosy odziedziczone po matce upinała w wysoki kok, chcąc wyglądać jeszcze poważniej. Miała zmysłową powierzchowność i frywolny temperament. Rodzice już zaczęli rozglądać się za dobrym kawalerem i zabierali ją na liczne spotkania towarzyskie. Byłam tym zdumiona, bo w końcu nie tak dawno wyszłam z ich niezwykle tradycyjnego domu, w którym do dnia zamążpójścia byłam pilnowana na każdym kroku. Kilka lat życia w mieście sprawiło, że konserwatywni ludzie zmienili swoje poglądy na

bardziej swobodne. Paula liczyła prawie trzynaście lat, ale i ona nie miała już wiele z dziecka. Wystrojone niczym porcelanowe lalki siostry niechętnie odwiedzały Nandaime. Wolały wielkomięskie towarzystwo od wieśniaków z rodzimej miejscowości. Snuły się znudzone po domu, nawet nie wystawiając nosa do urokliwego ogrodu, nie mówiąc już o dalszym spacerze po kawowej plantacji. Odliczały dni do powrotu do Granady, a czas – płynący tu dla nich bardzo powoli – spędzały na wrózeniu z kart lub czytaniu książek.

Nasz dom nie był tak wielki jak ten w Granadzie i trzeba się było poważnie zastanowić, jak rozmieścić wszystkich pod jednym dachem. W końcu stanęło na tym, że gabinet zostanie tymczasowo zagospodarowany na jeszcze jedną, czwartą sypialnię dla moich sióstr.

W pierwszych dniach wszyscy byli wobec siebie uprzejmi i uważali, by nie wchodzić sobie w drogę, ale już po miesiącu wiedzieliśmy z Federico, że jest tu nas za dużo. Matka ponownie zaczęła urządzać dom po swojemu, ustaliła stałe godziny wspólnych posiłków, przydzielała mi prace domowe zupełnie jak wtedy, gdy byłam panną. Ojciec odnawiał stare znajomości, urządzając co dwa dni spotkania towarzyskie. Salon, w którym po kolacji czytaliśmy z Federico, prawie zawsze był zajęty. Albo przez częstych gości, albo przez moje siostry układające z nudów pasjansy. Niewielka sypialnia stała się naszą pustelnią, w której szukaliśmy ciszy i spokoju.

Federico zdecydował, że czas najwyższy zamieszkać u jego rodziców, którzy sami zajmowali przestronną rezydencję. Nie bardzo mogłam sobie wyobrazić życie z moimi teściami, ale musiałam przyznać, że w ich domu moglibyśmy zająć co najmniej trzy pomieszczenia, zamiast jednej sypialni. Federico przede wszystkim potrzebował gabinetu, który objęły we władanie moje siostry. Nie miałam innego wyboru, jak tylko przystać na przeprowadzkę, co spotkało się z cichym aplauzem całej mojej rodziny, może z wyjątkiem Matyldy. Zmusiłam Federico do złożenia obietnicy, że będzie to stan przejściowy i w międzyczasie poszukamy domu dla siebie.

W dzień sprowadzenia się do państwa Barroso obudziłam się z atakiem potwornej migreny. Moje ciało krzyczało – nie! Nie widziałam

tylko sposobu, by zawrócić. Z miną skazańca zesłanego na kilka lat więzienia o zastrzonym rygorze, przekraczałam próg eleganckiej rezydencji, w której dotychczas nie bywałam zbyt często, może dwa, trzy razy w ciągu roku, na Boże Narodzenie i przy okazji jakichś spotkań mających związek z polityką.

Laura podjęła nas wystawnym obiadem, jaki zwykle urządza się z okazji świąt. Podczas przystawki i zupy było całkiem poprawnie, choć na milę trąciło sztucznością. Wszyscy uprzejmie się uśmiechali i prawili sobie komplementy. Przy daniu głównym dowiedziałam się, jak wielką szkodę ponieśliśmy z powodu mieszkania na prowincji. Federico marnował czas i zdrowie, jeżdżąc między Granadą a Nandaime. Nasza rozłąka wpłynęła na brak potomstwa. Nie bywaliśmy w eleganckim towarzystwie. Federico nie mógł należycie dopilnować spraw partyjnych. Czekałam, aż padnie stwierdzenie, że to przeze mnie Zelaya dorwał się do władzy.

– W tym domu wasze życie zmieni się na lepsze – teściowa roztaczała przed nami obiecujące widoki. – Federico poświęci się pracy i polityce, a ty, Evo, zaczniesz wreszcie żyć, jak przystało na damę – zakończyła z właściwą sobie życzliwością.

Kaczka w granatach stanęła mi w gardle. Federico nawet nie mrugnął, zajęty odcinaniem kawałka drobiu srebrnymi sztućcami.

Było tak, jak zapowiedziała Laura. Nasze życie zmieniło się. Otaczał nas blask licznych, codziennie polerowanych, zwierciadeł i srebrnych świeczników, otulała miękkość perskich dywanów, kusiły łoże z baldachimem i aksamitne sofy, a ze ścian spoglądali z portretów arystokratyczni przodkowie. Każdy zakątek tego domu świadczył o wyrafinowanych gustach gospodarzy i ich zasobnym portfelu. Cóż, kiedy w tych pałacowych, przestronnych wnętrzach o swobodzie można było tylko pomarzyć. Francuska piękność rządziła w domu niepodzielnie. Cały czas czułam na sobie jej oddech. Cały czas czułam się przez nią oceniana. Nawet stanowczemu poza murami rezydencji Fernando miękkły kolana pod jej pełnym pretensji głosem. Doskonale opanowała sztukę odgrywania łzawych dramatów, kiedy ktoś chciał się jej sprzeciwić. Fernando mógł walczyć z całym światem, ale – jak ognia

– unikał starcia ze swoją żoną. Byłam pod wrażeniem, jak ta krucha kobieta wodziła za nos dwóch rosnących mężczyzn – męża i syna. Ja miałam zaszczyt dołączyć do tej menażerii, którą tresowała z kunsztem artysty cyrkowego.

W kwestii wychowania mnie na damę Laura także dotrzymała słowa. Z początku organizowała mi czas od pierwszych promieni słońca, aż po jego zachód. Zabierała mnie na przymiarki sukien, które jej zdaniem, powinna nosić osoba o nazwisku Barroso. Nauczyła mnie, jak używać pomad kryjących cienie pod oczami, jak nadać delikatny rumieniec kościom policzkowym, dyskretnie podkreślić kształt ust. Poznałam jej arsenal eliksirów młodości, które sprowadzała z francuskich kosmetycznych manufaktur. Pokazała mi, że urodzie można, a nawet należy, dopomóc, a prawdziwa kobieta musi mieć swoją przestrzeń, w której doprowadza się do porządku, zanim zobaczy ją mężczyzna. Federico miał więc swój gabinet, a ja prywatny buduar, którego urządzenie wzięła na siebie moja wytworna teściowa. Po mniej więcej dwóch miesiącach Laura znudziła się plenieniem mojego prostactwa i powróciła do swoich codziennych zajęć, które ostatnio mocno zaniedbała – ćwiczenia etюд na fortepianie, czytania francuskich romansów i pogawędek ze znajomymi żonami konserwatystów.

Mimo że robiłam co w mojej mocy, by nie odstawać od poziomu państwa Barroso, nie mogłam być wymarzoną synową. Laura nie potrafiła powstrzymać się od westchnień wyrażających żal, że po jej domu nie biegają nasze dzieci.

– Jesteś taka chuda, a jadasz przerażająco tłuste rzeczy. Czy to nie dziwne? – zastanawiała się, kiedy zabierałam się za pieczeń wieprzową.

– Musisz mieć robaki. To wszystko tłumaczy. Gdybym żywiła się tak jak ty, nie mogłabym przejść przez drzwi w salonie. Tak wąskie biodra mogą pomieścić co najwyżej królika, a nie dorodnego chłopca. – Krzywiła się podczas przymiarek u krawcowej.

Byłam przeczulona na punkcie niezaspokojonej potrzeby bycia matką i każde słowo raniło moją duszę. Nie odpierałam jednak ataków. Przyjęłam strategię przemilczania wszystkich przykrych uwag. Wciąż czułam się małą dziewczynką, którą dorosła osoba ma prawo besztuć do woli.

Z czasem zaczęło do mnie docierać, że Laura nie traktuje mnie wyłącznie jak nieudane dziecko, ale jak swoją rywalkę. Tylko ona mogła skupiać na sobie uwagę, tylko ona była królową. Obruszała się, kiedy Federico poświęcał mi więcej czasu, co się zdarzało coraz rzadziej. Czyniła wyrzuty, gdy Federico najpierw ze mną podzielił się jakąś nowiną, a ona dowiadywała się o niej w drugiej kolejności. Traciła humor, gdy podczas przyjęcia dostałam więcej komplementów niż ona.

Stało się jasne, że pod dachem granadyjskiej rezydencji mieszkały dwie kobiety walczące o pierwsze miejsce w życiu tego samego mężczyzny.

Na szczęście pozostał jeden obszar, gdzie miałam męża tylko dla siebie – łóżko małżeńskie. Choć z upływem lat częściej służyło nam za miejsce wypoczynku, niż miłosnych uciech, niemal zawsze zasypialiśmy wtuleni w siebie jak nowożeńcy. W takich chwilach, gdy nie dosięgały nas oczy i uszy Laury, nieśmiało przypominałam Federico, by rozejrzał się za jakimś domem dla nas. On jednak wykręcał się dalece niesprzyjającą sytuacją polityczną.

– W czasach, gdy u władzy jest banda krwiożerczych idiotów, bezpieczniej jest mieszkać w większym gronie – próbował wybić mi z głowy wyprowadzkę. – Nie masz pojęcia, co się dzieje w Managui!

Nie miałam równie mocnych kontrargumentów w tej kwestii i nie pozostawało mi nic innego, jak tylko poznać kres swojej wytrzymałości.

„Banda krwiożerczych idiotów” istotnie rozrządziła się na dobre, a Federico i Fernando nie mogli się z tym pogodzić. Dzień zaczynali od lektury przy śniadaniu doniesień ze wszystkich dostępnych gazet. Emocje sięgały wówczas zenitu i wprawiały w drżenie kryształowe żyrandole. Prawdziwą burzę wywołało ogłoszenie La Apocalypsis – nowej, przewrotnie nazwanej konstytucji, która uderzała w podwaliny Partido Conservador – Kościół. Zelaya zdecydowanym ruchem oddzielił kler od rządu, upaństwowił kościelne cmentarze, a jakby tego było mało, wprowadził rozwody i śluby cywilne.

– Cóż innego mógł zrobić bękart! – parskał pogardliwie Fernando wypominając okoliczności narodzin prezydenta. – Dla takiego nie ma żadnej świętości!

– Kto z Kościołem wojuje, w piekle wyląduje! – nie mieściło mu

się w głowie, że można odwracać odwieczny porządek. Nienawiść nie pozwalała mu dojrzeć żadnej z pozytywnych zmian, jakie wprowadzał Zelaya. – To wszystko już było! To wszystko myśmy już robili! – targał artykuły o planowanej rozbudowie kolei czy rozszerzeniu floty na jeziorach. – Wróćmy do dżungli! Załóżmy na lędźwie skórzane przepaski i weźmy do ręki dzidy! Nie potrzeba nam obcych! – szydził z silnie nacjonalistycznej polityki generała, który ukrócił przywileje zagranicznych dyplomatów i od razu przystąpił do porządków na wschodnim wybrzeżu. Ziemie okupowane od lat przez Brytyjczyków wkrótce wróciły do Nikaragui, nazwane wymownie Departamentem Zelayi.

Przywykłam do tego, że Fernando i Federico od świtu do nocy walczyli na słowa w murach swojej rezydencji ze zwycięskimi liberałami, emocjonowali się jak chłopcy, którzy przesuając ołowiane żołnierzyki, udają, że bawią się w wojnę. Rozruchy były jednak daleko w Managui. Granada żyła leniwie i jowialnie. Nie czułam zagrożenia z powodu przemian w kraju, spędzając dni na szezlongu w moim buduarze. Do czasu. Gdy nowa władza zaczęła konfiskować majątki najbardziej zamożnych i aktywnych politycznie konserwatystów, na rodzinę Barroso padł blady strach. Fernando nie był wprawdzie plantatorem, nie parał się uprawą ziemi, którą można było uwłaszczyć, ale zarobione w kancelarii pieniądze lokował w nieruchomościach szczególnie przydatnych dla powstających szkół i urzędów. Nadzieją mogły być tylko kolejne wybory, ale sam pomyślał, że Zelaya dałby się łatwo odsunąć od władzy, nawet mnie wydawał się nedorzeczny. Jak na razie nieskrępowany przez zasady demokracji El Diablo, jak go nazywał Fernando, robił wszystko, by rządzić niepodzielnie, a swoich przeciwników rozgniatał z łatwością, z jaką służące tłukły muchy wlatujące do salonu.

Pomysł zawłaszczania majątków okazał się jednak kijem wsadzonym w mrowisko. Konserwatyści podnieśli się do walki. Część wojskowych została przekupiona. Odpowiedzią Zelayi były masowe aresztowania. Na ulicach Managui publicznie wymierzano sprawiedliwość. Walki „na górze” przeniosły się na niziny. Przyjaciele zaczęli donosić na przyjaciół, krewni na krewnych, nikt nikogo nie mógł

być pewien.

W obliczu tak groźnej sytuacji zawiesiliśmy z teściową broń i zaczęliśmy odnosić się do siebie z większą życzliwością. Cóż znaczą rodzinne porachunki, kiedy w stolicy giną ludzie.

Pewnego przedpołudnia, gdy Fernando i Federico udali się do kancelarii, Laura bez pukania wtargnęła do mojego buduaru, gdzie wzorem teściowej odpoczywałam po śniadaniu z lekturą w ręku. Opłakiwałam właśnie los Małgorzaty Gautier, która po rozmowie z ojcem Duvala podjęła rozdzierającą serce decyzję, by porzucić ukochanego.

– Muszę z tobą pomówić. – Laura cała się trzęsła. Przypadkowo usłyszała rozmowę służących o tym, co dzieje się w okolicach Managui. Bogaci mieszkańcy miasta uciekali na prowincję przed coraz bardziej rozjuszoną biedotą, a ich piękne domy były natychmiast plądrowane. Kobiety wyraziły nadzieję, że do Granady także dotrze sprawiedliwość. Żartowały niewybrednie, jak podzielią między sobą precjoza Laury, a ją samą wyrzucą na ulicę odzianą jedynie w nocną koszulę.

– Nie wiem, czy mówić o tym Fernando – szeptała teściowa. – Czy grozi nam niebezpieczeństwo ze strony służby?

– Papa może wpaść w szal i je wyrzucić, ale nie mamy pewności, że ktoś jeszcze gorszy nie przyjdzie na ich miejsce – starałam się ją uspokoić.

– Trzeba tylko mieć oczy i uszy otwarte, no i uważać na to, co się przy nich mówi – dodałam, nalewając jej orzeźwiającej wody z cytryną.

– Jestem zdumiona twoim rozsądkiem. – Laura po raz pierwszy popatrzyła na mnie z podziwem. – Masz rację. Na razie bez żadnych gwałtownych ruchów.

Muszę przyznać, że po tym, co zasłyszałam od teściowej, nie mogłam zaznać spokoju. Przyśniło mi się nawet, jak bezzębna Maria z garbatą Carmen ubrane w nasze suknie panoszą się w rezydencji jak prawowite właścicielki. Upojone mieszanką szampana z whisky, patroszą szkatuły z biżuterią Laury, malują bezzębne usta jej pomadkami, przetrząsają gabinet Fernando w poszukiwaniu pieniędzy. Sen był tak wyraźny, że kiedy rankiem Maria weszła do salonu z kawą, podskoczyłam na jej widok, jakbym zobaczyła samego El Diablo. Laura

także musiała być podszyta strachem, bo przestała łajać służące z byle powodu.

Któregoś wieczoru Federico nie dotarł na kolację, co mocno zaniepokoiło mnie i jego matkę. Tylko teść nie widział w tym nic dziwnego – pewnie Federico zabrał się za porządkowanie sterty papierów z rozpraw piętrzących się w kilku kolumnach na podłodze w kancelarii. Wymieniłyśmy z Laurą spojrzenia, które mówiły, że obie przeczuwamy coś niedobrego. Dochodziła dziesiąta wieczorem, gdy Federico przekroczył próg domu.

– Jest niedobrze – powiedział zrezygnowany, zdejmując płaszcz w sieni, dokąd przybiegłyśmy obie z Laurą, słysząc odgłos zamykanych drzwi. – Jest naprawdę niedobrze.

– Co się stało, Federico, mów jaśniej na miłość boską! – teściowa cała drżała.

– Złapali Santeza tuż przed dotarciem do portu! – z tonu głosu Federico wynikało, że to coś strasznego, choć ja nie miałam pojęcia, kim był Santez i gdzie się wybierał. – Cały spisek został wykryty! Wszyscy straceni!

– Bzdury! Brednie! – zagrzmiął tubalny głos teścia, który spieszył do salonu. – Skąd masz te wiadomości, ha? Rozpowszechniają je liberalne wieprze, by podburzyć motłoch!

– Wiem na pewno. Przyjechał do mnie Antonio. Wszystko mi opowiedział. Sam wyjechał z rodziną z Managui, zostawiając piękny dom i swoją kancelarię. Wynik wyborów też jest przesądzony.

– Nie mieści mi się to w głowie! To wcielony diabeł! – Fernando kręcił głową z niedowierzaniem, jakby za czasów trzydziestoletnich konserwatystów nikt nigdy nie manipulował przy wyborach.

– Ma za sobą armię. Nikt go nie obali – stwierdził sucho Federico. – Nasza era się kończy.

– Konserwatyści są wieczni! – Fernando uderzył pięścią w stół z taką mocą, że kawa w stojącej na skraju porcelanowej filiżanki wylała się na haftowany przez matkę Laury obrus.

– Nie czas na sentymenty. – Pokręcił głową Federico. – Trzeba myśleć o własnym bezpieczeństwie.

– W stolicy może być gorąco. Tam są stanowiska, pieniądze,

napływ motłochu ze wszystkich stron Nikaragui, ale tutaj... nikt nie ośmieli się zmieniać odwiecznego porządku. Granada zawsze była ostoją konserwatystów. Daliśmy radę Walkerowi, zetrzemy w proch Zelayę! Potrzeba tylko pomocy kogoś silniejszego! Trzeba tam dotrzeć! – głośił teść, nalewając sobie do kieliszka porto.

Spojrzałyśmy na siebie z Laurą porozumiewawczo. Czas otworzyć oczy Fernando Barroso.

– Nasza służba szemra przeciwko nam – powiedziała Laura.

– Służba? Maria i jej głupawe pomocnice, nie żartuj! One nie umieją się wysłowić. To mają być czołowe rewolucjonistki Granady? – teść zaśmiał się szyderczo, rozglądając się po salonie, czy ktoś podobnie zareagował na jego żart. Wszyscy trwali jednak w posepnym milczeniu.

– Brawo! Z takim nastawieniem dziś jeszcze powinniśmy wyjechać za granicę. Nie rozumiecie, że oni tylko na to czekają! Na nasze domy, ziemię, fabryki, sklepy! To jest część ich planu, wystraszyć nas i wszystko rozgrabić. Jeśli okażemy choć cień strachu, to po nas! – Barroso wpadł w szał. – Już ja tym aktywistkom jutro pokażę! A teraz spać! Spać!

Laura i ja rozeszłyśmy się do swoich sypialni, a Federico z teściem zamknęli się w gabinecie. Mimo iż dochodziła trzecia w nocy, nie mogłam zasnąć, tylko czekałam na Federico. Gdy dotarł wreszcie do sypialni, usiadł na skraju łóżka i ukrył twarz w dłoniach. Wyglądał na naprawdę zmartwionego. Przytuliłam się do jego pleców. Milczeliśmy. Chciałam go zapytać, co z nami będzie, ale ugryzłam się w język. W końcu, skąd mógł wiedzieć, jak się to wszystko dalej potoczy. Przypomniałam sobie, jak wygłaszałam rewolucyjne hasła, gdy dowiedziałam się o śmierci Mii. Już nie byłam taka pewna, że chcę tej całej równości społecznej, której domagali się liberałowie. Bałam się buntu prostych ludzi, krwawego rozliczenia takich, jak my. Zaczęłam rozumieć Federico, czemu tak zaciekle walczył o dominującą pozycję konserwatystów.

Kolejne dni mijały na naradach wojennych, w których zdarzało się czasem uczestniczyć Laurze. Mnie nikt nie zapraszał do gabinetu.

Dom teściów odwiedził Antonio, który przyszedł po zmroku, a wyszedł, kiedy już świtało. Teść nie wyrzucił służących, ale zaprzestał

wygłaszania na głos politycznych tyrad, które kiedyś było słycać nawet na ulicy. Milczał złowrogo lub mruczał coś pod nosem.

Następcnej nocy spałam zaskakująco spokojnie. Byłam już tak zmęczona nieustannym rozmyślaniem o tym, co nas czeka, że ufnie oddałam się w objęcia snu. Obudziła mnie jasna poświata wschodzącego słońca, które zdawało się drwić z ludzkich namiętności i świeciło sprawiedliwie zarówno dla członków Partido Conservator, jak i Partido Liberales. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam nad sobą twarz Federico. Przytulił mnie, położyłam głowę na jego piersi i znów przymknęłam powieki. Upiory ostatnich dni spały jeszcze, więc mogłam się rozkoszować idealnym niedzielnym porankiem. Federico przez chwilę bawił się jak dawniej moimi włosami, delikatnie muskał mi policzki, w końcu jednak zsunął moją głowę na poduszkę i ciężko westchnął. Moje demony obudziły się. Zamarłam w napięciu. Czułam, że chce mi coś powiedzieć, ale nie wie jak.

– Evo... – odezwał się wreszcie. – Muszę wyjechać.

– Gdzie? Do Managui?

– Może nawet dalej – powiedział tajemniczo.

– Oszalałeś? – usiadłam na łóżku i wpatrywałam się w jego twarz z niedowierzaniem. – Chcesz narazić siebie i mnie? Co ty możesz sam zrobić?

– Nie mogę cię we wszystko wtajemniczyć. To byłoby nierozsądne. Wręcz niebezpieczne.

– Gdzie się tam zatrzymamy?

– Ty zostajesz tutaj, z moimi rodzicami – stwierdził stanowczo, podnosząc się z łóżka.

– Nie zgadzam się! Słyszysz? – krzyknęłam, a Federico przyłożył mi dłoń do ust.

– Ciszej... – wysyczał. – Opanuj się! To już postanowione. Jesteś tu potrzebna, w Managui będziesz mi tylko przeszkadzać.

– Kto tak postanowił? – mówiłam zdławionym głosem, kiedy ręka Federico uwolniła moje usta. – Twój ojciec? Twoja matka?

– Uspokój się. To moja decyzja.

– A ja się nie liczę? Ze mną nie rozmawiasz? – Łzy ciekły mi po policzkach. Nie mogłam się pogodzić z odwiecznym losem kobiet

w mojej rodzinie, które tylko dowiadywały się o decyzjach swoich mężów i przyjmowały wszystko z pokorą. Zobaczyłam, że może być inaczej. Fernando liczył się ze zdaniem swojej żony i w tym akurat przypadku, syn mógł brać z niego przykład.

Federico spojrział na mnie z wyrzutem.

– Rozczarowałaś mnie. Myślisz tylko o sobie. – Jego słowa jak ostrze wbiły się w moje serce.

– Tylko ty i ty. – Ranił mnie głębiej i głębiej. – Sądziłem, że masz więcej rozsądku i twój wzrok sięga dalej, niż tylko do granic twojego obejścia. Ale widać ta ignorancja płynie w twojej krwi... – Zamilkł nagle i odwrócił się do mnie plecami, chcąc uniknąć mojego wzroku.

Nie miałam pojęcia, o czym mówił, ale już nie domagałam się wyjaśnień. Byłam tak rozżalona niesprawiedliwym osądem, że straciłam ochotę, by z nim dalej rozmawiać. Podporządkowałam mu całe życie, a on uznał mnie za próżną egoistkę.

Od niedzielnego śniadania i późniejszego wspólnego udania się do katedry wymówiłam się bólem głowy, obiad przespałam, dopiero wieczorem, zmuszona głodem, zeszłam na kolację. Nikt nie spytał mnie o powód spędzenia niemal całego dnia w sypialni, chłodny wzrok teściów wystarczająco wyrażał dezaprobatę dla mojej egzaltacji. Federico próbował rozluźnić napiętą atmosferę i opowiadał o zawikłanym procesie sądowym, w którym brał udział jako obrońca, ale tak naprawdę nikogo to nie ciekawiło. Bawiłam się srebrną łyżeczką do herbaty, kreśląc jej rękojeścią niewidzialne obrazy na obrusie. Nie miałam zamiaru stwarzać nawet pozorów jakiegokolwiek zainteresowania. Po deserze podziękowałam za posiłek i udałam się prosto do sypialni. Przez niedomknięte drzwi słyszałam, jak prawdziwa rozmowa rozgorzała dopiero po moim wyjściu. Zimna wojna pomiędzy mną a rodziną Barroso trwała około tygodnia. Federico nie wrócił do rozmowy, ja udawałam obojętność. Nie mieliśmy zresztą wielu okazji, by doszło do ponownego starcia, bo wracał wieczorem z kancelarii, a potem debatował do późna z Fernando. Zasypiałam, zanim grubo po północy kładł się do łóżka. Spałam jeszcze, gdy wychodził z domu.

Kilka dni później o poranku Federico obudził mnie pocałunkiem w czoło. Przetarłam zaspane oczy. Stał przy łóżku ogolony i pachnący

wodą kolońską, przysyłaną z Paryża przez kuzynkę Laury. Miał na sobie ulubiony granatowy surdut z aksamitu. Wiedziałam, że wyjeżdża do stolicy. Poczułam się niezręcznie, uczestnicząc w akcie pożegnania w tak opłakanym stanie – w nocnej koszuli, spocona po niespokojnych snach, ze splatanymi włosami, bo wieczorem nie chciało mi się ich nawet wyszczotkować. Federico nachylił się nade mną. Chciałam wstać, ale przytrzymał mnie w łóżku.

– To już? – spytałam, udając obojętność. Nie spojrzałam mu w oczy, byłam wściekła, że nawet nie uprzedził mnie, że to tak prędko nastąpi. – Żona dowiadyuje się na końcu?

– Chciałem uniknąć twoich łez. – Wziął mnie za rękę. – Wiem, że cierpisz i jest mi przykro z tego powodu, ale musisz zrozumieć, że to nie jest cios wymierzony w ciebie. Kocham cię i tysiąc razy wolałbym zostać przy tobie. – Pocałował moją dłoń. – Naprawdę nie mam już czasu. Powóz czeka przed domem.

Federico wyszedł z naszej sypialni, ale zaraz zawrócił i w progu przekazał mi ostatnie wskazówki.

– Byłbym zapomniał. Ustaliłem z twoim ojcem, że jakiś czas u niego pomieszkasz. Pomyślałem, że będziesz czuła się lepiej wśród bliskich ci osób.

Pozostawił mnie w rozgrzanej jeszcze jego ciałem pościeli i unoszących się w całej sypialni oparach jego francuskiej wody. Mimo tych namacalnych śladów istnienia Federico, jego już nie było w pobliżu.

Długo nie rozpaczałam. Zdążyłam wszystko przetrwać przez te kilka dni i wiedziałam, że nie mam takiej mocy, która mogłaby go zatrzymać. Myśl, że na jakiś czas wrócę do Nandaime, była wystarczająco krzepiąca. Od czasu przeprowadzki do Granady, musiałam pożegnać się z pracą w szkółce parafialnej. Zauważyłam wyraźne ochłodzenie w stosunkach pomiędzy obiema rodzinami, odkąd ojciec wycofał się z polityki. Nie chcąc drażnić teściów, ograniczyłam wizyty w Nandaime do naprawdę istotnych powodów. Ostatnio byłam na pogrzebie kochanej Flory, którą Javier znalazł martwą w warzywniku, pośród dorodnych dyń.

Po godzinie, wyszykowana do wyjazdu, zesłam na dół do jadalni. Laura i Fernando zjedli już śniadanie, dla nich wczesny wyjazd syna nie

był niespodzianką. Zjadłam sama pozostawione dla mnie chrupiące bułeczki z marmoladą i poprosiłam Marię, by przekazała państwu Barroso, iż jestem gotowa do opuszczenia ich domu. Nawet Laurę zdumiał mój pośpiech.

– Widać, źle się tu czujesz, skoro tak od razu chcesz wyjeżdżać. – stwierdziła oschle.

– Powóz jest przed domem – rzuciła.

Zrozumiałam, że buntując się przeciwko wyjazdowi Federico, uśmierciłam wszystkie ciepłe uczucia, jakie ostatnio mi okazywała.

ROZDZIAŁ VII



Godzinę później dojeżdżałam do bramy rodzinnej posiadłości, której żelazne wrota nadal pozostawały szeroko otwarte. Tu nie było widać cienia strachu przed zwolennikami nowego ładu. Charty ojca, choć pokrzywione ze starości, wybiegły na przywitanie i wesoło obszczały dojeżdżający pod dom powóz. Biały dom tonął w kwiatach. Wonne sacuanjoche urosły do wysokości kilkunastu stóp, a pomiędzy nimi dosadzono różnobarwne hibiskusy, oleandry i gardenie. Kwitnące krzewy istotnie przyciągały niezliczoną ilość ciężko pracujących owadów – pszczoł, bąków, niesamowitych motyli, wśród których błąkały się niewiele od nich większe kolibry. Poczułam ciepło i energię, jakiej brakowało temu domostwu, kiedy byłam dzieckiem.

Gdy tylko pojawiłam się w drzwiach, wszyscy domownicy zbiegli się z różnych stron domu.

– Eva! – krzyczały dorosłe już siostry, wieszając mi się na szyi. Mama i Matylda wyskoczyły z kuchni, gdzie teraz same gospodarzyły po śmierci Flory. Ciotka popłakała się na mój widok, nawet niewzruszona matka nie zdołała ukryć przejęcia. Zaciekawiony radosnym rumorem ojciec wychylił się ze swojego gabinetu:

– Dobrze słyszę? Moja córka jest w domu? Nareszcie!

Byłam zaskoczona serdecznym i spontanicznym powitaniem. Oni naprawdę cieszyli się, że przyjechałam. Wreszcie kogoś obchodziłam. Może nie było w tym nic nadzwyczajnego, ale po chłodzie, jaki panował w rezydencji Barroso, każdy ciepły gest odczuwałam ze zdwojoną siłą.

Moja rodzina zmieniła się. Poznawałam ją na nowo. Utrata społecznego prestiżu wyszła wszystkim na dobre. Ojciec, zdjawszy frak gubernatora, zajął się na dobre plantacją. Wyglądało na to, że polityka była dla niego zaledwie epizodem, a nie sposobem na całe życie. Kolejna wygrana Zaleyi, uczciwa czy też nie, nie zrobiła na nim żadnego

wrażenia. Jak babka Gertruda wybierał to, co było akurat dla niego najlepsze i nie zamierzał konać w imię ideałów. Matka odnalazła swoją pasję w gotowaniu, siostry – zamiast przewracać z nudów oczami – pomagały prowadzić jej gospodarstwo. Za to wieczorami całkiem oficjalnie jedna przed drugą szczebiotały o swoich ukochanych. Tylko Matylda nic się nie zmieniła, bo odkąd zamieszkała ze mną i Federico w Nandaime, odważyła się być sobą i sobą już pozostała. Jej brakowało mi najbardziej.

Po obiedzie, kiedy wszyscy leniwie rozsiedli się na sofach z filiżanką kawy, Matylda wyciągnęła mnie na spacer, chcąc rzekomo pochwalić się monstrualnymi dyniami, które udało jej się wyhodować w przydomowym warzywniku.

Ona naprawdę kochała każdą piędź tej ziemi i z czułością nakłaniała ją do rodzenia coraz obfitszych plonów. Ciotka była szczęśliwa, że brat porzucił politykę i zajął się tym, czym – jej zdaniem – powinien. Ojcowizną, a raczej matkowizną, bo przecież wszystko zaczęło się od babki Gertrudy. Opowiedziała mi, jakie mają zbiory kawy i jak na nowo rozkwitła winnica. Ojciec włączył ją w zarządzanie posiadłością, dał jej we władanie sad, warzywnik i niewielką winnicę, a że wiedziała więcej niż on o uprawie kawowców, chętnie korzystał z jej pomocy. Namówiła go na zakup ziemi w okolicach wyżej położonego San Marcos, gdzie założyli nową plantację kawy. Wysoko położone grunty zupełnie nieprzydatne dla roli wydawały się być stworzone dla kawowców, które przyjęły się bez grymasów, jakie czyniły w Nandaime. Matylda zrozumiała, że jej matka, mimo ogromu entuzjazmu dla uprawy kawy, niezbyt trafnie wybrała ziemię. W San Marcos można się było zatem spodziewać obfitszych zbiorów, a co najważniejsze – lepszego gatunku ziaren. Nową plantacją, czy też zamorską kolonią, jak żartował Maximilian, bo San Marcos dzieliło z naszym domem całe dziesięć mil drogi, opiekował się Diego, syn Javiera i Flory, który niemal od pierwszych kroków, jakie postawił na tej ziemi, towarzyszył ojcu przy pracy. Posiadł wiedzę wartą garnca złotych monet. W czasie, gdy kryzys zalewał cały kraj, oni radzili sobie nadzwyczaj dobrze, choć w związku z nowym przedsięwzięciem musieli mocno zacisnąć pasa i zgodzić się na proste życie, zgoła inne niż to,

jakie wiedli w Granadzie.

Ciotka, ku mojemu zdumieniu, nie była już tak ostentacyjnie religijna, a byłam pewna, że choroba, zwana dewocją, postępuje z wiekiem. Owszem, chodziła co niedzielę i w każde święto na mszę, ale nie było jej na wieczornych nabożeństwach w dni powszednie. Była zbyt zmęczona po całym dniu pracy w gospodarstwie, zresztą – jak stwierdziła – na plantacji doświadcza obecności Boga mocniej niż gdziekolwiek indziej.

Podczas spaceru obserwowałam ciotkę kątem oka. Matyllda rozkwitła. Jej ogniście rude włosy zdawały się być odporne na siwiznę, miała smukłą sylwetkę, wyprostowane jak struna plecy, tylko ogorzała, zniszczona słońcem skóra, zdradzała jej dojrzałe lata. Nie mogłam się oprzeć, by powiedzieć jej o tym, że czas o niej zapomniał.

– No wiesz... – zawstydzila się, ale widać było, że sprawiłam jej nie lada przyjemność.

– Jako młoda dziewczyna musiałam robić wszystko, by się podobać. Niestety, zawsze wypadałam blado na tle miejscowych piękności. Miałam zakaz długiego przebywania na słońcu, bo od tego moja twarz pokrywała się tysiącem piegów. Nie wyobrażasz sobie, ile kilogramów cytryn matka wtarła mi w skórę! – wspominała z uśmiechem. – Starość przyniosła mojemu ciału wolność, robię z nim, co chcę i nikogo to nie obchodzi. Nareszcie mam je dla siebie. Mogę je smagać wiatrem, wysuszać słońcem, grzebać gołymi dłońmi w żywej ziemi – mówiła, kierując twarz w stronę słonecznych promieni.

Przemierzałyśmy powoli ciemnozieloną aleję kawowców, a Matyllda co parę kroków zatrzymywała się, by ocenić dojrzałość owoców. Z nabożnym skupieniem obracała w palcach różnobarwne wisienki. Z jednej gałązki wyrastały i te krwistoczerwone, i te, które dopiero zaczynały się złocić.

– Widzisz, jedno słońce, jedna matka, a takie różne. Jak ludzie – filozofowała.

Kiedy opuściłyśmy plantację, zaczęła bez ogródek dopytywać, jak radzę sobie w domu Barroso.

– Cóż, chyba się domyślasz, że nie najlepiej. Inaczej by mnie tutaj nie było. – Przysiadłam na zwalonym przez burzę konarze.

– Przesuń się. – Ciotka dosiadła się do mnie. – Jeśli nie chcesz, nie musisz mi o tym mówić, ale pamiętaj, znam cię od kołyski i kocham jak własne dziecko. Może ci ulży, jak się komuś zwierzysz.

Przez głowę przebiegła mi myśl, czy to aby ta sama kobieta, która zaganiała mnie do kościoła, ciągle strofowała i powtarzała, że mam diabła za skórą. Teraz siedzę z nią niemal na ziemi i jest mi najbliższą osobą na świecie.

– Nie czuję się lubiana przez moich teściów. Niby wszystko jest dobrze, nawet Laura odpuściła mi już brak dziecka, przynajmniej o tym zbyt często nie wspomina, ale coś wisi pomiędzy nami w powietrzu.

– Cóż... – westchnęła Matylda. – Oni są z innego, wielkiego świata, do którego wcale nie musisz pasować.

– Wiem... ale Federico jest tak z nimi związany, ich zdanie wciąż jest dla niego najważniejsze, nie sposób od tego uciec...

– Pogódź się z tym, że nie ma takiej kobiety w Nikaragui, a może i na całym świecie, która zasługiwałaby na ich syna – roześmiała się. – Ale tu nie chodzi tylko o ciebie, ale o twojego ojca.

– Ojca? A cóż on ma do mojego małżeństwa? – Byłam zdumiona słowami ciotki.

– Maximilian zrezygnował z urzędu gubernatora przed końcem kadencji. Już to było niemile widziane. Ale on także wystąpił z partii, co na dobre poróżniło go z Barroso. Nie chciał startować w wyborach, które – jak powiedział – przypieczętują tylko klęskę konserwatystów. Zresztą, wyborów nawet nie było, prezydent sam się wybrał. Pewnego wieczoru twój teść odwiedził nasz dom. Nie dało się nie słyszeć wścieklej awantury. Barroso nazwał Maximiliana tchórzem i zdrajcą, który jest na służbie innego plantatora. Wiesz pewnie, że Zelaya pochodzi z rodziny, która zajmowała się uprawą kawy. Oświadczył, że żałuje, iż wywindował prostaka na stanowisko gubernatora. Twój ojciec nie pozostał mu dłużny, nazywając go podstarzałym torreadorem z podkupionym tytułem szlacheckim. Kiedy dwa stare capy brały się za łby, ja od razu pomyślałam o tobie i Federico. Jak to się odbije na waszym małżeństwie.

– Nie miałam o tym pojęcia! – Kręciłam głową z niedowierzaniem.
– Federico nic mi nie powiedział... Dziwiło mnie tylko, dlaczego nasze

rodziny nie odwiedzają się jak dawniej. Żadnych wspólnych świąt. Byłam pewna, że chodzi o mnie.

– No to już rozumiesz, że nie wszystko dzieje się przez ciebie. Ciotka pocałowała mnie w czoło.

– Kochana jesteś, Matyldo... – westchnęłam. – To niebywałe, że to z tobą, a nie z matką, mogę tak szczerze porozmawiać. Na jej miejscu chyba byłabym zazdrosna, gdyby moja córka była bardziej związana z ciotką. A jej jakby to zupełnie nie przeszkadzało.

– Twoja matka to osobna historia, ale dziś dajmy już temu spokój – ucięła ciotka, podnosząc się z konaru. – Wracamy do domu! Muszę się podzielić tobą z innymi.

Następnego dnia zakończyło się świętowanie z okazji mojego przyjazdu. Wszyscy zajęli się swoimi obowiązkami, których nie brakowało w dużym gospodarstwie. Ja chciałam pobyc z matką, więc zaoferowałam jej pomoc przy gotowaniu. Odkąd umarła Flora, żadna z nowych kucharek nie zadomowiła się na dobre. Matka coraz częściej wtrącała się do garnków, aż w końcu sama założyła fartuch. Dopiero teraz okazało się, jaki talent kulinarny w niej drzemie.

Na dużym kamiennym blacie kuchennego stołu piętrzyły się świeże, wyhodowane przez Matyldę warzywa. Pomarańczowe papryki, fioletowe bakłażany, dorodne cukinie i majestatyczna dynia tworzyły barwną kompozycję, która mogłaby zostać uwieczniona na płótnie, gdyby tylko ktoś w tym domu miał talent malarski. Matka podała mi biały fartuch i poleciła kroić warzywa do farszu, którym zamierzała wypełnić bakłażany. Sama zajęła się obróbką mięsa, dostarczonego rano z sąsiedniego rancza. Kiedy podawałam jej krwistoczerwone płyty, zdawało mi się, że były lekko ciepłe, jakby cząstka żywotności beztroskiego byczka tliła się jeszcze w jego pofragmentowanym ciele. W takich chwilach dręczyły mnie rozterki natury egzystencjalnej, czy słuszne jest odbieranie życia innemu stworzeniu dla własnej przyjemności. Nie przeszkadzało mi to jednak pałaszować z apetytem mięsiwa pod różną postacią, jakby gotowe danie nie miało nic wspólnego z wcześniejszą egzekucją.

Ukradkiem zerkałam na matkę, kiedy wprawnie zamieniała krwawą masę na wołowe steki. Na jej twarzy nie było cienia

wątpliwości, że życie jest takie, a nie inne i nie należy się zbytnio nad tym rozczulać. Podziwiałam jej nieprzemijającą urodę. Czarne, grube włosy miała już mocno przyprószone siwizną, ale ich obfitość powodowała, że nadal z trudem upinała je w kok. Usta czerwone i mięsiste, które – jak powiadają – świadczą o namiętności, zupełnie nie pasowały do jej powściągliwego stylu bycia. Wydatne kości policzkowe nadawały jej twarzy szlachetnego rysu. W oczach – czarnych węglach, za firankami długich rzęs kryła się jakaś tajemnica. Była dla mnie idealnie piękna i jako dziewczynka nie mogłam się pogodzić, że odziedziczyłam urodę po rodzinie ojca – rudych, bladych, jasnookich. Wiedziałam, że na swój sposób mnie kocha, a jednak nigdy nie potrafiłyśmy się do siebie zbliżyć. Tylko jeden raz, w noc przed moim ślubem z Federico, poczułam, że jestem dla niej ważna.

Mimo że spędziłyśmy razem w kuchni niemal dwie godziny, nawet nie próbowała zagadnąć o moje życie w Granadzie. Jakby nie była ciekawa, jak mi się żyje w domu Barroso, czy jestem szczęśliwa z Federico, dlaczego do tej pory nie mam dzieci. Wyobrażałam sobie, że o te właśnie rzeczy pyta córkę stroskana matka. Chciałam, żeby była odrobinę bardziej wścibska, ale nawet na moment nie dała sobie prawa do przekroczenia niewidzialnej granicy, którą sama zakreśliła od dnia moich narodzin. Rozmawiałyśmy wyłącznie o gotowaniu. Jej daniem popisowym był tort orzechowy przekładany rumowym kremem. Przygotowywałam go wiele razy, ale nigdy nie udało mi się zbliżyć do ideału.

Przez cały pobyt w Nandaime, mimo prawdziwej radości, jaką czerpałam z czasu spędzanego z Matyldą, czekałam na wiadomość od Federico. Minęły cztery miesiące, a on nie przysłał ani jednego listu. Byłam na niego wściekła, bo sądziłam, że przysyłał wiadomości tylko Laurze i Fernando, a o mnie znów nie pomyślał. Wiedziałam, że na pocztę i telegraf w takich okolicznościach nie można było liczyć, listy mógł przekazywać tylko przez zaufanych pośredników. Postanowiłam wybrać się do Granady, by się czegoś dowiedzieć.

Na ulicy, tuż przy bramie rezydencji, spotkałam Laurę. Właśnie wybierała się na zakupy, ale gdy mnie zobaczyła, zawróciła do domu.

Nie poznałabym jej z daleka, gdyby nie zwałista Maria, która kroczyła tuż za nią z wiklinowym koszem. Tak bardzo się skurczyła i przygarbiła.

– Jesteś nareszcie. Dość długo nie interesowało cię, co w domu – zaczęła od reprimendy.

– Co z Federico? – byłam przygotowana na atak, ale nie chciałam przystąpić do wojny. – Mam nadzieję, że przynajmniej do was się odezwał.

Popatrzyła na mnie smutno. Głęboko. Poważnie.

– Nie odezwał się. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Fernando uruchomił swoje kontakty, ale wszyscy są tak mocno zastraszeni, że nikt nie chce nam pomóc.

Zamarłam. Wlepiałam w Laurę oczy z niedowierzaniem.

– Boże, jak ja żałuję, że na to pozwoliłam... – Drobnym ciałem Laury szarpnął spazm rozpacz.

Poczułam żal, że kochając tę samą osobę, stałyśmy jednak po różnych stronach barykady.

– Nie płacz... – objęłam ją spontanicznie, a Laura wczepiła się we mnie desperacko.

– Wejźmy do domu – wyszeptałam. – Patrz na nas ludzie.

Teściowa bez słowa pociągnęła mnie w kierunku drzwi. Dom nie lśnił jak zwykle czystością. Fernando oddalił jednak trzy służące, pozostawiając jedynie najstarszą Marię, która z trudem sprzątała całą rezydencję. Na nieprzywykłą do jakiegokolwiek pracy Laurę spadło teraz mnóstwo codziennych obowiązków, co szybko odbiło się na jej wypielegnowanych – dotąd nieskazitelnych – dłoniach, które jeszcze do niedawna co wieczór nacierała podgrzanym miodem i moczyła w kozim mleku.

Weszłyśmy do salonu. Laura nie zdejmując nawet płaszcza, osunęła się na aksamitną sofę. Zamknęła oczy i zdawało się, że zapadła w sen. Usiadłam naprzeciwko niej w fotelu, który zwykle zajmował gospodarz domu. Na stole zamiast starannie ułożonych koronkowych serwetek leżały rozłożone mapy, sterty gazet, jakieś pisma. W powietrzu panował chaos, tak nienaturalny w tym domu. Nawet zasłony zdawały się drwić teraz z gospodyni, bo ich fałdy układały się zupełnie przypadkowo. Przedmioty zaczęły żyć swoim życiem, uwolnione od

reżimu pani Barroso.

Laura nadal nie zwracała uwagi na moją obecność i trwała w milczeniu i bezruchu. Pomyślałam, że zapach świeżo zaparzonej kawy postawi ją na nogi i wreszcie czegoś się dowiem. Po chwili postawiłam na stole dwie białe filiżanki, z których wydobywał się energetyzujący aromat arabiki. Jednym ruchem bezczelnie zgarnęłam ze stoły wszystkie, jak przypuszczałam, ważne papiery i przełożyłam je na komodę. Poprawiłam wymięty obrus i spojrzałam na Laurę, która rzeczywiście siedziała całkiem przytomnie na sofie i wyraźnie zdumiona przyglądała się, jak panoszę się w jej domu.

Bez słowa przysiadła się do stołu. Łapczywie sięgnęła po filiżankę parującego napoju.

– Wspaniała kawa – powiedziała po wypiciu zaledwie jednego łyku. – Przyrządziłaś wspaniałą kawę, Evo.

Po chwili, gdy tylko Laura odzyskała przytomność umysłu, zaczęłam wypytywać ją o Federico.

– Wiemy tylko, gdzie się miał zatrzymać. U swojego przyjaciela ze studiów – Alonso. Ponoć tam dotarł. Fernando skontaktował się ze znajomym, który widział się z Federico zaraz po przybyciu do Managui. Ale wkrótce potem słuch o nim zaginął.

– Alonso mógł zdradzić?

– Nie sądzę, też był w to wszystko zamieszany. Ale kto wie? Sam też przepadł bez wieści. Mieszkanie Alonso jest opuszczone. Nie ma żadnego tropu, gdzie się mogli przenieść. Boimy się, że zostali aresztowani – Laura starała się być dzielna, ale jej drobne ciało drżało.

– Co teraz?

– Fernando nie może jechać do Managui. – Laura rozłożyła bezradnie ręce. – Miał znowu atak serca.

– Mnie nikt nie zna – te słowa wypłynęły ze mnie, zanim zdążyłam sobie uświadomić ich znaczenie.

– Nie pleć głupstw! – Teściowa spojrzała na mnie z wyrzutem, jakbym żartowała sobie z tak poważnej sytuacji.

Jej oburzenie umocniło mnie jednak w przekonaniu, że tylko ja mogę udać się do Managui.

– Pojadę szukać Federico.

– Fernando nigdy się na to nie zgodzi! – Laura rozlała resztki kawy, mocno stawiając filiżankę na stole. – Nigdy!

– Pozwól, że sama go o to zapytam.

Laura wprowadziła mnie do sypialni. Fernando spoczywał w łóżu z rzeźbionym wezłowiem. W białej koszuli nocnej, z rozwichrzoną brodą i bez sygnetów rodowych wyglądał niepozornie. Drzemał. Sen musiał mieć płytki, skoro przebudziło go delikatne skrzypienie drzwi.

– Eva? – wzrok miał całkiem przytomny. – Cieszę się, że nas odwiedziłaś. Siadaj. Wiesz już pewnie od Laury, że nie mamy żadnej wiadomości od Federico...

Skinęłam głową.

– Nikt nie chce pomóc. Wszyscy się boją. El Diablo potrafił zastraszyć ludzi! – zagrzmiał.

– Chcę tam pojechać – wymamrotałam nieśmiało.

– Co ty mówisz? – krzaczaste brwi Fernando powędrowały do góry.

– Pojadę do Managui – tym razem oznajmiłam dobitnie.

Zapadła porażająca cisza. Słyszałam, jak bije moje serce, a Laura, która właśnie przyniosła Fernando bulion, nerwowo przełyka ślinę. Teść wbił we mnie czarne, lśniące oczy.

– Evo – przemówił wreszcie. – Nie masz pojęcia, co tam się dzieje. To krwawa jatka, nie zabawa. Czy w Nandaime byłaś choć raz przy świniobiciu? Nie? Racja. Bo to nie dla delikatnych panienek. A w Managui rzeźnia znajduje się na ulicach. Dlatego Federico nie chciał cię zabrać. Nie wybaczyłby mi, gdyby coś ci się stało.

– Ja nie chcę waszego pozwolenia. I tak tam pojadę. Muszę wiedzieć, co dzieje się z moim mężem. Nie mogę żyć w niepewności. Zdradź mi tylko, gdzie Federico miał zatrzymać się w Managui. Nic więcej. Zresztą, czy widzisz jakieś inne rozwiązanie? Ty nie możesz tam jechać.

– Jesteś kobietą.

– Na kobiety nie zwraca się uwagi.

– Daj mi trochę czasu, muszę to wszystko przemyśleć. – Odsunął talerz, który przyniosła mu Laura. Najwyraźniej stracił apetyt. – Whisky. Daj mi whisky – zwrócił się do żony.

Wróciłam do domu poradzić się Matylidy. Ona jedna była dla mnie oparciem. Wiedziałam, że ojcu nie spodoba się moja decyzja, był niezadowolony, że Federico nie wycofał się w porę z polityki. Nie wierzył w wygraną konserwatystów, bo – jak twierdził – chcą powstrzymać to, co nieuchronne.

– Stary ład się skończył, trzeba się z tym pogodzić i zadbać o swój interes. Krowy nie przestały dawać mleka, a kury nieść jaj. Ziemia rodzi lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Ja to, na szczęście, zrozumiałem, ale ten osioł Barroso dalej ma klapki na oczach. Posługuje się Federico, by realizować własne ambicje. A ty przy tym cierpisz – tak ojciec skwitował wiadomość o wyjeździe Federico do stolicy.

Nie mogłam się spodziewać, że przełknie gładko fakt, iż teraz w planach Barroso znaczącą i zdecydowanie niebezpieczną rolę miałyby odegrać jego córka. Zatem, gdy wróciłam do Nandaime, oprócz zdawkowej informacji, że Federico zatrzymał się u znajomego ze studiów, nikogo nie wtajemniczałam w moje zamierzenia. Nikogo, oprócz Matylidy.

Było już bardzo późno, gdy przysłam do jej sypialni w nocnej koszuli, upewniwszy się, że wszystkich domowników zmógł już sen. Wiedziałam, że Matylida zwykle jeszcze czytała w łóżku.

– Boże... Co mam ci doradzić? To bardzo niebezpieczne. Pewnie słuszne, bo to twój mąż, ale bardzo niebezpieczne. – Ciotka zbladła, kiedy zdradziłam jej pomysł wyjazdu.

– Ale co ty byś zrobiła na moim miejscu? Siedziałybyś spokojnie w rodzinnym majątku?

– Nie wiem, Evo, nigdy nie miałam męża. – Matylida wzruszyła ramionami.

– Pomyśl, co mam do stracenia – głośno się zastanawiałam. – Nie mam dzieci, więc nawet jeśli coś mi się stanie, nikogo nie osierocę. Rodzice mają jeszcze dwie córki, nie zostaną sami na starość. Nie mogę żyć dalej ze świadomością, że być może mogłam pomóc mężowi, ale stchórzyłam.

– Zabrzmi to okrutnie, ale jesteś wciąż wystarczająco młoda i ładna, by wyjść powtórnie za mąż. Federico sam się prosił o taki los.

On zdradzał cię z polityką i właśnie za ten romans płaci!

– Matyldo, ja go kocham. Mam do niego żal, że mnie zostawił, że zawsze byłam mniej ważna, ale on... wciąż jest dla mnie wszystkim!

– Ciszej, dziecko – ciotka uspokajała mnie. – Ja się po prostu boję o ciebie, nie chcę cię stracić. Tu jest naprawdę spokojnie. Żyjemy z dala od tej głupiej walki, wszyscy się znają od dziecka i jakoś żyją obok siebie – i konserwatyści, i liberałowie. Żaden chłop nie podniesie ręki na pana. Zresztą, uwierz mi, twój ojciec dobrze gospodarzy, ludzie go szanują.

– Nie mogę tak żyć, Matyldo. Ja tu i tak umrę...

– Więc rób to, co dyktuje ci serce. A ja się będę modlić. – Oczy ciotki szklily się w świetle naftowej lampki.

Przytuliłam się do niej. Pachniała ciepłym mlekiem, jakie co wieczór wypijała na dobry sen i wodą różaną, którą dyskretnie skrapiała całą garderobę. Jej serce biło szybko i głośno.

ROZDZIAŁ VIII



Po kilku tygodniach bezowocnego oczekiwania na wiadomość od Federico ponownie stanęłam przed drzwiami rezydencji Barroso. Nie mogłam być pewna, czy Fernando zdecyduje się pomóc mi w wyjeździe do Managui, ale na wszelki wypadek zabrałam ze sobą torbę z rzeczami niezbędnymi w podróży. Poprosiłam Matyldę, by podłożyła mój list w salonie, gdybym nie wróciła do Nandaimé następnego dnia. W liście wyjaśniłam ojcu, że jadę do Managui w poszukiwaniu Federico. Decyzję podjęłam sama, ale spodziewając się jego dezaprobaty, nie ośmieliłam się go osobiście powiadomić. Wyobrażałam sobie, jak ojciec rwie na strzępy niczemu winną kartkę papieru, wykrzykuje niewybredne inwektywy pod adresem Fernando Barroso, a mnie... przeklina i wydziedzicza.

Dochodziła jedenasta przed południem, gdy Laura otworzyła przede mną drzwi swojego domu. Zobaczyła mnie z podrózną torbą, gotową na ryzykowną wyprawę dla jej syna. Jej spojrzenie nie było już takie chłodne. W salonie w kłębach dymu siedział w fotelu Fernando Barroso. Byłam pewna, że tej nocy nie zmrużył oka, tylko, paląc jedno cygaro za drugim, obmyślał, jak może pomóc mnie i Federico.

– Jesteś... – uniósł ciężko głowę, gdy weszłam do salonu. – Cóż... Evo, wydaje się, że nie mogę wymyślić nic lepszego... Jeśli tylko masz chęć i odwagę, by jechać do Managui, dam ci swoje błogosławieństwo i wsparcie. – Jego czarne, zmęczone chorobą i zmartwieniami oczy spoglądały na mnie w napięciu.

– Chcę jechać – powiedziałam zdecydowanie. Najwyraźniej Fernando oczekiwał takiej deklaracji.

– Zatem do rzeczy. Do rzeczy – odzyskał dawny wigor. – Leonardo odwiezie cię na stację. Tam wsiądziesz do pociągu jadącego bezpośrednio do Managui. Mogłabyś jechać powozem do samej stolicy,

ale to byłoby podejrzane dla licznych patroli wojskowych po drodze. W pociągu wmieszaj się w tłum podróżujących. W Managui udasz się prosto do stryjecznego brata mojej matki – Alejandro Prado. Przy Calle Real. Dasz mu ten list. – Fernando wręczył mi kopertę. – Pamiętaj. Nie wdawaj się w żadne rozmowy z ludźmi w pociągu, wszędzie jest pełno szpicli i nawet nie będziesz wiedziała, że jesteś właśnie przesłuchiwana. Gdyby cię ktoś zatrzymał, możesz zawsze mówić, że jesteś nauczycielką i jedziesz w poszukiwaniu pracy. Albo lepiej, że jedziesz na pogrzeb kogoś bliskiego. Przedstawiaj się nazwiskiem panińskim swojej matki. Najważniejsze, by Prado przyjął cię pod swój dach, potem musisz działać sama. Nie wtajemniczaj go zbyt w poszukiwania, jest już wiekowy. I tak ci nie pomoże, a jeszcze wyklepie coś w roztargnieniu. Tu masz zapisane, gdzie ostatnio mieszkał Federico z tym, no jak mu tam... – Barroso zwrócił się do Laury.

– Alonso Rodrigez... – jej nie zawiodła pamięć.

– Właśnie, Alonso Rodrigez, nie wiem, jak mogłem zapomnieć nazwiska, które wymienia się w tym domu tysiąc razy w ciągu dnia! – Fernando wsparł rękoma wielką brodatą głowę. – Tracę umysł... – mruknął.

Teś ocenił, że mój strój nadaje się na wyjazd. Ciemnobrązowy, już dość znoszony płaszcz i popielata sukienka z białym kołnierzykiem, były w sam raz dla ubogiej nauczycielki. Tylko na buty, czarne, nowiutkie pantofle z cielejącej skóry, kręcił nosem. Kazał Laurze przynieść mocno już zdezelowane sznurowane obuwie niewiadomego pochodzenia, bo na pewno nie było ono własnością pani Barroso. Nie miałam większego wyboru, więc z żalem pożegnałam się z moimi pantoflami i założyłam nieco za duże, ale nawet wygodne buty. Fernando wręczył mi plik banknotów. Szczerze mówiąc, liczyłam na to, byłam posiadaczką zaledwie paru pesos. Nie zarabiałam przecież i gospodarowałam niewielkimi sumami pieniędzy, które wydzielał mi Federico.

– A to schowaj gdzieś głęboko. – Fernando położył na stole sakiewkę z bordowego aksamitu. – Klucz do wszystkich drzwi – wyjaśnił widząc moje zdziwienie, kiedy po rozsypłaniu sznurka, ujrzałam złote monety. Przeraziłam się. Gdzie mam dźwżyć taki skarb?

Pod spódnicą? W gorsecie? Skąd mam wiedzieć, kiedy i komu go przekazać?

Najcenniejszą rzeczą, jaką miałam w torebce, był ulubiony różaniec Matyldy, który wcisnęła mi tuż przed opuszczeniem rodzinnego domu. Nie chciałam go jej zabierać, widziałam, że nosi go wszędzie ze sobą i czułam, że to jej talizman. Ciotka była nieugięta.

– Mam jeszcze kilka... – Uśmiechnęła się, wręczając mi cenny przedmiot. – Znasz mnie przecież... Ale bez tego bym cię nie wypuściła.

Nie wiem do dziś, jaka jest historia tego cudownego różańca, dlaczego był dla niej taki szczególny, ale wciąż go przechowuję i strzegę jak oka w głowie. Z rzadka jednak przesuwam między palcami ciemnozielone koraliki z malachitu, wystarczy mi sama świadomość, że go mam przy sobie.

Pożegnałam się z teściami i wsiadłam do powozu, który zawiózł mnie na stację. Pociąg miał spore opóźnienie. Na stacji, oprócz mnie było jeszcze kilku mężczyzn, którzy przyglądali mi się z zainteresowaniem. Żadnych samotnych kobiet. Ogarnął mnie lęk. Po raz pierwszy jechałam daleko zupełnie sama. Przez głowę przemknęło mi zdanie zasłyszane na podwieczorku, który ciotka Matylda organizowała raz w miesiącu dla swoich przyjaciółek – „Ta kobieta sama się tego dopraszała! Włoczyła się po świecie jak jakaś lafirynda, to skończyła, jak skończyła!”. Doña Manuela dobitnie zakończyła opowieść.

Jako niespełna dziesięcioletnia dziewczynka nie miałam pojęcia, co spotkało rzeczoną buntowniczkę, z pewnością jednak nic dobrego. Wiedziałam także, że nikt jej nie żałował. Pomyślałam o ojcu i matce, którzy niebawem dowiedzą się o moim wyjeździe. Po fali gniewu zaczęła się zamartwiać, a ciotkę zjedzą wyrzuty sumienia, że mnie nie powstrzymała. Wbiłam im nóż w serce, to pewne, ale czułam, że to, co robię, mimo wszystko, jest właściwe. Zastanawiałam się tylko, czy Federico byłby zdolny do takiego kroku wbrew woli swoich rodziców. Nagle mnie olśniło, że jego ofiary nie mogą być pewna. Przez moment chciałam wracać do Nandaime, nikt by mnie nie potępił, raczej wszyscy odetchnęliby z ulgą, a rodzice Federico... Cóż, Fernando pewnie pomyślałby, że się wystraszyłam, a Laura zyskałaby kolejny dowód na

to, jak niewiele jestem warta.

Po co ryzykuję? Czy Federico jest tego wart? Czy on mnie w ogóle kocha? Ogarnęły mnie wątpliwości. Zdałam sobie sprawę, co mogę zobaczyć w Managui. Krew. Dużo krwi. Nienawidziłam jej widoku, przerażał mnie. Nie wchodziłam do kuchni, dopóki drób nie został oprawiony i nie starto ze stołu ostatniej czerwonej plamy. Gdy któryś z domowników zaciął się nożem, bezładnie osuwałam się na ziemię, zamiast udzielać pomocy. Jakże mogłam się łudzić, że sprostam takiemu zadaniu! Nawet Fernando nie odważył się pojechać...

Świst wjeżdżającego na stację pociągu przerwał moje rozmyślenia. Mężczyźni ruszyli w stronę wejścia do jedyne go wagonu dla pasażerów, w pozostałych przewożono bydło, zboże i kawę. Nie było czasu na wahania. Wsiadłam razem z nimi. Zajęłam miejsce na drewnianej ławce tuż przy oknie. Obok położyłam torbę podróżną i przez całą drogę mocno ścisnęłam jej skórzany pasek. Byłam przerażona. Bałam się podnieść wzrok, by nie musieć zmierzyć się z czyimś natrętnym spojrzeniem. Gwizdek konduktora dał sygnał ciężkiej maszynie, by z potwornym sapaniem ponownie podjęła trud podróży. Patrzyłam przez okno na przesuwany się krajobraz: zamieszkane przez biedotę przedmieścia Granady, zielony wulkan Mombacho, a dalej już tylko wypalone słońcem puste przestrzenie. Pociąg nabierał tempa, posuwał się całkiem lekko, miarowo, zgodnie z wystukiwanym przez żelazne obręcze rytmem. Rozszalałe ze strachu serce zwalniało, oddychałam głębiej i pewniej. Teraz już kłamka zapadła, jestem w drodze do Managui i nie zawrócę do domu.

Nieśmiało rozejrzałam się dookoła. Wagon był prawie pusty. Oprócz mnie siedziało w nim dwóch mężczyzn: młody, niedbale ubrany mężczyzna z jutowym workiem, który służył mu za torbę, i ksiądz z brewiarzem, pogrążony w modlitwie. Widok duchownego uspokoił mnie, miałam nadzieję, że razem ze mną dojedzie aż do Managui. Drugiego pasażera zmorzył sen. Na ławce naprzeciw niego położył nogi w uwalanych kamaszach, nieogoloną twarz niemal do połowy przykrywał kapelusz, a rdzawe plamy na brudnej koszuli były zdecydowanie podejrzanym. Wróciłam do oglądania widoków przez okno. Jednostajny stukot kół pociągu i pochrapywanie młodego mężczyzny

spowodowały, że powieki opadły mi ciężko. Obudził mnie ryk konduktora tuż nad uchem:

– Pobudka! Bilety do kontroli!

Natychmiast upewniłam się, czy moja torba nadal spoczywa obok mnie, ale okazało się, że cały czas kurczowo trzymałam jej pasek w dłoni. Wydobyłam z płaszcza bilet i podałam go mężczyźnie w granatowym uniformie.

– Tak sama? Do Managui? – spytał zaczepnie, spoglądając raz na mnie, raz na bilet. Nie zamierzałam wdawać się w dyskusje, więc mruknęłam pod nosem:

– Na pogrzeb.

Nie zbiłam tym z tropu wścibskiego mężczyzny, który drażył nadal:

– Ktoś bliski?

Właśnie zastanawiałam się, kogo uśmiercić, gdy konduktor gwałtownie odwrócił się ode mnie i jednym susem znalazł się przy drzwiach przedziału.

– A ksiądz dokąd?! – krzyknął i zniknął w ciemnym tunelu pociągu. Wtedy zorientowałam się, że w przedziale został tylko nieogolony kapelusznik, który przebudziwszy się, spoglądał spod krzaczastych brwi na mnie. Wzbudzającego zaufanie duchownego najprawdopodobniej z klerem łączyła tylko sutanna, a ja zostałam sama na sam z tym przerażającym mężczyzną.

– To kto umarł? – jego pytanie dosięgło mnie jak strzała.

– Matka. – Myślałam, że tym zakończę rozmowę.

– Matka? Ale chyba nie kochała jej seniora nadzwyczajnie. –

Nieznajomy stawał się bezczelny. – Po śmierci matki nosi się zwykle żałobę...

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Rozbroił mnie. Zgodnie z radą Fernando odwróciłam głowę w stronę okna. Milczeć. Milczeć. Milczeć.

– Ślicznotka nie raczy ze mną porozmawiać? – Roześmiał się. – No tak... Obcy mężczyzna, obca kobieta... Nie wypada... Jesteś zamężna?

Znieruchomiałam. Kapelusznik usiadł tuż obok mnie.

– To jak mężatka, czy dziewczica?

Poczułam jego oddech na szyi. Łzy napłynęły mi od oczu. Milczeć.

– Ładnie pachniesz... – Dotknął mojego karku nosem.

Milczenie nie przyniosło skutku.

Odwróciłam się gwałtownie. – Mam wezwać konduktora? – wrzeszczałam wniebogłosy.

– Dobrze, już dobrze... Nie rób awantury. – Mężczyzna wrócił na swoje miejsce i ponownie zsunął sobie na twarz kapelusz. – Mam na ciebie oko – rzucił spod wyszarpanego ronda.

Po jakimś kwadransie, jakby nigdy nic, zaczął pochrapywać. Siedziałam sparaliżowana strachem i modliłam się, by ktoś się jeszcze dosiadł. Na szczęście pociąg zatrzymał się i kilka osób stojących na peronie ruszyło w kierunku mojego wagonu. Bóg mnie wysłuchał. Biały mężczyzna i jego apetycznie czekoladowa towarzyszka usiedli naprzeciwko mnie. Kobieta. Nareszcie jakaś kobieta!

Byliśmy już blisko Managui. Para zaczęła zbierać liczne pakunki z podłogi. Kapelusznik także sięgnął po swój tobołek. Byłam prawie pewna, że będzie mnie nadal nękał, ale wysiadł jako pierwszy i wkrótce zniknął mi z oczu.

ROZDZIAŁ IX



Na dworcu w Managui podążyłam za większością podróżnych opuszczających pociąg. Byłam pewna, że zanurzę się w ulice ociekające krwią. Spodziewałam się ujrzeć ludzkie zwłoki wyścielające trotuary. Przygotowałam się na świstające nad głową kule. Nic z tych rzeczy. Wiadomości, jakie dotarły do teścia, były mocno przesadzone. Panował spokój, większy nawet niż w Granadzie, gdzie od wczesnych godzin porannych rozbrzmiewała melodia niekończącego się targu. W Managui próżno było szukać rozkrzyczanej gawiedzi. Było za to dużo mundurowych i to ich obecność, a także zniszczone fasady domów zdradzały ślady walk. Wyglądało na to, że stolica miała za sobą burzliwy okres kolejnych wyborów.

Tłum z dworcowej hali wyległ na ruchliwy, szeroki trakt. Nie miałam pojęcia, w którym kierunku się udać. Wróciłam zatem do budynku stacji i zapytałam przy kasie o ulicę, przy której mieszkał stryj teścia.

– Nie ma już Calle Real. – Kobieta sprzedająca bilety była szczerze zdziwiona.

Wygrzebałam z torby wymiętą kartkę. Calle Real. Bez wątplenia Calle Real. Czyżby choroba Fernando naprawdę pomieszała mu zmysły?

Na szczęście stojący obok mnie mężczyzna wyjaśnił, że kilka lat temu zmieniono nazwę ulicy na Calle de Triunfo, dla upamiętnienia zwycięskiego wjazdu Zelayi do Managui. Chciałam wyściskać nieznanomego za te wyjaśnienia. No tak, tego mój teść mógł nie wiedzieć.

Mogłam wziąć powóz i wygodnie podjechać pod same drzwi, ale spłoszona przez typa z pociągu, obawiałam się natrętnych pytań jakiegoś gadatliwego woźnicy. Przemierzałam więc piechotą ulicę Managui, taszcząc ze sobą torbę, która z każdym krokiem wydawała się cięższa.

Im dalej zagłębiałam się w miasto, tym więcej widziałam jego ran. Raziły wybite szyby i wysmarowane farbą mury domów. Zionęły pustką nadtrawione ogniem witryny kawiarni i sklepów. Mijający mnie mieszkańcy też byli jacyś inni – poszarzali, smutni, ubogo ubrani. Nikt nie chciał się rzucać w oczy, by nie sprowokować patroli najnowszego „dziecka” Zelayi – republikańskiej policji. Utworzono ją z ochotników, którzy w świetle prawa mogli wreszcie nacieszyć się bronią i rozliczyć z tymi, którzy wcześniej zaleźli im za skórę. Tych policjantów było zresztą na ulicach niemal tyle samo, co zwykłych przechodniów, przemykających pod murami budynków.

Zbliżałam się do parku, z którego także uszło życie. Połamane ławki, zrujnowane altany. Żadnych zakochanych par, kumoszek plotkujących o sąsiadkach, żadnych dzieciaków, bawiących się zwykle na skrawkach miejskiej zieleni pod okiem ciemnoskórych niań. Tylko gołębie i motmoty zdawały się nie przejmować ludzkimi porachunkami i jakby nigdy nic paradowały środkiem krętych alejek. Byłam poruszona tym widokiem i z każdą chwilą wydawało mi się, że moje serce coraz mocniej tęskni za dawnym, nie tak sprawiedliwym, jak pięknym światem.

Szłam powoli, odczytując numery kolejnych domów. Zapukałam do drzwi okazałej kamienicy, której okna były zakryte okiennicami. Czekałam, czekałam, czekałam... wierząc, że zaraz służąca państwa Prado powita mnie w progu. Nikt nie otwierał. Zapukałam ponownie, ale czułam, że pukam w wieko trumny. W tym domu nie było życia. Zaczęłam rozpaczliwie szarpać rączkę kutej kołatki. Zdziwione oczy żelaznego lwa zdawały się pytać, czego tu szukam. Jeszcze jeden bezskuteczny szturm na drzwi i zrezygnowana usiadłam na schodach. Nie, nie miałam nadziei, że mieszkańcy tego domu wyszli tylko na chwilę, że niedługo wrócą i poczęstują mnie ciepłą kawą i podwieczorkiem. Powoli zaczynało się ściemniać i powoli zaczynało też do mnie docierać, że mogę spać na ulicy. Nie wiedziałam, co począć. Napięcie, jakie towarzyszyło całej podróży, wyssało ze mnie resztki sił. Minęła dobra godzina, gdy jakaś kobieta nachyliła się nade mną:

– Pani na kogoś czeka?

Uniosłam głowę. Musiałam mieć wzrok kogoś, kto zobaczył ducha.

– Nie może tu pani siedzieć! Po zmroku patrolują ulice!
Poderwałam się na równe nogi.

– Czekam na Señora Prado! To krewny mojego teścia! –
Zapomniałam o wszelkiej ostrożności.

– To nic pani nie wie? – Kobieta zmarszczyła czoło – Don
Alejandro zmarł przed dwoma tygodniami.

– Ale ktoś tu mieszka? Żona? Dzieci? – dopytywałam się, czując,
jak żołądek podchodzi mi do gardła.

– Doña Lucia żyje, ale zaraz po pogrzebie wyjechała do swojej
siostry, gdzieś w okolicy Matagalpe. Dom jest pusty.

– Jak to pusty?! To co ja teraz zrobię? Nie wrócę dzisiaj do
Granady! Gdzie będę spała? – zarzucałam pytaniami zaskoczona
kobietę, jakby to ona była wszystkiemu winna. Nieznajoma rozłożyła
bezzadnie ręce. W końcu, cóż ją to wszystko mogło obchodzić.
Odwróciła się, chcąc zapewne odejść w swoją stronę, ale zaraz
powiedziała:

– Niech pani idzie ze mną. Pomogę pani. Byłam służącą państwa
Prado przez dwadzieścia jeden lat.

Ruszyłam za nią cała szczęśliwa i pełna wiary, że jakoś się
wszystko ułoży. Tak bardzo przeraziła mnie wizja nocy bez dachu nad
głową. Gdy przekroczyłam próg jej mieszkania, pomyślałam jednak
niewdzięcznie, że może warto było poszukać jakiegoś hotelu. Jedno
pomieszczenie w suterenie służyło za kuchnię, sypialnię i toaletę. Całe
umeblowanie stanowił jeden stół, krzesło, drewniana szafka
z oberwanymi drzwiczkami i metalowe łóżko. Zastanawiałam się, gdzie
miałabym spać. Kobieta wskazała mi miejsce przy stole, a sama
usadowiła się na odwróconym do góry dnem blaszanym wiadrze. Chwilę
milczaliśmy skrępowane niespodziewaną koniecznością bycia razem.

– Tak się urządziłam! – przemówiła wreszcie.

W pierwszej chwili nie wiedziałam, czy mówi to z dumą, czy
z goryczą, więc milczałam, czekając na dalsze wyjaśnienia:

– Nie żebym narzekała na państwa Prado. Płacili godziwie, ale wie
pani, człowiek sam dla siebie nic nie odłożył, dawałam siostrze, bo tam
dzieciaków dużo, a ja panna. A że mieszkałam wtedy u państwa, to
i o jedzenie dbać nie musiałam. No i o stroje. To mi przynajmniej

zostało. – Wskazała na skromną, ale dobrze skrojoną sukienkę z tkaniny niezłej jakości. – Głupia byłam, nie myślałam, że przecież starzy byli i w każdej chwili mogłam stracić posiadłość. Doña Lucia to chciała mnie nawet zabrać do tej swojej siostry, ale tamci się nie zgodzili. Mówili, że służby mają aż nadto, a teraz czasy ciężkie. No to i ja poszłam do mojej siostry po pomoc, a ona na to, że u nich zbyt ciasno, szwagier nie pozwoli...

– Jak się wszystko uspokoi, ludzie zaczną wracać do Managui. To w końcu stolica – próbowałam ją nieudolnie pocieszać.

– Doña Lucia już nie wróci. – Kobieta pokręciła głową. – Pewnie pani głodna?

Sięgnęła do szafki z drucianymi drzwiczkami, ale im dłużej jej ręka błądziła po półkach, tym bardziej rzedła jej mina.

– Niestety, nie spodziewałam się gości. – Położyła na stole suchy placek kukurydziany i kawałek żółtego sera.

W odpowiedzi wyciągnęłam z torby skarby, które Matylda uszykowała na moją podróż: pieczeń z indyka i aromatyczną kielbasę, jaką można było zjeść tylko w naszym domu – przepis przyjechał z dawnej ojczyzny Gertrudy oraz wypiekane o świcie tortille.

– No proszę, szykuje się wspaniała kolacja! – kobieta klasnęła w dłonie z zachwytem.

To dziwne, ale poczułam się bezpiecznie, siedząc obok tej dopiero co poznanej kobiety. Teraz dopiero mogłam się jej dokładnie przyjrzeć. Miała rumiane, pyzate policzki, w których podczas uśmiechu pojawiały się urocze dołeczki. Długi warkocz, kiedyś czarny jak smoła, a dziś mocno posrebrzony, upięła na głowie na kształt aureoli. Mogła mieć koło czterdziestu kilku lat. Pochłaniała wszystko z dużym apetytem, jakby zapomniała, kto tu jest gościem. Kiedy zmiotła na podłogę okruchy ze stołu, wskazała mi wąskie łóżko:

– Ja się gdzieś indziej ułożę.

Rozejrzałam się po ciasnej izbie – niby gdzie miałyby spać? Na tym klepisku?

– Nie ma mowy. Musimy się jakoś razem pomieścić.

– Mówmy sobie po imieniu – na moje słowa kobieta wybałuszyła oczy. – Jestem Eva.

– Eva. Eva. Ładnie. Ja jestem Adela. Ale... – zachnęła się – mnie tak jakoś nie wypada... Pani to inna bajka... Krewna państwa Prado, jakże bym mogła...

– Wypada, Adelo, wypada. Sam Bóg mi cię zesłał.

Obudził mnie zapach świeżo parzonej kawy, przez chwilę myślałam, że jestem w domu i to Matylda hałasuje w kuchni. Nikt nie wstawał wcześniej od niej, ale za to na wszystkich zaspanych domowników czekał orzeźwiający napój. Gdy otworzyłam oczy, zamknęłam je natychmiast, licząc, że to tylko sen, który zaraz dobiegnie końca. Mogłam policzyć każdą kosteczkę, moje ciało tak dotkliwie zapamiętało pierwszą noc w Managui. Zbyt ciasne na dwie osoby łóżko, w dodatku bez materaca, bo to coś, na czym leżałam, było tylko kłębowiskiem sprężyn, w które zaplątały się resztki włosów. Psy mojego ojca miały wygodniejsze posłania. Spałam na wąskim skrawku łóżka, z przytwierdzonym do pasa woreczkiem z monetami. W dodatku bez nakrycia, bo całą poźólkłą płachtę Adela zagarnęła podczas snu dla siebie. Zmęczone nocą i wcześniejszą podróżą ciało domagało się wody i mydła. Tylko kawa mogła mnie pocieszyć.

– Wyspałaś się? – Adela właśnie przyniosła wiadro wody, której część nalała do stojącej na stole miednicy. Bezceremonialnie zaczęła się rozbierać, ukazując obfite piersi.

– Rano trzeba się trochę ochlapać. – Mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

Zawstydzona odwróciłam się do ściany. Mimo wychowywania się w gronie kobiet, bardzo ceniłam swoją intymność i nie byłam przyzwyczajona, by obnażać przy kimś innym niż mój mąż, a i jego niechętnie wpuszczałam do swojego buduaru.

– No, czuję się jak nowo narodzona! – Adela triumfalnie obwieściła zakończenie ablucji – Twoja kolej.

Usiadłam na łóżku, zastanawiając się, jak umyć się w takich warunkach. Nie mogłam wygonić Adeli z jej własnego mieszkania, ale poprosiłam, by przynajmniej odwróciła się do ściany. Była zdziwiona, ale nie protestowała. Drugie wiadro służyło za toaletę. Pomyślałam, że tak pewnie wygląda życie w więziennej celi.

Ostatecznie kawa i resztki tortilli z Nandaime, stanowiące skromne śniadanie, poprawiły mi humor. Uznałam, że Adela jest teraz jedyną osobą, która może mi pomóc i zdradziłam jej, że przyjechałam tu za mężem. Nie musiałam mówić, że działał w opozycji do nowej władzy, bo sama się od razu domyśliła.

– Dona Alejandro też nachodzili, tyle, że on stary był i mocno schorowany. Niegroźny. – Kiwała głową ze zrozumieniem. – Mnie nie było źle. Ja takim, jak wy, nie zazdrościłam, ale moja siostra to takich panów nie lubi. Ledwo wiązała końcem, a dzieci do dziś niepiśmienne.

– Nie uważam, że to było sprawiedliwe. Sama uczyłam dzieci w szkółce parafialnej... – Zadrżałam na myśl, że jednak nie znajdę w niej sojuszniczki. A jeśli nie ona, to kto mógłby mi pomóc w odnalezieniu Federico?

– Odważna jesteś, nie ma co! – Adela pokiwała głową z uznaniem, kiedy wyjawiałam jej powód mojego przyjazdu do Managui. – Taka paniusia wychuchana, w życiu bym nie pomyślała! – No, ale dobrze trafiłaś. Mój szwagier ma dużo kontaktów. Wiesz, pracował tu i ówdzie, a jego brat to zgłosił się do tej policji. Tej nowej, wiesz... To nie lada szycha!

Adela zauważyła przerażenie w moich oczach.

– Nie bój się, dla pieniędzy zrobią wszystko i dwóm panom będą służyć.

– Mam pieniądze, ale nie wiem, czy wystarczy. Ile taka pomoc może kosztować? – Wyraźnie poczułam żar ukrytych pod spódnicą monet. Chciałam wierzyć, że Adela nie sprowadzi tu szwagra, który dla kilku tysięcy pesos sprawnie oprawi mnie jak królika.

Adela poszła powęszyć na Calle Candelaria. Mnie doradziła pozostać w suterenie, a ja aż się wzdrygnęłam na myśl, że miałabym tu spędzić sama kilka godzin.

– Chcesz, to idź. – Adela okazała się nadzwyczaj bystra. – Kup nam coś do jedzenia. Ale nie odchodź za daleko, żebyś się nie zgubiła. Klucz wrzucić do donicy z hortensjami. – Pulchna sylwetka Adeli zniknęła w czeluściach ciemnego korytarza.

Jak przewidziałam, trudno mi było usiedzieć w piwnicznej izbie, do której prawie nie docierały promienie przedpołudniowego słońca.

W świetlistej aurze Managua nie wyglądała tak ponuro jak poprzedniego wieczoru. W sklepie mieszczącym się w kamienicy obok nie znalazłam niczego prócz oliwy i sera. O mięsie można było tylko pomarzyć, nie było też świeżych warzyw ani owoców. Przeszłam ulicę dalej. Zuchwale zamarzyłam o zakupie jakiegoś pledu, którym mogłabym otulić się kolejnej, wilgotnej nocy. Ucieszyłam się, gdy w jednej z witryn dojrzałam wyblakły afisz „Pedro Ramirez. Tekstylija”. Nieśmiało trele dzwoneczka poruszanego przez otwierane drzwi poderwały drobną kobietę zza lady. Mój wzrok przewędrował po izbie. Smutny to był widok – cherlawa sprzedawczyni otoczona wysokimi drewnianymi regałami, które powyżej wysokości jej głowy dźwigały jedynie potężne pierzyny kurzu. Ani śladu pledu czy jakiegokolwiek innej tkaniny. Na dolnych półkach leżały rozmaite przedmioty, zupełnie do siebie niepasujące – druciane binokle, kilka książek, filiżanka z utłuczonym uszkiem, futrzana mufka. Po tekstyliach nie było śladu.

– Pled? Jutro może będzie i pled. – Sprzedawczyni wzruszyła ramionami. – Dzisiaj jest, co jest. Tylko niech pani przyjdzie z samego rana. – Spojrzała na zegar wiszący na ścianie. Za niespełna kwadrans dwie wskazówki miały się zejść jak para kochanków. Sprzedawczyni w mgnieniu oka znalazła się przy drzwiach, potrząsając znacząco pękiem kluczy. – Dwunasta – oznajmiła z błyskiem w zapadłych oczach. – Espectaculo!

Widowisko? Jakie widowisko? Nie zdążyłam się dowiedzieć, zanim kobieta zatrasnęła za mną drzwi swojego przybytku. Natężenie ruchu na wymarłych wcześniej ulicach świadczyło jednak, że w mieście dzieje się coś szczególnego. Choć Adela doradzała nie odchodzić daleko od jej sutereny, poczułam zew, jaki zapewne kierował wszystkimi mieszkańcami, którzy wyraźnie zmierzali w jedno miejsce. Podążałam za nimi jak zwierzę za stadem. Wraz z narastającym z każdym krokiem odgłosem werbli, zwiększało się podniecenie wśród maszerujących.

– Szybciej! Nie zdążymy! – Młoda kobieta szarpnęła ledwie idącą staruszkę.

Czułam łomot tysięcy serc. Zaczęłam biec. Brakowało mi tchu. Tłum gęstniał i gęstniał... Już nie dało się biec, iść, trzeba było przecierać. Przedem wyrósł mur ludzkich ciał. Już nie sposób było się

dalej przedostać. Nic nie widziałam. Uniosłam głowę do góry, chcąc zaczerpnąć odrobinę powietrza. Okna pobliskich domów, jak łoże w teatrze, zgromadziły żądnych widowiska. Gałęzie drzew uginały się pod ciężarem gapiów. Kilkudziesięciu śmiałków siedziało na dachach. Wciąż nie wiedziałam, dlaczego tu jestem. Dlaczego tu są wszyscy. Zapomniałam o jakimś święcie? Rosły mężczyzna stojący obok mnie wziął kilkuletniego chłopca na rękę. Uniósł go wysoko ponad głowy innych.

– La horca! La horca! – krzyczał, wskazując małemu, na co ma patrzeć.

Szubienica? Zamarłam. Szubienica? Święta Mario! Chciałam uciekać. Tyle że droga odwrotu nie istniała. Na moje plecy napierały tysiące ciał. Zamknęłam oczy. Zatkaną uszy. Zaczęłam głęboko oddychać. Przeczekam to. Przeczekam. Jak tylko tłum ruszy, będę uciekać.

– Precz ze zdrajcami! Zdrajcy na pohybel! Niech ich piekło pochłonie! Sprawiedliwość! Sprawiedliwość! – milczący dotąd gapie zaczęli skandować.

Odjęłam palce od uszu. Ryk się nasilał. Byłam pchana do przodu, bliżej i bliżej sceny. Musiałam patrzeć przed siebie, musiałam uważać. Inaczej złałabym się z trotuarem. Wiedziałam, że zaraz to zobaczę, że tego nie uniknę. Kątem oka widziałam dwie postacie dyndające na sznurach przyczepionych do drewnianej belki. Korowód policjantów oddzielający skazańców od natarczywego tłumu.

– Nie stójcie, dalej! Wszyscy chcą zobaczyć! – mundurowi kierowali ruchem.

– Ale mu jęzor wisi! Zsiniał łeb łajdakowi! Patrz, zeszczął się ze strachu! Zeszczął się? Żeby tylko! – relacje świadków atakowały mnie z każdej strony.

Kiedy poczułam odrobinę przestrzeni, zaczęłam się przebijać w drugą stronę. Byle dalej. Byle dalej.

Gdy wpadłam zziębnięta do mieszkania, Adela już tam była.

– Jezu, a co się tobie stało? – Pospieszyła z wiadrem, kiedy pierwsza fala torsji wyrzuciła ze mnie strach i obrzydzenie.

– Eva, dziecko! – podtrzymała mnie w pasie.

– Byłaś tam? Widziałaś?

Nie musiałam jej nic tłumaczyć.

– A nie mówiłam, żebyś daleko nie chodziła, nie mówiłam? –

Ułożyła mnie na łóżku. Drżałam. – Aleś rozpalona! – Dotknęła mojego czoła, a następnie owinęła mi głowę wilgotną szmatą.

– Często tak? – wyszeptałam.

– Co? Egzekucje? To zależy, kiedyś częściej, teraz raz, dwa razy w miesiącu. – Adela nie wyglądała na przejętą. – Do wszystkiego można przywyknąć. Takie życie.

– Patrz lepiej, co mam. – Wydobyła z torby pled i poduszkę. – Wyglądają jak nowe.

– Skąd to masz? – spytałam, kiedy okrywała mnie pledem.

– Jak to skąd? – zdziwiła się. – Od szabrowników. Wszyscy się u nich zaopatrują.

Przypomniały mi się słowa teścia o tym, jak jego znajomi opuszczali swoje domy w pośpiechu, zostawiając je na pastwę złodziei. Popatrzyłam na Adelę z pogardą. Zrzuciłam z siebie okrycie.

– Posłuchaj kochana, wiem, że sporo dziś przeżyłaś, ale dość fochów! – Adela spojrzała mi prosto w oczy. – Tu każdego dnia walczy się o przetrwanie. Pora, żebyś to zrozumiała, inaczej wracaj do swojego pałacu.

Gorycz jej słów przygwoździła mnie do twardego posłania. Miała rację, wiedziałam, dokąd jadę. Powinnam być wdzięczna, że w ogóle chce mi pomóc.

W nocy dusiły mnie koszmary. Śniła mi się babka Gertruda, której zawsze się bałam. Pamiętam, jak siedziała w wielkim fotelu, przykryta narzutą z koziej skóry, bo zawsze – nawet w największym ukropie – było jej zimno w nogi. Na okrągłym stoliczku stojącym obok fotela trzymała szklane buteleczki z nalewkami ziołowymi na wszelkie przypadłości. Co chwilę kogoś do siebie wołała, a najczęściej potrzebowała Matyldy. Byłam wtedy jej jedyną wnuczką, ale nie obdarzyła mnie żadnym ciepłym słowem. Wiedziałam, że jest najważniejszą personą w całej rodzinie i rozumiałe, że chciałam pozyskać jej względy. Stawałam czasem w drzwiach salonu i nieśmiało spoglądałam na tę kwaśną staruszkę, czekając, że może przywoła mnie

do siebie. Najczęściej wykrzywiała się na mój widok jeszcze bardziej i krzyczała ze swym niemieckim akcentem:

– Matylda! Zabierz stąd to dziecko! Raus!

Mimo artretyzmu, który przykuł ją do fotela, trzęsła całym domem i o wszystkim chciała decydować do ostatniego dnia życia. Miałam może osiem lat, kiedy znalazłam ją w rzezonym fotelu z pianą na ustach. Wybełkotała coś niezrozumiale i wywróciwszy spektakularnie gałkami, wyzionęła ducha. Może chciała, żebym podała jej jakąś miksturę? Stałam unieruchomiona tym widokiem. Akurat wszyscy domownicy, nawet służące, byli na pogrzebie ówczesnego proboszcza. Uciekłam z płaczem do ogrodu, bo bałam się przebywać w domu z martwą babką. Z wyczerpania i strachu zasnęłam pomiędzy krzewami hibiskusa i było już prawie ciemno, gdy obudził mnie rozdzierający krzyk matki:

– Jest! Tu leży! Boże, nie żyje!

Wszyscy myśleli, że babka padła ofiarą jakiegoś przestępcy, który najpierw ją udusił, a następnie mnie uprowadził. Od tamtej pory bałam się sama zostawać w domu, nawet gdy reszta rodziny kręciła się po obejściu. Przez długi czas wchodząc do salonu, wciąż widziałam siedzącą na fotelu babkę, która posyłała mi groźne spojrzenie. Wybiegałam wtedy z krzykiem. Dopiero narodziny pierwszej z sióstr odczarowały mnie z tego upiornego zaklęcia. Ekscytacja wyczekiwaniem maleństwem zastąpiła straszne wspomnienia.

Tej nocy po raz pierwszy od wielu lat Gertruda przyszła do mnie. Byłam w domu w Nandaime sama i czekałam na Federico z kolacją. Jak zwykle spóźniał się i z minuty na minutę ogarniała mnie coraz większa irytacja. Wiedziałam, że pewnie po drodze do domu wstąpił do swoich rodziców, tam już zjadł jakiś posiłek i będę w samotności przeżuwać kurczaka w pomarańczach. Nagle usłyszałam skrzypienie drzwi wejściowych. Z impetem ruszyłam na dół, by powitać męża pretensjami. W sieni powiało upiornym chłodem. Wiatr szarpał bezlitośnie niedomkniętym skrzydłem drzwi, ale po Federico nie było śladu.

– Federico! Co ty wyprawiasz? – Myślałam, że próbuje mnie nastraszyć. Weszłam do salonu i ujrzałam czyjąś postać siedzącą w starym pluszowym fotelu. Byłam przekonana, że ów mebel dawno został unicestwiony. Przecież ojciec kazał go spalić, aby zgasić mój

dziecięcy lęk.

– Federico... – głos uwiązł mi w gardle i nie mogłam wykonać kroku na przód.

– Evo... – zachrypiała babka. – Nie stój tak w progu! Chodź do mnie!

Wiedziałam, że nie żyje i to nie może być prawda, więc wycofałam się do sieni, licząc, że zaraz dojdę do siebie i mara zniknie.

– Evo! Raus! – Gertruda nie dawała za wygraną.

Postanowiłam nie poddawać się temu koszmarowi. Przecież wkrótce nadejdzie Federico...

– Federico nie przyjdzie – oznajmiła babka, jakby czytała w moich myślach.

– Skąd wiesz? – zapytałam, wciąż nie pozostając w sieni.

– Podejdź do mnie, a się dowiesz – babka zachęcała mnie jak nigdy za życia.

W księżycowej poświacie ujrzałam jej ostre rysy, haczykowany nos, kościste dłonie zakończone długimi paznokciami, które wyciągała w moim kierunku.

Skrzeczący śmiech mary poruszył wszystkie kieliszki w serwantce. Wydawało się, że Gertruda rozpadnie się na kawałki wstrząsana konwulsyjnym rechotem:

– Espectaculo! Espectaculo! La horca!

Musiałam bardzo się rzucać, bo zaniepokojona Adela wyrwała mnie z tego kosmaru. Byłam złana potem i ciężko dyszałam. Adela przytuliła mnie do obfitych piersi.

– Uspokój się, to tylko sen.

Kolejny dzień dłużył się niesamowicie, bo Adela znów przepadła na wiele godzin, a ja bałam się tym razem wyjść na ulicę. Przeżycia z poprzedniego dnia malowały w mojej głowie przerażające obrazy. Wróciła obawa, że zbyt pochopnie zaufałam Adeli i jej krewnym. Cóż, nie mogłam już cofnąć słów. Dużo rozmyślałam, trochę drzemałam. Adela zastała mnie w łóżku.

– Spałaś? Dobrze, zbieraj siły. Przydadzą ci się – ton głosu Adeli w jednej chwili postawił mnie na nogi.

– Coś wiesz?

– Nie mam dobrych wieści, kochaniutka – westchnęła ciężko Adela. – Twój Federico jest w El Infierno. Piekło.

Nie miałam pojęcia, co to jest za miejsce, ale moje ciało przeszło gwałtowny dreszcz. Patrzyłam na Adelę, oczekując wyjaśnienia.

– Widzę, że nie masz pojęcia, o czym mówię. – Adela wzięła mnie za rękę. – To areszt.

– No, ale żyje! – Spodziewałam się gorszej wiadomości. – To jest najważniejsze!

– Prawda. – Skinęła głową posępnie, jakby życie Federico nie było wcale najlepszą opcją. – Ale ta nazwa nie wzięła się znikąd. To najpodlejsze więzienie w całym kraju.

– Skąd to wiesz?

– Od tego policjanta. Mówił, że trzeba zacząć szukać od El Infierno, bo tam trzymają więźniów politycznych. Zwykli bandyci zostali przeniesieni do innych więzień albo po prostu wypuszczeni. No, nie tak całkiem na wolność, bo teraz sami robią za stróżów prawa. Pilnują tych politycznych. – Adela zniżyła głos. – Teraz rozumiesz, co tam się wyprawia?

Nie, wciąż sobie tego nie wyobrażałam. Byłam zbyt naiwna, by móc sobie to wyobrazić. Zrozumiałam, że nie było dobrze. Ale żył. Jeszcze żył. To najważniejsze! Musiałam się dostać do tego więzienia, zanim Federico stanie się kukłą na okrutnym przedstawieniu. Za wszelką cenę.

– Gdzie jest to więzienie?

– Przy dawnych koszarach, jakaś godzina drogi piechotą. – Adela wpatrywała się we mnie zdumiona. – Chyba się tam nie wybierasz?

– Jeszcze dziś tam pójde.

– Oszalałaś? Jemu nie pomożesz, a i sama nie wrócisz!

– Mam więc wrócić do domu i oświadczyć tylko, że wiem, gdzie jest Federico?

– Właśnie po to tu przyjechałaś. Teraz niech twój teść poruszy niebo i ziemię. Ma pewnie wpływowych znajomych. Przekupi może kogoś, nie wiem... Mężczyźni wszczynają wojny, to niech się narażają! To nie jest zadanie dla kobiety.

– Ty możesz mi pomóc. Ten brat szwagra na pewno wie, jak się

tam dostać. Mam sporo pieniędzy. – Złapałam Adelę za rękę.

– Nie wiesz, czym ryzykujesz! – Kobieta wyrwała rękę. – Dowiedzieć się czegoś, to jedno, a iść tam, to coś zupełnie innego. Ja cię do piekła nie wyślę!

– Adelo... – Spojrzałam na nią błagalnie. – Proszę cię tylko, byś się dowiedziała, czy jest możliwość odwiedzenia więźnia. Nic więcej. Już rozumiem, że nie uwolnię Federico, ale może chociaż go zobaczę... Tylko tyle...

– Nie wiem, czy tam są w ogóle jakieś wizyty, ale dobrze... spróbuję się tego dowiedzieć. – Ton Adeli złagodniał, pogładziła mnie po głowie, zupełnie jak ciotka Matylda.

Pomyślałam wtedy, że jest jednak prawdziwym aniołem, który został zesłany, by pomagać mi w odzyskaniu Federico.

Następnego dnia Adela spotkała się ponownie z policjantem. Był zdumiony pomysłem mojej wyprawy do więzienia, ale zachęcony sowitym wynagrodzeniem, obiecał pomóc w mojej sprawie. Teraz pozostało nam tylko czekać na wiadomość od niego. Minęło kilka dni i nic. Byłam złej myśli. Sądziłam, że Federico pewnie już nie żyje.

Kolejnego wieczoru w drzwiach pojawiła się siostra Adeli. Przyprowadził ją brat męża, który został na ulicy. Rita była chuda i wyniszczona, mimo młodszego wieku wyglądała na sporo starszą od Adeli. Urodziła sześcioro dzieci, z których czworo przeżyło tylko dzięki pomocy siostry. Zmierzyła mnie niechętnym wzrokiem od góry do dołu i miałam wrażenie, że była zdumiona zaangażowaniem siostry w pomoc komuś takiemu. W końcu pochodziłam z tych, którzy zgarniali pieniądze i władzę, aż trzeba im było wydrzeć to wszystko siłą. Rita przyniosła jednak dobre dla mnie wieści. Za odpowiednie pieniądze wszystko można załatwić, także widzenie z osadzonym. Położyłam na stole aksamitny miszek.

– Wystarczy? – Spytałam Ritę, która wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia, że można nosić przy sobie taką sumę. Adela też wyglądała na zdumioną. Spojrzały na siebie porozumiewawczo, potem raz jeszcze wbiły wzrok w połyskującą kupkę.

– Powinno – mruknęła Rita i łapczywie zgarnęła pieniądze ze stołu. Spojrzała na moje jasne i gładkie dłonie, nieskalne dotąd ciężką pracą

fizyczną. Wyglądały wyjątkowo bezwstydnie przy jej zmacerowanych i powykrzywianych reumatyzmem palcach praczki. W Nandaimie zdarzało mi się plewić w ogródku, w pałacu Laury leżałam i pachniałam. Nie mogłam się Ricie spodobać.

– Jutro się dowiesz, kiedy zobaczysz męża – dodała, upychając mieszek za dekolt.

Targały mną wątpliwości, że nie zobaczę ani pieniędzy, ani Federico.

ROZDZIAŁ X



Prawdą jest, że złoto otwiera wszystkie bramy. Kilka dni później szykowałam się na spotkanie z mężem. Założyłam prostą, granatową sukienkę, którą zabrałam ze sobą, upięłam do tyłu włosy. Chciałam mu się podobać, ale za radą Adeli zdjęłam biżuterię. Nie mogłam nikogo prowokować. Tam, dokąd się wybierałam, kobiety obwieszane błyskotkami nie były mile widziane. Jedynym burżuazyjnym zbytkiem, którego nie mogłam sobie odmówić, było kilka kropel ulubionych perfum z nutą magnolii rozartych na szyi i nadgarstkach. Federico je uwielbiał. Podczas tego tygodnia spędzonego na wikcie Adeli dziecięco zaokrąglona twarz wysubtelniała. Te mizdrzenia się przed lustrem dowodziły, jak bardzo byłam nieświadoma, dokąd się dobrowolnie wybieram.

Zabrałam ze sobą trochę jedzenia, czysty zeszyt i ołówek, choć nie miałam wielkiej nadziei, że dostanę pozwolenie na przekazanie tych rzeczy więźniowi. Adela naszykowała dla mnie śniadanie, ale nie mogłam nic przełknąć prócz kilku łyków kawy. Chciałam już wyruszyć do El Infierno.

Szłyśmy w milczeniu. Nawet gadatliwa Adela nie mogła znaleźć odpowiednich na tę chwilę słów. Jej wyciszenie było tak nienaturalne, że aż złowieszcze. Cisza sprzyjała wylęganiu się pełnych lęku myśli. Czy aby na pewno wszystko jest załatwione? Co tak naprawdę mi zagraża? Czy uda mi się w ogóle stamtąd wrócić? Z każdym krokiem uchodziła ze mnie wcześniejsza determinacja.

Im bliżej byliśmy koszarów, tym bardziej zagęszczały się patrole gwardzistów i wojskowych, a i tak mocno wyblakłe miasto do cna traciło swój koloryt. W oddali zamajaczyła wieża z budką strażnika. Uznałam, że Adela powinna już wracać, tym bardziej, że zaczynało mżyć. Wtuliłam się w jej puszyste ciało. Nie chciałam jej puszczać, przy niej

czułam się bezpiecznie, ale nieuchronnie zbliżała się dziesiąta, o której miałam stawić się przed furtą więzienną. Ruszyłam gwałtownie do przodu, nie oglądając się na Adele.

Deszcz zaczął coraz bardziej, mglista aura nadawała jeszcze większej grozy już i tak ponuremu miejscu. Wkrótce wyrosły przede mną mury aresztu. Wielka żelazna brama nie zachęcała do wejścia. Stojący tuż przed nią strażnik spojrzał na mnie z niechęcią.

– A wy tu czego? – uprzedził mnie pytaniem.

– Mam pozwolenie na widzenie z mężem. Federico Barroso – odpowiedziałam pewnie.

– Tu nie ma odwiedzin. To nie szpital. – Musiałam go mocno rozbawić, bo w szerokim uśmiechu ukazał szereg zjedzonych przez próchnicę zębów.

– Mam pozwolenie od naczelnika. – Nie ustępowałam.

– Naprawdę? To pokaż.

– No, nie na piśmie, ale ustnie.

Zaczynałam się niepokoić, bo dopiero teraz pojęłam swoją naiwność. Nogi się pode mną ugięły. Czułam, że zaraz się przewrócę. Oddałam wszystkie pieniądze i nie miałam żadnego dowodu potwierdzającego zgodę na widzenie z Federico. Nie przyszło mi nawet do głowy, by o to pytać. Teraz szeregowy policjant może mnie po prostu nie wpuścić za bramę.

– Kobieto, idź do domu. – Machnął mi przed nosem ręką.

– Ale...

– Żadnego ale! Jazda stąd! – ryknął.

Nie wiedziałam, co mam teraz począć, przecież nie mogłam tak po prostu odejść z niczym. Wciąż miałam cień nadziei, że mąż Rity załatwił sprawę i ktoś się w końcu mną zainteresuje. Deszcz już nie padał, ale lał bez opamiętania. Stałam w strugach wody z tobołkiem dla Federico, który przyciskałam do piersi, próbując uratować jego zawartość przed całkowitym przemoczeniem. Strażnik raz po raz spoglądał na mnie spode łba, zastanawiając się pewnie, ile wytrzymam. W międzyczasie na teren aresztu kilkakrotnie wjechał zakratowany powóz. Nie wiem, ile czasu minęło, ale zdecydowałam się na ponowny szturm na bramę aresztu.

– Señor, mam rzeczy dla męża. Niech pan je przynajmniej weźmie ode mnie. Proszę... – Wyciągnęłam pakunek spod płaszcza.

– Nie ma żadnych odwiedzin i żadnych prezentów! Nie rozumiesz?! – strażnik był wyraźnie poirytowany.

– Proszę się tylko zapytać... Pan naczelnik naprawdę dał mi zgodę. Czyż inaczej przyszedłbym tutaj i stała na deszczu bez celu? – tłumaczyłam łagodnie, patrząc prosto w jego czarne oczy.

– Proszę się tylko zapytać... – powtórzyłam.

Mężczyzna nic mi nie odpowiedział, widać chwilę zastanawiał się, czy przegonić mnie zdecydowanie, czy może jednak dla świętego spokoju zapytać o mnie przełożonego. Widać natrafiłam na człowieka o brutalnej powierzchowności, ale miękkim sercu, bo po chwili zakołatał do bramy. W małym otworze ukazała się zarośnięta twarz innego strażnika, coś do siebie mówili. Potem skinął na mnie:

– Czekaj!

Ścisnęło mnie w piersiach z emocji. Nareszcie pojawiła się nadzieja, że ktoś mnie jednak wpuści. Niestety, po około godzinie mój, zupełnie jak ja przemoczony do suchej nitki, strażnik skończył służbę. Na jego miejscu stanął inny, o jeszcze bardziej nieprzyjemnym wyglądzie, ale i on nie miał dla mnie żadnej wiadomości. Niebiosa za to zlitowały się nade mną, bo nagle przestało lać i zza chmur wyjrzało słońce. Zziębnięte ciało chłonęło jak gąbka każdy, rozgrzewający promień.

Byłam już prawie pewna, że nikt nie dotarł do naczelnika, a pieniądze Fernando zostały po prostu ukradzione. Tylko kto mnie oszukał – Adela, jej siostra, czy szwagier, a może wszyscy razem uznali, że grzechem byłoby nie wykorzystać zbłąkanej idiotki z workiem złotych monet? Przez swoją głupotę straciłam szansę na zobaczenie się z Federico. Byłam głodna. Byłam mokra. A przede wszystkim byłam wściekła na samą siebie. Właściwie chciałam już odejść, gdy przez mały otwór w bramie ktoś zawołał strażnika. Mężczyzna wsadził kudłaty łeb do okienka i po chwili ryknął rozglądając się dookoła:

– Jest ktoś do Barroso?

– To ja! – Poderwałam się z miejsca, jakbym dostała nowe życie.

– Co tam ściskasz?

- Jedzenie dla męża.
- Zostawić przed bramą.

Nie protestowałam, bo i tak nie wygrałam z deszczem i pakunek zamienił się w mokrą masę. Byle tylko mnie wpuścili.

- Wejść! – padła kolejna komenda.

Jedno skrzydło żelaznych wrót uchyliło się. Tuż za nimi czekał na mnie kolejny strażnik, który natychmiast założył mi czarną przepaskę na oczy i chwyciwszy za ramię, prowadził mnie w sobie znanym kierunku. Tak oto przekroczyłam bramę piekła.

Pozbawiona wzroku wyteżczałam inne zmysły, by zorientować się, gdzie jestem. Najpierw szłam brukowanym dziedzińcem, gdzie czułam smród moczu i zapuszczonej stajni. Do moich uszu dochodziło wiele męskich głosów, także tych niewybrednie komentujących moją osobę. Potem schody, dużo schodów i wreszcie posadzono mnie na twardym krześle. Bez słowa wyjaśnienia i wciąż w opasce na oczach. Miałam wolne ręce, ale strach, że mogę zrobić coś, czym mogłabym narazić się i zostać wyrzucona przed zobaczeniem Federico, całkiem mnie sparaliżował. Siedziałam więc bez ruchu, zastanawiając się, na kogo teraz natrafię. Tu z kolei unosił się odór papierosów, strawionego alkoholu i potu.

Gdy stężenie powyższych esencji wyraźnie wzrosło, a dodatkowo usłyszałam dudnienie ciężkiego obuwia, zrozumiałam, że mam towarzystwo. Czyżby naczelnik? Ten ktoś stanął przy mnie, nie odzywał się, ale czułam jego świdrujący wzrok. To było nieznośne. Bałam odezwać się pierwsza. Po plecach spływały mi strużki potu. Trzęsłam się z zimna i emocji. Źródło smrodliwego oddechu zbliżyło się do mojej twarzy. Coś takiego już chyba przeżyłam? Kuliłam ciało, by możliwie jak najdalej odsunąć się od niej. Poczułam szarpnięcie włosów. Zdecydowanym ruchem zerwano mi opaskę z oczu. Szyderczo uśmiechnięta gęba wydała mi się znajoma. To był on. Mężczyzna z pociągu. Bez kapelusza. W policyjnym mundurze.

– Witam Señora Barroso! Jak się ma szanowna mamusia? – zapalił papierosa i wypuszczał w moim kierunku smrodliwe obłoczki.

Przełknęłam głośno ślinę. Nie odpowiadałam. Spuściłam głowę zrezygnowana. Jeśli to jest naczelnik...

– Tak... tak... – mrucał pod nosem. – Kłamstwo ma krótkie nogi. Wiedziałem, że się spotkamy, ale że aż tak szybko...

– Mam zezwolenie od naczelnika na widzenie męża. Federico Barroso – wykrztusiłam wreszcie.

– Naczelnika nie ma, a kiedy go nie ma, ja tu żądzę.

– Zatem bardzo proszę o umożliwienie mi spotkania z mężem – ważyłam każde słowo.

– Hmm... Czy ja mam spełniać życzenia kłamczuszek? – roześmiał się chrapliwie.

– Proszę... Pan naczelnik się zgodził. – Próbowałam go przekonać. – Wszystko zostało załatwione...

– Załatwione? – podchwycił. – Jak to załatwione? Sugerujesz, że ty coś załatwiłaś z naczelnikiem? Może ktoś tu przyjął pieniądze? – Zmarszczył brwi. – Bogatym wydaje się, że wszystko można kupić!

– Nie... to znaczy... Chciałam powiedzieć, że miałam taką wiadomość, że na pewno. Że pan naczelnik pozwala... – plątałam się, błędząc wzrokiem po kamiennej posadzce. Obawiałam się kolejnych pytań – kto skontaktował mnie z naczelnikiem, kto przekazał wiadomość...

– Skoro naczelnik ma takie dobre serce, ja też je mogę mieć...

Usłyszawszy te słowa, nie mogłam się oprzeć, by na niego nie spojrzeć. Siedział rozparty w fotelu, trzymając nogi na stole zawalonym jakimiś papierami. Czekałam w napięciu, na dalszy ciąg tego przedstawienia. Szyderczy uśmiech zdradzał, że policjant dopiero się rozkręcał.

– Tyle, że ja nie dbam o pieniądze – kontynuował po chwili milczenia. – Lubię proste rozwiązania. W zgodzie z naturą. – Wstał od stołu i znów stanął tuż przy mnie. Znów wbiłam oczy w posadzkę. Mężczyzna wsadził mi rękę we włosy i szarpnięciem podniósł moją twarz do góry. Jego przekrwione ślepia wpatrywały się we mnie.

– Masz szczęście, podobasz mi się... – wychuchał mi do ucha, niczym czuły kochanek. – Zrób z tego użytek. – Położył łapę na mojej piersi.

– Ja... ja nie mogę! – Zerwałam się z krzesła i cofnęłam w kierunku wyjścia. – Mam męża... – Nic mądrzejszego nie przyszło mi

do głowy.

– To już wiemy. – Mężczyzna przyparł mnie całym ciałem do ściany. – Niech to będzie dla niego...

Jedną rękę wsunął mi pod sukienkę, a drugą wprawnie rozsuwał swoje spodnie. Widać, że takie sytuacje były dla niego chlebem powszednim. Po raz pierwszy żałowałam, że nie mam na sobie gorsetu, żelaznej halki i sztywnego tiulu skłębionego pod spódnicą. Byłam jak rycerz bez zbroi. Nie miałam złudzeń, co mnie teraz spotka. Może powinnam to wszystko znieść, ale obrzydzenie i strach przekroczyły granice poświęcenia dla Federico. Z impetem wbiłam kolano między nogi policjanta.

– Ty suko! – zawył z bólu i odskoczył ode mnie. Skulił się, ściskając za krocze.

Ruszyłam do drzwi, lecz zanim zdążyłam je otworzyć, uderzył mnie czymś ciężkim w głowę. Poczułam, że mój żywot dobiega końca. Bezładnie osunęłam się na podłogę... Otworzyłam oczy. Nade mną majaczyła jakaś męska twarz. Zamknęłam oczy. Już nie chciałam tam wracać.

ROZDZIAŁ XI



Blask światła brutalnie rozwarł mi powieki niczym nowo narodzonemu dziecku. Były jednak zbyt ciężkie i znów mi opadły. Próbowałam zapoznać otoczenie pozostałymi zmysłami. Było mi ciepło, miałam na sobie suche ubranie, w powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsa. Cisza. Nie wyczuwałam zagrożenia. Zapadłam w sen.

Po jakimś czasie zdołałam otworzyć oczy na dłużej. Leżałam na miękkiej sofie, przykryta wełnianym pledem. Byłam ubrana w białą koszulę. Musiało być już późno, bo w pomieszczeniu panował półmrok, rozświetlony migotaniem naftowej lampy. Chciałam unieść nieco głowę, ale przed ruchem powstrzymał mnie tętniący ból lewej skroni.

– Wszystko będzie dobrze – dotarł do mnie ciepły kobiecy głos. – Badał panią doktor Martinez i powiedział, że to tylko niegroźne stłuczenie. Dzień, czy dwa i przestanie boleć.

– Gdzie jestem?

– U pułkownika Oliveira.

– Kogo? – ścisnęło mnie w piersiach.

– Gus-ta-vo de O-li-vei-ra – kobieta przesyłabizowała imię i nazwisko gospodarza, sądząc najwyraźniej, że nie dosłyszałam.

– Nie znam...

– Pan pułkownik zaraz wróci, to go seniora pozna. Ja tylko zajmuję się jego domem.

Nie mogłam ukryć przerażenia, zaczęłam całą dygotać, chociaż grzał mnie ciepły pled. Starsza, siwowłosa kobieta spojrzała na mnie z litością i zrozumieniem.

– Pani się nie boi. To porządny człowiek. To nie on panią skrzywdził – próbowała mnie uspokoić.

Na samo wspomnienie krzywdy zadrżałam.

– On panią przywiózł i kazał mi jakoś oporządzić. Ubranie było

całe mokre. Dałam moją koszulę – tłumaczyła.

– Chciałabym zostać sama... Chce mi się spać – wymamrotałam z trudem. – Kobieta skinęła głową i wyszła z pokoju.

Kiedy się obudziłam, nadal jej nie było. Zaczęłam się zastanawiać, jak się stąd wydostać, zanim wróci mój wybawca. Próbowałam wstać, ale nogi omawiały mi posłuszeństwa. Po pierwszym kroku zaczęło mnie mdlić. Świat zawirował, jakbym wypila za dużo wina. Runęłam z hukiem na podłogę.

– Jezu! Co się stało? – gospodyni natychmiast wpadła do pokoju. – Dlaczego pani to robi?

– Ja do toalety... – Wyciągnęłam do niej rękę, by pomogła mi wstać.

– To mnie pani woła. Nie sama, na litość boską! – mówiła z wyrzutem. – Potem pan Gustavo miałby do mnie pretensje, że pani nie pilnowałam!

Pomogła mi wstać z podłogi, zaprowadziła, gdzie trzeba, a następnie ułożyła ponownie na sofie. Przyniosła mleko i rogalika z czekoladą. Usiadła przy mnie i zajęła się szydełkowaniem.

Na dźwięk otwieranych drzwi poderwałyśmy się obie. Gospodyni wyszła do sieni. Słyszałam fragmenty jej rozmowy z mężczyzną. Znów zaczęło mnie mdlić, tym razem z nerwów, ale gdy upewniłam się, że głos męski nie przypomina charczenia tego policjanta z rotundy, trochę się uspokoiłam.

– Nie śpi? Zjadła coś? – dopytywał się mężczyzna.

– Nie śpi, ale nie ma apetytu... Mówi, że jej niedobrze.

– Zostań jeszcze tę jedną noc, możesz mi być potrzebna. –

W drzwiach pokoju stanął postawny mężczyzna w ciemnozielonym mundurze, innym niż nosili policjanci.

– Witaj, Evo! – przywitał mnie pewnym głosem jak swoją dobrą znajomą.

Sprężystym krokiem podszedł do sofy i usiadł tuż przy mnie. Pierwszym miłym zaskoczeniem był zapach szarego mydła wymieszany z nutą cygara. Ośmieliłam się podnieść wzrok i dokładnie mu się przyjrzeć. Czarne oczy obserwowały mnie z pasją, ale bez natrętnej lepkości. Ostre rysy pociągłej twarzy i wydatny orli nos zdradzały

zdecydowany charakter. Miał krótko ostrzyżone włosy i niepokojący jednodniowy zarost na brodzie. Był niewątpliwie atrakcyjnym mężczyzną. Zawstydzona tym odkryciem lekko przymknęłam oczy.

– Widzę, że doszłaś do siebie – dobiegł do mnie ciepły, niski głos. Skinęłam głową. Bolało.

– Odpoczywaj. Porozmawiamy jutro. Rosa jest do twojej dyspozycji – docierały do mnie krótkie komendy.

– Przepraszam, chyba nie przedstawiłem się... Gustavo Maria de Salazar Oliveira. – Skłonił głowę. – Dobrej nocy.

Nie mogłam zasnąć. Chyba wyspałam się za wszystkie czasy. Bałam się wstać z łóżka, by nie odczuć tej potwornej karuzeli i znów się nie przewrócić. Rosa co jakiś czas dyskretnie zaglądała do mnie przez szparę w drzwiach, dając znak, że w razie czego służy pomocą. Umysł mnożył pytania: jak długo tu pozostanę, czy w każdej chwili mogę wrócić do domu, czy potem trafię do aresztu, czy w końcu zobaczę Federico. Właśnie... Federico... Federico... Co z nim?

Wdzierające się przez szpary w okiennicach słońce nachalnie oznajmiało, że nastał nowy dzień. Nowy i nieznanym dla mnie. Zanim dotarło do mnie, gdzie spędziłam noc, w drzwiach stanęła gospodyni.

– O pospała pani... Już prawie południe. – Otworzyła na oścież okiennice. Pomogła mi dojść do toalety. Z ulgą odczułam, że prawie odzyskałam równowagę. Oddała mi moją sukienkę, upraną i wyprasowaną. Potem przyniosła mi do pokoju śniadanie, które postawiła na owalnym stole, nakrytym koronkowym obrusem. – To moja robota – pochwaliła się, wskazując na obrus.

Spoglądałam łakomie na zawartość tacy. Zapach świeżo upieczonych placuszków z cynamonem sprawił, że zrobiło mi się ciepło na sercu. Odżyło nawet wspomnienie z rodzinnego domu.

Zastanawiałam się, czy są tak samo chrupiące jak te, które piekła Flora. Do tego, podane w białych salaterkach, miód i konfitura z pomarańczy. Tej poezji smaków dopełniała świeżo zaparzona, parująca jeszcze kawa, którą Rosa naląła mi wprost z kawiarki. Zachęcona przez gospodynię rzuciłam się na śniadanie, całkiem zapominając o dobrych manierach, ale trudno było ich przestrzegać, gdy od poprzedniego ranka nic nie miałam w ustach.

– Widzę, że pani smakuje. – Uśmiechnęła się Rosa.

Byłam czysta, ubrana w suchą sukienkę i rozkosznie najedzona. Poza okazałym guzem, który przez noc urósł mi na głowie, czułam się całkiem dobrze. Postanowiłam nie czekać na gospodarza, który wyszedł o świcie i jak najprędzej opuścić te progi.

– Sądzę, że doszłam do siebie. Głowa nie boli, zawroty minęły. Nie powinnam nadużywać waszej gościny. – Wytarłam usta chusteczką. – Żałuję, że nie ma pana pułkownika, ale proszę mu przekazać, że jestem bardzo wdzięczna. – Wstałam od stołu.

– Przykro mi, ale muszę panią zatrzymać. – Rosa miała poważną minę.

– To zalecenie doktora – dodała.

– Kazał panią obserwować przez kilka dni. Mówił, że z głową nie ma żartów...

– Aaa... – Odetchnęłam głęboko. – Jeśli o to chodzi, to ja mam swojego doktora.

– Pułkownik musi z panią pomówić. – Rosa zasłoniła swoim ciałem ciężkie drzwi.

– O czym?

– Mówił, że pani będzie wiedziała.

Słowa Rosy zatrzymały mnie w pół kroku. Zatem było tak, jak podejrzewałam. To nie gościna, ale więzienie. Drzwi zaryglowane szantażem.

– Skoro pan pułkownik tak zarządził..., chyba nie mam wyboru. Puciołowate policzki Rosy wydeły się w szczerym uśmiechu.

– Gustavo zadbał, żeby się pani nie nudziła.

Po chwili wróciła z książką, którą położyła przede mną na stole. Był to zbiór poezji Dario Rubena *Azul*. Nazwisko poety obilo mi się o uszy, ale dotąd nie czytałam jego wierszy. Nie spodziewałam się tak wyrafinowanej lektury w domu wojskowego. Kimże jest pułkownik de Oliveira, który z jednej strony stosuje wobec mnie przymus, z drugiej – dba o takie szczegóły, jak moje samopoczucie?

Około piątej po południu Gustavo pojawił się w domu. Zanim przyszedł do mnie, długo uzgadniali coś z Rosą w kuchni.

– Jak ma się twoja głowa, Evo? – Wreszcie pojawił się w drzwiach

do salonu, jeszcze w służbowym mundurze.

– Tak dobrze, że mogę już nie kłopotać pana swoją obecnością – powiedziałam z wymuszonym uśmiechem. – Chyba, że czeka nas ważna rozmowa.

– Rosa zaraz poda obiad. Zjesz ze mną – zignorował moją zaczepkę.

Posiłek wyglądał i pachniał wyśmienicie, tyle, że mój żołądek z nerwów skurczył się jak rodzynek. Pozostaliśmy sami, bo Rosa wyszła zaraz po podaniu obiadu. Gustavo z apetytem pochłaniał bulion i fasolę z mięsem, a ja dziobałam widelcem po talerzu, z którego nic nie zniknęło.

– Nie masz apetytu? – spytał, widząc, jak się męczę.

Jego obecność wywoływała we mnie nieznane mi dotąd napięcie, pomieszanie lęku i fascynacji. Denerwowało mnie, że powierzchowność tego mężczyzny była dla mnie tak atrakcyjna. Najchętniej nie odrywałabym od niego wzroku. Jadłam ze spuszczoną głową i gdyby nie było to niegrzeczne, nie podnosiłabym jej także podczas rozmowy.

Do obiadu Gustavo zdjął mundur. Po posiłku sięgnął do kredensu po karafkę, której zawartość rozlał do dwóch kieliszków. Nie odmówiłam kropli czegoś mocniejszego, bo niczego nie potrzebowałam bardziej, jak odrobiny swobody przed spodziewaną rozmową. Gustavo rozsiadł się w skórzanym fotelu i zapalił cygaro.

– Jak się tu znalazłam? – Nalewka z jocotes dodała mi dość odwagi, by rozpocząć rozmowę.

– Zostałaś uderzona w głowę i straciłaś przytomność. Akurat robiłem niezapowiedzianą kontrolę w areszcie. Docuciłem cię, zabrałem do siebie i wezwałem doktora Martinezę.

– Ten mężczyzna...

– Został ukarany. Posunął się za daleko.

– Kiedy mogę stąd wyjść? – spytałam, przełykając ślinę, która nagle wypełniła mi usta na wspomnienie o niedoszłym gwałcicielu.

– Kiedy zechcesz. Tylko, że dobrze by było, by jutro zobaczył cię jeszcze doktor.

– A co z Federico?

– Twój mąż ma się dobrze – stwierdził oschle Gustavo.

– Będę mogła go zobaczyć? – Nie mogłam zapanować nad

trzęsącymi się kolanami.

– W więzieniu nie ma odwiedzin. Ktoś wprowadził cię w błąd.

– I nie ma wyjątku?

– Wyjątki są zawsze. Gdyby ich nie było, nie byłoby także słowa: wyjątek. – Zaciągnął się cygarem.

– Co mogę zrobić, by senior uczynił ten wyjątek? – Spojrzałam mu prosto w oczy. Wiedziałam, do czego zmierza. Pozbawił mnie złudzenia, że jest kimś lepszym niż bandyta z El Infierno.

– Mogłabyś zostać tu przez tydzień.

– Tydzień?!

– Rosa wyjeżdża do chorej siostry. Potrzebna mi będzie pomoc w prowadzeniu domu. To wszystko – wyjaśnił bez cienia emocji.

– I po tym tygodniu na pewno zobaczę Federico? – dopytywałam zdziwiona jego warunkiem.

– Daję ci moje słowo – powiedział stanowczo.

– Tylko tyle? – nie dowierzałam, że chodzi wyłącznie o pomoc domową.

– Aż tyle! – Gustavo starał się zachować powagę. – Gotować umiesz, mam nadzieję.

– Federico nie narzekał.

– No to zastąpisz Rosę w kuchni. Spać będziesz w mojej sypialni. – Nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc moją minę. – Ja przenoszę się do gabinetu.

Łóżko Gustavo było o niebo wygodniejsze od salonowej sofy. Zapewne to Rosa przygotowała mi śnieżnobiałą pościel o lawendowym zapachu. Na kołdrze leżała nocna koszula, czysta, choć trochę na mnie za duża. Pewnie też należała do gospodyni. Przykryłam się kołdrą i wzięłam do ręki leżącą na nocnym stoliku książkę. Nie mogłam skupić wzroku na jednym wersie, wciąż nasłuchiwałam kroków Gustavo, który kilka razy przechodził pod drzwiami sypialni. Raz widziałam w nim szlachetnego wybawcę, innym razem nieco bardziej cywilizowaną wersję prostego policjanta. To chyba oczywiste, że powinnam się spodziewać dodatkowych obowiązków niż tylko posługa w kuchni – analizowałam chłodno. To w końcu mężczyzna, wojskowy. Jakie

miejsce może mieć kobieta w jego świecie? Do kuchni i do łóżka.

W końcu dudnienie ciężkich butów całkiem ustało. Wyczerpana czekaniem na najgorsze, zasnęłam. Tej nocy do mnie nie przyszedł.

Rankiem obudziło mnie pukanie do drzwi.

– Jest prawie siódma – usłyszałam głos Gustavo.

Wyskoczyłam z łóżka i w koszuli popędziłam prosto do kuchni. Byłam zawstydzona. Gustavo musiał się zadowolić samą tortillą, która pozostała z wczorajszej kolacji. Zdążyłam tylko zaparzyć świeżą kawę. Zostawiłam wszystko na stole w salonie i wróciłam do sypialni, by się ubrać. Trzaśnięcie drzwi oznajmiło wyjście pułkownika. Dopiero wtedy opuściłam sypialnię. Postanowiłam, że do obiadu już się przyłożę i zaczęłam przeszukiwać kuchenne szafki i wykladać ich zawartość na stół. Niestety, nie byłam aż tak wyśmienitą kucharką jak Rosa, ale co nieco nauczyłam się gotować pod okiem Flory. Nie miałam wielkiego pola do popisu, bo w kuchni znalazłam tylko resztki ryżu, fasoli i cztery jaja. W barku stały dwie butelki czerwonego wina. Jedną z nich postawiłam na stole. Gustavo szczerze pochwalił moje gallo pinto, choć przyzwyczał się do nieco innego smaku, gdyż pochodząca ze wschodniego wybrzeża Rosa do wszystkiego dodawała oleju kokosowego. Przyznał, że zupełnie nie pomyślał o tym, że aby gotować, trzeba mieć z czego. Rosa sama robiła zakupy w sobie tylko znanych miejscach, bo ogólnodostępne sklepy świeciły pustkami.

– Jutro przed południem jedzenie będzie dostarczone do domu. – Zrozumiałam, że mam nie opuszczać jego mieszkania.

Późnym wieczorem, zgodnie z obietnicą, wstąpił doktor Daniel Martinez. Obejrzał moją głowę, zajrzał w oczy, dokładnie obejrzał język, zbadał puls, potem kazał przejść się po pokoju i chwilę postać z zamkniętymi oczami. Uznał, że mojemu zdrowiu już nic nie zagraża. Wypił kieliszek koniaku, zapalił cygare i popędził do domu, do żony i synka. Po jego wyjściu chciałam wycofać się do sypialni, ale Gustavo poprosił, bym jeszcze chwilę z nim została. Mimo późnej pory napiliśmy się kolejnej kawy.

– Daniel to mój przyjaciel z dzieciństwa – Gustavo po raz pierwszy powiedział coś osobistego. – Chodziliśmy razem do szkoły, ale potem na

jakiś czas nasze drogi się rozeszły. On studiował medycynę, ja prawo. To świetny lekarz, jeśli mówi, że jest dobrze, znaczy, że jest dobrze.

– Prawo? To tak jak Federico.

– Nie obroniłem dyplomu, wyrzucono mnie na ostatnim roku za działalność w opozycji. – Gustavo wyglądał na zmieszanego.

Zrozumiałam, że mam nie ciągnąć tematu, ale swoją drogą byłam niezmiernie zaskoczona, że mam do czynienia z niedoszłym absolwentem tak prestiżowego uniwersytetu. Naiwnie uważałam, że większość liberałów to ludzie, którzy nie odebrali starannego wykształcenia.

– Musiałem potem odbyć służbę w wojsku, na szczególnie ostrych warunkach, ale sam się zdziwiłem, jak bardzo się w tym odnalazłem. Nieźle mi szło i zacząłem awansować. – Gustavo chciał jednak, bym poznała go lepiej. – Kiedy generał Zelaya oficjalnie opowiedział się za liberałami, przyłączyłem się do niego. Ale dość o mnie. Teraz twoja kolej. Co ty możesz mi powiedzieć o sobie?

Zaskoczył mnie. Musiałam się chwilę zastanowić, jaki fragment mojego życiorysu może być ciekawy dla kogoś takiego jak on.

– Oprócz tego, że jesteś oddaną żoną Federico Barroso – dodał z przekąsem.

– A to chyba moje największe i jedyne osiągnięcie. – Uśmiechnęłam się. – No, może jeszcze to, że przez jakiś czas uczyłam w szkółce parafialnej. Bardzo lubiałam tę pracę. Sama nie mam dzieci, więc może dlatego...

– No proszę, żona czołowego konserwatysty ma takie liberalne zapędy. – Gustavo spojrział na mnie z zaciekawieniem.

– Można tak powiedzieć...

– Zaskakujesz mnie. – Poczulałam na sobie gorące spojrzenie Gustavo.

Napięcie związane z przebywaniem z nim w jednym pomieszczeniu stawało się nie do wytrzymania. Podobał mi się. Uwielbiałam na niego patrzeć. To było dla mnie coś nowego, bo od dnia poznania Federico nie obdarzałam uwagą innych mężczyzn. Oni dla mnie po prostu nie istnieli. W jego obecności miałam gęsią skórę. Zaczęłam zbierać ze stołu brudne naczynia, by mieć pretekst do

uwolnienia się od jego towarzystwa. Kolejną noc nasłuchiwałam kroków Gustavo zmierzającego w kierunku sypialni. Kolejny raz nie przyszedł.

Obudziłam się na tyle wcześnie, by zdążyć się ubrać i przygotować śniadanie. Upiekłam placuszki z mąki kukurydzianej, które posypałam cukrem i cynamonem. To jeszcze pozostało w kuchni. No i oczywiście kawa, jej zmysłowy aromat rozszedł się po całym mieszkaniu i najwyraźniej dotarł także do nozdrzy Gustavo, bo natychmiast pojawił się w salonie.

– Ma szczęście ten Barroso – wyraził swoje uznanie dla moich placuszków. – Pod groźbą przedłużenia aresztu nakazuję zostawić przepis dla Rosy.

Gdy wyszedł, postanowiłam zrobić drobne porządki. W łazience znalazłam jego wczorajszą koszulę. Nie mogłam się powstrzymać, by nie wtulić w nią twarzy – najpierw odurzył mnie surowy, ostry zapach mydła, potem wyczułam zapach potu okadzony dymem z cygara. Choć nie używał francuskiej wody kolońskiej jak Federico, podobało mi się to, jak pachniał. Niczym pies gończy starałam się zapamiętać woń poszukiwanego obiektu. Kiedy uzmysłowiłam sobie, co wyprawiam z jego koszulą, z impetem wrzuciłam dowód zbrodni do miednicy z mydlinami i omal go nie podarłam, zaciekle oddając się praniu. Byłam na siebie wściekła, że zamiast myśleć o Federico, zatruwa mnie namiętność do innego mężczyzny.

Federico poruszył moje serce, Gustavo rozpałił trzewia. Szukałam w zakamarkach swojej duszy odpowiedzi na pytanie, dlaczego to się ze mną dzieje, dlaczego nie potrafię nad tym zapanować.

Usprawiedliwiałam się przed sobą, Bogiem i Federico, że po prostu długo nie byłam blisko z mężem i stąd to napięcie. Wciąż byłam młodą, spragnioną miłości kobietą. W ostatecznym rozrachunku mój nieskalany obraz samej siebie legł jednak w gruzach. Pewność, że nigdy nie byłabym zdolna zdradzić swojego męża, zadrzała jak liść na wietrze.

Około jedenastej ktoś energicznie zapukał do drzwi. Spodziewałam się dostarczenia żywności. Jakaś młoda kobieta przekazała mi wiklinowy kosz, którego zawartość przykryta była lnianą chustą. Widząc moje zakłopotanie dotyczące zapłaty, zapewniła mnie, że wszystko zostało już uregulowane.

W kuchni wyjmowałam kolejno na stół jaja, mąkę kukurydzianą, ryż, butelkę mleka, czarną fasolę, trochę warzyw, oliwę i olej kokosowy. Na samym dnie niczym rubin lśniła krwista wołowina. Podzieliłam ten skarb na dwie części, jedną udusiłam wraz z czarną fasolą na obiad, pozostałą zanurzyłam w aromatycznej marynacie z kolendry i pomarańczy na kolejny dzień. Następnie upiekłam chrupiące tortille, w które zawinęłam mięso z fasolą. Nie były tak doskonałe jak te, które piekła Flora, choć tłukłam ciasto z pasją rozbuchanej żądzą kobiety. Uświadomiłam sobie wtedy, ile miłości można włożyć w kawałek mięsa, ile pożądania może pływać w rosole, ile wyrafinowanej słodyczy zapieka się w kukurydzianych ciasteczkach. Poczułam, jak fala przynoszącego ulgę ciepła oblewa ciało kucharki, gdy wybrane usta kosztują z zadowoleniem to, co wyczarowała. Zrozumiałam, że więcej zależy od serwowanych emocji, niż najlepszej nawet receptury. Nie dając sobie przyzwolenia na nic więcej, obcowałam z Gustavo za pomocą moich bułeczek, sosów, pieczeni, które pochłaniał ze smakiem w kolejne dni. Jakaś częśćka mnie dotykała jego warg, zębów, wnikała w jego wnętrzności. Bo z dnia na dzień pożądałam go coraz bardziej. Czekałam na wspólne chwile przy posiłkach i krótkie, wieczorne pogawędki przy kieliszku nalewki. Nocami fantazjowałam, że wchodzi do mojej sypialni i bez pytania odbiera należną zapłatę za widzenie z mężem. To, że Gustavo zdawał się być oporny na moje wdzięki, rozpałało mnie jeszcze bardziej. Choć alkohol i wieczory sam na sam wydawały się doskonałą aurą do flirtu, ani razu nie skrócił dystansu właściwego w towarzystwie kobiety zamężnej. Dziękowałam Bogu za to odrzucenie, bo złamanie przeze mnie przysięgi małżeńskiej zależało już tylko od niego.

Ostatniej, siódmej nocy Gustavo do późnych godzin kręcił się po mieszkaniu. Wchodził, wychodził ze swojego gabinetu, miałam nawet wrażenie, że kilka razy był pod drzwiami sypialni. W absolutnej ciszy można było usłyszeć skrzypienie drzwiczek kredensu i brzdęk karafki uderzającej o brzeg szklanego naczynia. Najwyraźniej nie mógł spać. Podobnie zresztą jak ja. Dosłownie skąpana we własnym pocie przewracałam się z boku na bok, bo nagle jego łóżko stało się dla mnie nieznośnie niewygodne. Jakbym przebudzała się ze zmysłowego snu i wracała do siermiężnej jawy. Dręczyła mnie myśl, że być może już

jutro zobaczę Federico... Nie wyobrażałam sobie jednak, że spojrzę w jego stalowe oczy. Zaraz wszystko odgadnie. Zastanawiałam się, czy wciąż jest we mnie tyle uczucia i determinacji, by walczyć o jego powrót do domu. Pytałam siebie, kim w ogóle jestem i co czuję. Bez znalezienia odpowiedzi na to pytanie zasnęłam dopiero o świcie.

Obudził mnie Gustavo, ubrany w mundur i gotowy do wyjścia. Mimo wyćwiczonego spokoju, nie zdołał ukryć zdenerwowania. Kazał mi się pospieszyć, miałam z nim gdzieś jechać. Zebrałam się tak szybko, jak było to tylko możliwe, rezygnując ze śniadania, które i tak nie przeszłoby mi przez gardło. Przed domem czekał powóz, którym pojechaliśmy w nieznanym kierunku. Beznamiętnie spoglądałam na mijane ulice. Jechaliśmy w milczeniu, jak dwoje obcych ludzi. W końcu byliśmy sobie obcy. Odegrałam tylko rolę pomocy domowej. To wszystko. To mnie pragnienie pozbawiło rozumu, ale na szczęście zaraz to się skończy i nigdy go już nie zobaczę. Z zamyślenia wyrwało mnie dopiero spostrzeżenie, że już dawno wyjechaliśmy poza miasto. Zatem nie wiozł mnie do El Infierno.

– Dokąd jedziemy? – Zaniepokoiliam się.

– Na spotkanie z Federico – odpowiedział, nie odwracając głowy w moim kierunku.

– To nie jest tam, gdzie poprzednio?

– Nie.

– Żyje? – ze strachu ledwo wydobyłam z siebie głos.

– Żyje.

W oddali ukazał się jakiś budynek. Gdy podjechaliśmy bliżej, okazało się, że to pogorzelnisko. Zwęglone mury z ziejącymi otworami po drzwiach i oknach, osnute poranną mgłą, wyglądały co najmniej upiornie. Pomyślałam, że to miejsce idealnie pasuje na cichą egzekucję. Przed wejściem czekało dwóch żołnierzy. Zrozumiałam, że to kres mojej drogi.

– Żegnaj, Evo – powiedział, patrząc na mnie ze smutkiem i otworzył drzwi powozu.

Gdy wychodziłam, wcisnął mi do ręki pieniądze. To dało mi nadzieję, że jednak nie chce mnie wysłać na tamten świat.

– Mogą ci się przydać. – Uprzedził mój protest, po czym wsiadł do

powozu. Czemu wciąż nie odjeżdżał? Na co czekał? Co zgotował dla mnie i Federico?

Z budynku wyszedł kolejny umundurowany i uzbrojony mężczyzna, ruchem ręki pokazał mi, że mam wejść do środka. Nogi ugięły się przede mną, zupełnie jak w snach z dzieciństwa, gdy nie mogłam uciekać przed upiornymi zjawami. Nie miałam jednak wyboru. Weszłam do spalonego domu.

ROZDZIAŁ XII



W sieni nikogo nie zastałam. Przeszłam do kolejnego pomieszczenia. Smród spalenizny wdzierał się w nozdrza i szczypał w oczy. Ostrożnie omijałam piętrzące się na posadzce zgliszcza po meblach i kawałki potłuczonych szyb. Na końcu przestronnego salonu było przejście do kolejnego pokoju. Tam też prowadziły ślady żołnierskich butów odbite na pokrytej popiołem podłodze. Przy oknie zauważyłam skulonego człowieka, który jak zaszczute zwierzę podskoczył na odgłos kruszącego się pod moimi pantoflami szkła. Pozbawiona włosów głowa odwróciła się w moim kierunku. Starzec o szarej, wychudzonej i mocno zarośniętej twarzy wpatrywał się we mnie, jakby ujrzał ducha.

– Eva? – spytał zachrypniętym głosem, który wydał mi się znajomy.

– Federico? – Wołałam się upewnić, bo ten marny człowiek zupełnie nie przypominał mojego męża.

Dopiero, kiedy oboje odważyliśmy się zbliżyć, zdołałam odszukać jego oczy głęboko zapadnięte w ciemnych jamach oczodołów. To były oczy mojego Federico.

Rzuciliśmy się sobie w ramiona. Zdołałam zamknąć w szerokim objęciu jego skurczone ciało. Nie mówiliśmy nic, tylko trwaliśmy w tym uścisku, kołyszając się lekko. Przytulił głowę do mojej piersi. Szlochał bezgłośnie. Ja nie potrafiłam płakać, moje łzy wyschły z bólu i oszołomienia. Nie mogłam zrozumieć, że w zaledwie kilka miesięcy młody, pełen sił mężczyzna mógł się zmienić w zgrzybiałego starca. Co musiał przejść, żeby wyglądać jak ojciec swojego ojca. Przytulałam go jak dziecko, gładziłam po łysej głowie, całowałam czoło.

„Boże... Dziękuję, że go widzę. Dziękuję, że żyje... Jeszcze żyje...” – myślałam. „Tylko co dalej? Ja wrócę do domu, a on do El

Infierno?”.

Łomot dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia oderwał nas od siebie. Nie wiadomo skąd wyrósł przed nami człowiek w mundurze. Stał na szeroko rozstawionych nogach i skierował w naszą stronę sztucer. Przyglądał się w milczeniu, jakby widok przerażonych, oczekujących wyroku ludzi sprawiał mu przyjemność. Wstrzymaliśmy oddech. Ta chwila była wiecznością.

Barroso... Jesteście wolni. – Opuścił broń i wyszedł.

Federico osunął się na ziemię. Chwyliłam go za ramiona i tak długo potrząsałam wycieńczonym ciałem, aż w końcu otworzył oczy. Bałam się, że to atak serca. W końcu nawet najlepsza wiadomość podana w nieodpowiednim momencie może zabić. Próbowалаm go podnieść, ale nie był w stanie utrzymać się na nogach. Chwyciwszy za połę jego płaszcza, przeciągnęłam go na miękką kupkę popiołu. Postanowiłam jakiś czas poczekać. Wierzyłam, że w cudowny sposób odzyska siły i zdołamy się stąd wydostać. Godziny płynęły jednak jak strugi deszczu, a Federico wciąż leżał bezwładnie. Co jakiś czas otwierał oczy i na mój widok cień uśmiechu przemykał po jego wargach. Zrozumiałam, że jeśli nie sprowadzę pomocy, Federico zwyczajnie zgaśnie w tym pogorzeliisku. Zamiast być wdzięczna Gustavo, że przyczynił się do uwolnienia Federico, ciskałam w niego piorunami, że nie zadbał o nasz powrót do domu.

– Federico. Słyszysz mnie? – Nachyliłam się nad jego twarzą. – Zostawię cię na jakiś czas. Muszę iść po pomoc. Nie poddawaj się. Zwalcz dla mnie. Wrócimy do domu. Razem. Obiecuję ci – szeptałam mu do ucha zaklęcia.

– Idź... – Federico, widząc mój brak zdecydowania, skinął głową na znak przyzwolenia.

Kciukiem nakreśliłam znak krzyża na jego czole i nie oglądając się za siebie, wybiegłam z budynku. Wiedziałam, że czasu mam mało. W strugach deszczu gnałam więc tą samą drogą, którą przywiózł mnie Gustavo, aż dobiegłam do pierwszych domostw na skraju miasta. Niebo oszalało. Czarne chmury dosłownie i w przenośni skupiły się nad moją głową. To była najdłuższa i najobfitsza pora deszczowa, jaką zapamiętałam.

Pomiędzy chatami skleconymi z desek, blachy i liści palmowych kręciły się ciemnoskóre dzieci i wychudłe psy. Jednym i drugim deszcz nie przeszkadzał w zabawie. Bose stópki tupwały w ogromnej kałuży, rozbryzując błoto na wszystkie strony. Psie wyrzutki bez domu i rasy obszczekiwały radośnie tę osobliwą fontannę.

Zapukałam do drzwi dość solidnie wyglądającego domu. Westchnęłam do Boga, by nie napotkać tego, kto zamiast pomóc, przysłuży się policji. Otworzyła mi ciemnoskóra kobieta w białym turbanie na głowie, zza której wychylały się dwie główki usmarowanych kilkulatków. Matka zdzieliła szmatą urwisów za to, że urządzili sobie kryjówkę w przepastnych fałdach jej falbaniastej spódnicy.

– Teresa! Zabierz ich! – ryknęła tęgim głosem, przywołując do siebie nastoletnią dziewczynę.

Następnie wlepiła we mnie czarne oczy i czekała na wyjaśnienie celu mojej wizyty.

– Proszę o pomoc! Mój mąż zachorował w drodze do domu. Jest wycieńczony. Leży w spalonym budynku, jakąś milę stąd. Ktoś nas musi dowieźć do najbliższej stacji, a najlepiej do samej Granady – starałam się mówić spokojnie i wyraźnie, choć moja broda drżała jak u staruszki.

Kobieta mierzyła mnie wzrokiem od góry do dołu. Musiałam wyglądać żałośnie w mokrej, ubłoconej sukience, bo po chwili wahania otworzyła szerzej drzwi swojego domu i zaprosiła mnie do środka:

– Señora wejdzie!

Mali domownicy rozpierchnęli się po kątach, by z bezpiecznej odległości obserwować niecodziennego gościa. Matka poleciła mi usiąść przy stole. Coś powiedziała do jednego ze swoich urwisów, który wyleciał z domu jak strzała. Potem podsunęła mi miskę gorącego ryżu z mlekiem.

– Nie teraz. Nie ma czasu! – zaprotestowałam.

– Sama nie pomogę. – Pokręciła głową. – Trzeba poczekać na mojego męża. Już wysłałam po niego Pablo.

Nie byłam zbyt głodna, bardziej zziębnięta. Znad talerza zachęcająco unosiła się para. Przełknęłam kilka łyżek. Kobieta usiadła po drugiej stronie potężnego stołu i w milczeniu czekała, aż skończę. W międzyczasie zdążyła nakarmić swoją najmłodszą pociechę,

wyjmując bez żenady wielką, ciemną pierś zza koszuli. Na jej twarzy odmalowała się błogość, gdy maleńka główka przyssała się do czarnej brodawki. Tak wyobrażałam sobie pogańską Matkę Ziemię, żywicielkę, która jest spełniona wtedy, gdy wszyscy dookoła niej są nasyceni. Wspomniałam moją Florę. Jak rozkoszne musiały być chwile przy jej piersi i jaka szkoda, że ich nie pamiętam. Po chwili do chaty wpadł przemoczony Pablo, a za nim wkroczył zwałisty Murzyn. Pan domu nie był zachwycony niespodziewaną wizytą. Z zafrasowaniem drapał się po głowie, przewracał białymi gałkami, wydymał mięsiste usta. Nie miał pojęcia, co ma ze mną począć. Czekał pewnie na jakiś znak z nieba.

– Macie wóz? Konia? Osła?

Gospodarz kręcił tylko głową.

– To może ktoś w okolicy? – dopytywałam bliska rozpacz.

– Leonardo ma muła. I mały wóz. Ale czy odstąpi?

– Zapłacę. – Wyciągnęłam jeden zmięty banknot z kieszeni płaszcza. Czarne oczy Inez błysnęły na jego widok.

– Felipe, na co czekasz? – ofuknęła tępawego męża. – Tam jest chory człowiek! Pospiesz się!

Sąsiad okazał się życzliwy i wkrótce dotarliśmy z Felipe do spalonego domu. Federico mnie nie zawiódł. Zawalczył. Jego przygasłe źrenice zaświeciły jak dawniej na mój widok. Wciągnęliśmy go z Felipe na wóz i ruszyliśmy w powrotną drogę.

Jednoizbowa chata, w której mieszkała liczna rodzina, była stanowczo za mała na przyjęcie jeszcze dwóch gości bez uszczerbku dla reszty domowników, mimo to mama Inez naprędce przygotowała dla nas królewskie posłanie – pledy rzucone na stertę suchych liści bananowców. Z ulgą złożyłam na nim cień mojego męża. Najważniejsze, że mieliśmy jakiś dach nad głową.

Federico zjadł nawet trzy łyżki ryżu i ponownie zapadł w sen. Chciałam wołać po jakiegoś doktora, ale Inez wyjaśniła, że próżno szukać medyka w najbliższej okolicy. Poleciała tylko, bym poila Federico naparem, który sporządziła z sobie tylko znanych ziół. Zapewniła, że wyleczyła nim swoją córeczkę, która wyglądała w chorobie jeszcze gorzej niż Federico.

Całą noc czuwałam przy nim, wsłuchując się ze strachem

w nierówny oddech. We śnie zanurzył się w swoje przeżycia. Pojękiwał, trząsał się, poruszał konwulsyjnie nogami, jakby chciał przed kimś uciec. Gładziłam go wtedy po twarzy, całowałam zasiniałe powieki, a jego ciało uwalniało się z napięcia.

– Gdzie jestem? – Rankiem Federico zdołał unieść głowę.

– Musimy jak najprędzej dotrzeć do domu – stwierdził całkiem trzeźwo, gdy dowiedział się, że udzielono mu gościny w murzyńskiej chacie.

– Jak tylko będziesz na siłach.

– Jestem... – Próbował wstać, ale opadł bezładnie na posłanie.

– Już niedługo! – pocieszałam go i naprawdę zaczęłam w to wierzyć, skoro od poprzedniego wieczoru nastąpiła znacząca poprawa.

Inez cały dzień donosiła nam gorące napary, gotowaną fasolę i kukurydzę. Choć na początku nie sprawiała wrażenia zbyt wylewnej, zaczęła odsłaniać przede mną niełatwe losy jej rodziny. Dowiedziałam się, że ona i Felipe byli wcześniej pracownikami na plantacji trzciny cukrowej, a ten spalony dom, niegdyś wspaniała rezydencja, należał do plantatorów, rodziny Santiago. Pracodawca ich nie rozpieszczał, pracowali ciężko, a ledwo starczało, by wyżywić całą gromadkę dzieci. Miał też szczególne upodobanie do młodych dziewcząt, które znienacka dopadał jak sęp, a Teresa już dorastała. Nie płakali zatem, gdy nowa władza rozprawiła się z panem Santiago w wiadomy sposób, tyle tylko, że później zostali pozostawieni sami sobie. Plantacja się zmarnowała, bo dotąd nie znalazł się nowy zarządca. Za pracą przenieśli się na obrzeża miasta, do tej dzielnicy nędzarzy.

Nie potrzebowała moich wyjaśnień, by podejrzewać, że mamy coś na sumieniu, a Federico jak nic opuścił miejsce kaźni. Przyznała, że boi się nas dłużej trzymać, bo nie chcieliby z Felipe podpaść policjantom, którzy od czasu do czasu tu zaglądają. Biali w tej okolicy się nie pojawiają. Zrozumiałam, że wszystkim zależy na zdrowiu Federico.

Następnego dnia, choć z niemałym trudem, Federico wstał i przeszedł parę kroków. Uznał, że jest w stanie wytrzymać podróż koleją. Pragnienie znalezienia się w domu wykrzesywało z niego siłę. Felipe znów pożyczył muła i zawiózł nas na pobliską stację. Zostawiłam Inez drugi banknot w podziękowaniu za pomoc. Na jej czekoladowej

twarzy pojawiły się łzy. Tyle jej mąż nie zarobił przez cały rok.

Za ostatnie pieniądze zakupiłam bilety na pociąg do Granady. Tym razem podróż upłynęła spokojnie. Pociąg przewoził więcej bydła i worków z kukurydzą niż pasażerów. Federico głównie drzemał, a ja miałam dość czasu, by zrobić rachunek sumienia. Żądza, którą wzbudził we mnie Gustavo, całkiem wygasła, ale wspomnienie o tym, do czego byłabym zdolna w jego obecności, paliło mnie jak ogień. Kiedy spoglądałam na zbolące ciało mojego męża, nienawidziłam wszystkich liberałów. Robiło mi się niedobrze na samą myśl, że mogłam być przychylna jednemu z nich. Nieważne, że dzięki Gustavo Federico wracał ze mną do domu. Nieważne. Chciałam go wyrwać z korzeniami z głowy, serca, zewsząd, raz na zawsze zapomnieć o tych siedmiu dniach... Moim mężczyzną jest Federico.

Wszystko się ułoży. Pokocham go na nowo. Wracałam do Granady pełna nadziei.

ROZDZIAŁ XIII



Chociaż szlachetna twarz Laury pomarszczyła się jeszcze bardziej, a kruczoczarna broda Fernando przypominała raczej cukrową watę, jaką sprzedawano na odpustach, i tak wyglądali zbyt młodo, jak na rodziców starca, którego im przywiozłam. Federico, podtrzymywany za ramiona przeze mnie i Fernando, samodzielnie przekroczył próg własnego domu i z ulgą spoczął na salonowej sofie. Laura, niczym Matka Boska z piety, podtrzymywała na kolanach umordowaną głowę ukochanego syna, lejąc przy tym łzy żalu i radości. Ze wzruszeniem patrzyłam na tę kompletną rodzinę, której porozrywane członki znów znalazły się na swoim miejscu. Zapomniałam, że kiedyś było mi tu źle, że czułam się obco, niepotrzebnie. Wierzyłam, że teraz musi być inaczej, że po tym, czego dokonałam, zasłużę wreszcie na miłość teściów i stanę się pełnoprawnym członkiem rodziny Barroso.

Federico był zbyt zmęczony podróżą, by dzielić się swoimi przeżyciami. Ułożyliśmy go w naszej sypialni. Dopiero teraz mogłam go umyć i przebrać w czyste ubranie. Kiedy zdjęłam mu koszulę, zobaczyłam na jego grzbiecie zapis wielotygodniowego cierpienia – sińce, wybroczyny, ślady po przyżeganiu. Całowałam każde okaleczone miejsce z wiarą, że moje pocałunki mają leczniczą moc.

Jeszcze tego samego wieczoru wezwaliśmy doktora D'Annunzio, który mimo zaawansowanego wieku, wciąż uchodził za najlepszego medyka w okolicy. Doktor długo badał Federico na osobności i kiedy zszedł do salonu, trzy pary oczu wbiły się w niego z nadzieją:

– Swoje przeszedł – westchnął głęboko. – Ale... dojdzie do siebie. Jest młody. Gdyby to na nas trafiło, drogi Fernando, nie mielibyśmy szans. Niech Federico spożywa dużo awokado, pije sok z jukki, a ciało natłuszczajcie mu oliwą. Na jutro przygotuję mikstury, a za pięć dni znowu go odwiedzę.

Chłonęliśmy zalecenia doktora w milczeniu.

Kiedy D'Annunzio wyszedł, a Federico zasnął, zostałam sama z teściami w salonie. Fernando całą uwagę skupił teraz na mnie.

– Nie wiem jak ci dziękować, Evo. – Uściskał mnie. – Lauro, proszę, nie płacz. Doprowadza mnie to do szału! Cieszymy się, że Federico żyje. – Po raz pierwszy usłyszałam, jak warknął na pochlipującą na sofie żonę.

– Mam się cieszyć, że wrócił na wpół umarły! Nie widzisz, co oni mu zrobili?! – Serce matki było pełne rozpaczony i nic więcej nie było dla niej ważne. – O Boże, ześlij na nich śmierć w męczarniach!

Fernando zrozumiał, że lepiej Laurę zostawić w spokoju.

– Mów, Evo. Jak go znalazłaś? – zwrócił się do mnie.

Nie miałam czasu pomyśleć, co i jak wykroić z mojej opowieści, nie wszystko przecież mogło dotrzeć do uszu moich teściów. W chwili, gdy wypowiedziałam nazwę aresztu, żrenice Fernando wypełniły niemal całe oczodoły.

– El Infierno? Federico był w El Infierno? Mój Boże! Jak to możliwe, że stamtąd wyszedł!

– Opłaciłam widzenie.

– Ty też tam byłaś? – Barroso kręcił głową z niedowierzaniem.

– Owszem... – westchnęłam głęboko, zastanawiając się, jak wiarygodnie zakończyć tę historię, bez ujawnienia, że niemal tydzień spędziłam u Gustavo.

– W El Infierno jeden z policjantów pobił mnie do nieprzytomności. Gdyby nie pułkownik Oliveira, który akurat przyjechał na inspekcję, pewnie by mnie zatłukł na śmierć. Może się ten wojskowy nade mną zlitował. Nie wiem. Zaraz potem wypuścili Federico. Wywieźli nas za miasto i tam zostawili.

– Zaraz, zaraz... Powiedziałaś Oliveira. A znasz jego imię? – teść omal nie rozlał koniaku. – Może Gustavo?

– Ojciec go zna? – nie zdołałam ukryć poruszenia.

– Nie... Coś tam o nim słyszałem... Rozmawiałaś z nim? –

Fernando był wyraźnie zaniepokojony. Nawet Laura przestała szlochać, tylko w napięciu przysłuchiwała się rozmowie.

– Dosłownie chwilę.

– Mówił coś o Federico?

– Nie znał go.

– Hmm... I sądzisz, że to on przyczynił się do uwolnienia Federico?

– Nie wiem. Tak przypuszczam. Nie rozmawiałam jeszcze o tym z Federico. Nie mam pojęcia, co się z nim przez ten czas działo.

– Tak... – Fernando zastygł na chwilę w milczeniu, jakby próbował ułożyć moje zdania w logiczną całość. Laura przestała na dobre szlochać i pozbierała puste filiżanki ze stołu.

– Tak... – powtórzył po jakimś czasie Fernando. – Wszystkiego dowiemy się od Federico. Jak do siebie dojdzie. Na razie nie należy go męczyć...

Kilka dni później pojechałam do Nandaime. Chciałam uwolnić moją rodzinę od niepokoju, w jaki ich wpędziłam samowolnym wyjazdem. Nie spodziewałam się ciepłego przyjęcia, zwłaszcza ze strony ojca, ale po przeżyciach w Managui gniew ojcowski nie był już dla mnie niczym strasznym. Pierwsza uściskała mnie Matylda, potem doskoczyły do mnie matka i siostry, tylko ojciec przypatrywał mi się z surową miną. Podeszłam więc do niego sama i ucałowałam w policzek.

– Myślisz, że wezmę cię w ramiona po tym, co nam zrobiłaś? – Odsunął mnie od siebie. – Wyjechałaś bez słowa, tylko ten list... Jak mogłaś? ...

– Dobrze wiesz, że nie miałam wyjścia. Nie spodziewałam się twojej akceptacji ani tym bardziej błogosławieństwa na drogę. Mylę się?

– Nie, nie mylisz się! – ojciec nie znał dotąd mojej buty.

– Zatem cieszymy się wspólnie, że wróciłam... i to nie sama, ale z Federico. Gdybym tam nie pojechała, już by nie żył. Wyciągnęłam go z El Infierno.

Spojrzenie ojca mówiło wszystko. W przeciwieństwie do matki i Matyldy, wiedział, co to oznacza. Pocziwa ciotka próbowała go udobruchać:

– Dzielna dziewczyna! Podziwiał swoją córkę, Maximilianie, zamiast ją łajać. Tylko ona odważyła się pojechać do Managui.

– No właśnie! Barroso! Podły tchórz! Zasłonił się chorobą! A ciebie wysłał bez żadnych skrpułów! – Twarz ojca była purpurowa

z wściekłości. – I nawet nie zapytał mnie o zdanie!

– Nikt mnie nie do niczego zmuszał. Niechęć do Fernando odbiera ci jasność widzenia. Ile razy mam powtarzać, że to była moja decyzja? –

Nieumyślnie trafiłam w czuły punkt ojca.

– Mam nadzieję, że twój ukochany mąż i teść wyleczyli się już z politycznej ambicji! – Ojciec wyszedł z salonu, dając mi do zrozumienia, jak głęboko go uraziłam, broniąc Fernando Barroso. Zamknął się w gabinecie i wyglądało na to, że nawet zapach pieczonych na ruszcie żeberek dochodzący z kuchni nie zdoła go stamtąd wywabić. Istotnie, obiad zjadł samotnie w swojej pustelni. Chciałam pójść do niego i prosić o przebaczenie, ale powstrzymała mnie Matylda.

– Daj mu czas. Nie zrobiłaś nic złego. Powiedziałaś prawdę.

Ojciec pojawił się w salonie dopiero w czasie podwieczorku. Potrzebował kilku godzin, by zrozumieć, że jego rodzicielska władza mocno się skurczyła, że nie rozmawia już z tą samą Evą, jaka nie tak dawno pomieszkiwała w Nandaimé. Poza tym z pewnością przywiodła go ciekawość. Przyniósł butelkę słodkiego wina z zeszłorocznych zbiorów i kiedy rozlał je do kieliszków, wznosił toast za mój powrót.

Musiałam po raz kolejny opowiadać o tym, co mnie spotkało w Managui. Im także nie wspomniałam o tych kilku dniach spędzonych z Gustavo. Ojciec nie mógł się nadziwić, że Federico został tak łatwo uwolniony z El Infierno. Tylko milcząca dotąd Isabel uśmiechnęła się szelmowsko:

– Przecież to oczywiste! Musiałaś wpaść w oko temu Gustavo! Coś takiego można zrobić tylko dla kobiety.

– Od czytania romansów pomieszało ci się w głowie! – Oburzyłam się, ale moje policzki zapłonęły rumieńcem. Matylda spojrzała na mnie przenikliwie. Tylko jej gotowa byłam powiedzieć prawdę.

Federico pod opieką dwóch kochających kobiet szybko wracał do zdrowia fizycznego. Z dnia na dzień odzyskiwał apetyt, a jego wątłe ciało nabierało witalności na naszych oczach. Spaliśmy w jednym łóżku, tuliliśmy się do siebie każdego wieczoru, ale na tym się kończyło. Dzięki Bogu, nie miał ochoty na nic więcej. Wzbudzał we mnie współczucie i czułość, kochałam go jak skrzywdzone dziecko, ale trudno mi było go sobie wyobrazić jako namiętnego kochanka. Jego wzrok był nadal

zalekniiony, mówił mało. Nie chciał wracać do tego, co działo się w więzieniu. Prześcigałyśmy się z Laurą w dogadzaniu Federico, co – miałam wrażenie – nie wychodziło mu na dobre. Całe dni spędzał w pościeli, drzemał, czasem sięgał po książkę, ale po kilku wersach tracił ochotę na czytanie. Nie wychodził z domu i nie chciał widywać nikogo poza mną i swoimi rodzicami. Zamknął się w sobie niczym żółw w skorupie i jak gad wystawiał z niej głowę tylko po liść sałaty.

Uznałam, że jedyną osobą, która może coś na to zaradzić, jest doktor D'Annunzio. Uważałam go za medyka obdarzonego szóstym zmysłem, ponieważ w przeszłości wielokrotnie rozszyfrowywał przyczyny moich „chorób” w dzieciństwie. Miał kilkadziesiąt lat doświadczenia i mimo ukończenia studiów medycznych w Bolonii, skąd pochodzili jego rodzice, nie odżegnywał się od stosowania pradawnego leczenia Indian. Ludzie mówili, że sam korzystał z usług czarnoskórej znachorki Esmeraldy i wdrażał jej zalecenia swoim pacjentom. Ponieważ młodo został wdowcem, podejrzewano go nawet o większą zażyłość z apetycznie zaokrągloną Esmeraldą.

Tego wieczoru Carlo D'Annunzio przyjął mnie u siebie w gabinecie, tuż po zbadaniu ostatniego pacjenta. Miał typowe dla Włocha pogodne usposobienie, i sędzę, że wielu chorych już po samej z nim rozmowie czuło się znacznie lepiej. Usiedliśmy w skórzanych fotelach, które dzielił tylko mały okrągły stoliczek na kręconej nodze. Doktor nie miał zwyczaju odgradzać się od pacjentów monstrualnym biurkiem. Poczęstował mnie kieliszeczkiem limoncello własnej roboty. Powspominaliśmy żartobliwie moją alergię na psalmy i litanie.

– Co słysząc u męża? – doktor sam zagadnął o Federico.

– Zaokrąglił się, na nic już nie narzeka.

– Ale...

– Nie wiem, jak to określić... Nie wrócił do siebie... Jest jakby innym człowiekiem... Nie mogę do niego dotrzeć.

– *Exanimationes incidamus* – z ust doktora padła obca dla mnie diagnoza. – Cierpi na depresję – wyjaśnił, widząc przerażenie w moich oczach.

– A da się go z tego wyleczyć?

– To choroba duszy, nie ciała. Ciało łatwiej się leczy.

– Zamknął się w sobie. Dotąd nic nie powiedział o tym, co przeżył w więzieniu. Wszyscy chodzą wokół niego na palcach, tylko ja mam ochotę głośno tupać.

– To jego reakcja obronna – tłumaczył doktor. – Chce wyprzeć, stłamsić straszne wspomnienia, ale nie tędy droga... Musi to z siebie wyrzucić, powiedzieć komuś, komu ufa. Coś musi nim wstrząsnąć.

– Czy mógłby pan z nim porozmawiać? On pana bardzo szanuje – odważyłam się prosić doktora.

– Nie wiem, czy to coś da... – Doktor podrapał się po brodzie.

– Ale trzeba spróbować. – Uśmiechnął się łagodnie. – No już dobrze, nie martw się. – Poklepał mnie po ramieniu. – Będę u was jutro wieczorem.

Nazajutrz Federico wyglądał nawet na zadowolonego, kiedy doktor D'Annunzio złożył nam niespodziewaną wizytę. Po wypiciu kawy w salonie, gość zapragnął porozmawiać z Federico na osobności. Minęła dobra godzina, a oni wciąż nie wychodzili z gabinetu, co mocno dziwiło Laurę i Fernando. Byłam zadowolona, że tak długo trwa ich rozmowa, gdyż miałam nadzieję, że Federico wreszcie się otworzył. Do dziś nie wiem, o czym mówili, bo doktor traktował tajemnicę lekarską niczym ksiądz tajemnicę spowiedzi. Federico nie wyszedł za nim z gabinetu, pozostał jeszcze jakiś czas sam. Laura natychmiast doskoczyła do wychodzącego doktora:

– I co, doktorze, co z moim synem?

– Pani syn ma się dobrze. Gorzej ma się mąż Evy – odpowiedział z właściwym sobie sarkazmem.

– Nie pieście go tak, kobiety – dodał, wkładając kapelusz. – Zbyt wiele miłości może być równie zabójcze, jak więzienne tortury.

Tej nocy Federico przytulił się do mnie mocnej i namiętnej. Jego dłoń zawędrowała pod moją koszulę. Powinna się cieszyć, że odzyskuje chęć do bycia mężczyzną, ale przyzwyczaiłam się już do innej bliskości, podobnej raczej do tej, która łączy rodzeństwo niż małżonków. To ciągle uważanie na jego nastroje, wsłuchiwanie się w jego dolegliwości, namaszczanie i karmienie wypaliło we mnie żar, jaki nosi w sobie młoda kobieta. Zamiast rozchylić się jak kwiat, zachęcić Federico do wejścia we mnie, leżałam sparaliżowana tą nagłą

aktywnością. W głowie znów wybrzmiały mi słowa matki, które usłyszałam przed ślubem z Federico, że ten pierwszy raz nie jest najlepszy, że trzeba nauczyć się swoich ciał, że potem bywa lepiej... Pomyślałam, że muszę go zatem poznać na nowo, muszę dać mu szansę, jesteśmy przecież tak innymi ludźmi. Muszę... zapomnieć o tamtym...

I pozwoliłam się kochać. Bez krzty pożądania, raczej z poczucia winy, że ktoś inny zabrał uczucia należne mężowi. Bez przyjemności, lecz z chęci zadośćuczynienia ciału, które przestało być dla mnie atrakcyjne.

Dokonanie aktu małżeńskiego uwolniło emocje, które Federico tłumił miesiącami. Zaczął nagle szlochać, niczym rozżalone dziecko. Wystraszyłam się. Czyżby odczuł, z jakim trudem przyszło mi dopełnić obowiązek małżeński? Tuliłam go do siebie, całowałam jego powieki, a on wciąż płakał i płakał. Nagle zerwał się z łóżka, założył spodnie i koszulę, jakby szykował się do wyjścia, ale usiadł tylko na krześle stojącym obok. Zdumiona wodziłam za nim wzrokiem. „Całkiem oszalał!” – myślałam.

– Evo. – Oczy Federico nabrały niesamowitego blasku, jakby wraz z potokiem łez spłynęło z nich to całe udręczenie. – Evo – powtórzył. – Chcę ci wszystko opowiedzieć.

ROZDZIAŁ XIV



–Byłem głupcem. – Federico zaczął swoją opowieść. – Po złapaniu Santeza trzeba było na jakiś czas zniknąć, ale Amerykanie wyglądali na naszą delegację i ktoś musiał przedostać się do Stanów. Chcieliśmy kuć żelazo, póki gorące. Zwłaszcza, że w otoczeniu Zelayi znaleźli się ludzie, którzy nie mogli go już znieść. Oszczędzę ci szczegółów naszego planu, w każdym razie, miałem się z nimi spotkać w Managui, a potem wyjechać do Stanów. Na miejscu okazało się, że dla szpicli Zelayi nie istnieją ściany i drzwi. Jego banda przeprowadziła czystkę. Wszystkich sparaliżował strach. Jedni bohaterowie uciekli ze stolicy, a drudzy kolejno zamykali mi drzwi przed nosem. Powinienem był wracać do domu, ale odebrało mi rozum. Chciałem być w środku tych wydarzeń. Wierzyłem, że jakimś cudem uda mi się przedostać do Bostonu. Zatrzymałem się u Alonso, mojego przyjaciela ze studiów. Wynajmował pokój pod fałszywym nazwiskiem. Najprawdopodobniej, kobieta, u której mieszkaliśmy, doniosła na nas policji. Nocą zgarnęli nas do El Infierno – wyszeptał jednym tchem.

– Tam... – jego głos zadrżał. – To, co tam przeżyłem, na zawsze zostanie w każdej części mojego ciała. Byłem przygotowany na śmierć. Czekałem na nią. Zasypiałem z nadzieją, że już się nie obudzę. Myślałem dużo o tobie, głównie o tobie, jak ułożysz sobie beze mnie życie. I nagle powiedziano mi, że stanę przed sądem. To dziwne, bo tam nikogo nie sądzono, więźniowie umierali zadręczeni przez tych bandytów, bez jakiegokolwiek wyroku. Cały proces trwał zaledwie pół godziny. Usłyszałem, że jestem oskarżony o utrzymywanie kontaktów z jednostkami występującymi przeciwko prawowitej władzy. Byłem tak słaby, że ledwo stałem na nogach i niewiele do mnie docierało. Zostałem skazany na pięć czy dziesięć lat więzienia. Widzisz, nawet tego nie pamiętam, i dożywotnio pozbawiono mnie prawa do pracy w zawodzie

prawnika. Dla mnie wtedy najważniejsze było jedno, że zabiorą mnie z El Infierno. Następnego dnia o świcie dwóch wojskowych skuło mi ręce, zawiązano mi oczy i wsadzono mnie do jakiegoś powozu. Sądziłem, że przewożą mnie do innego aresztu, ale zawieźli do tego spalonego domu. Wtedy... – zaczął znowu płakać – wtedy byłem pewien, że mnie zastrzelą. Po cóż innego mieliby mnie wywozić w takie miejsce? To było straszne... Evo, stali z karabinami wycelowanymi w moją głowę i nic. Każda chwila spędzona tam odebrała mi chyba rok życia. Potem wyszli. Zostałem sam w tym pogorzeliisku. I nagle ty. Skąd? Jak to sprawiłaś, że mnie wypuścili? Alonso nie miał tyle szczęścia. Kiedy poszłaś po pomoc, leżałem na wpół przytomny. Myślałem wówczas, że tylko mi się przyśniłaś i umieram...

– Chodź do mnie. – Wyciągnęłam do niego rękę.

– Nie dawałaś znaku życia... – Wiedziałam, że teraz kolej na mnie.

Chciałam powiedzieć mu wszystko. Zasługiwał na prawdę. –

...obudziłam się w mieszkaniu tego wojskowego – kontynuowałam wtulona w Federico. – Okazało się, że to on uratował mnie przed gwałtem. To był pułkownik Gustavo de Oliveira.

– Możesz powtórzyć jego nazwisko?

Federico usiadł na łóżku. Wyglądał na zaniepokojonego.

– Oliveira – powtórzyłam. – Znasz go? Twój ojciec też o niego pytał... – Zaciekawiałam się.

– Tak... tylko ze słyszenia, studiował ze mną. Powiedział, że został usunięty z uczelni na ostatnim roku.

– On ciebie nie zna.

– Możliwe. Nie studiowaliśmy przecież tylko we dwóch. To co działo się dalej w jego mieszkaniu?

– No... nic. Był doktor, badał mi głowę i kazał odpoczywać przez kilka dni.

– I wróciłaś do Adeli?

Nie. To znaczy... Gustavo chciał, żebym została u niego, aż całkiem dojdę do siebie. Doktor miał mnie zbadać jeszcze raz. Poza tym, obiecał, że pomoże mi się z tobą zobaczyć.

– Jak długo tam byłaś? – ton jego głosu się wyostrzył.

– Dwa, trzy dni. – Czułam, że wkraczam na grząski teren

i z każdym słowem zapadam się coraz głębiej. Zaczęłam żałować tego przyływu szczerości.

– To co tam robiłaś?

– Po prostu czekałam na widzenie z tobą. Kilka razy przygotowałam coś do jedzenia, bo akurat jego gospodyni musiała wyjechać.

– Byłaś u niego służącą? – Federico zagotował się z wściekłości. Wstał z łóżka i zaczął krążyć po pokoju.

– To nie tak. Nie bądź głupio zazdrosny. Wiesz, że nie miałam wyboru – tłumaczyłam się mętnie.

– Co jeszcze musiałaś robić, żeby mnie zobaczyć?

– Nic. Tylko to, co mówiłam.

– Nie wierzę. – Chwycił mnie za podbródek i zbliżył swoją twarz do mojej. Jego stalowe oczy stały się ciemnogrnatowe.

– Oszalałeś? – Odtrąciłam jego dłoń. Przeraził mnie. Byłam bliska płaczu.

– Wybacz. – Twarz Federico złagodniała, usiadł znowu na łóżku. Ukrył twarz w dłoniach. – To wszystko jest takie dziwne.

Już prawie świtało. Oczy same mi się zamykały. Po tym, jak opowiedziałam wszystko Federico, poczułam, jak moje ciało uwalnia się od napięcia, staje się miękkie i wiotkie. Pragnęłam snu. Federico z kolei nie mógł sobie znaleźć miejsca, rzucał się po łóżku, to wstawał, to podchodził do okna, znów się kładł. Jakby cały niepokój niczym zaraza przeszedł ze mnie na niego.

Następnego dnia zaraz po śniadaniu zamknął się z ojcem w gabinecie. Wyszli tuż przed obiadem i obaj mieli zafrasowane miny. Byłam pewna, że Federico przekazał Fernando to, co usłyszał ode mnie. Moją głowę zaprzętały domysły, co ich łączyło z Gustavo de Oliveira.

Minął już ponad rok od naszego powrotu z Managui. Zdawało się, że w Federico coś się przełamało. Był całkiem rozmowny, dużo czytał, zagrał nawet od czasu do czasu partyjkę kanasty. Sięgał nawet po gazety, chociaż nagłówki pierwszych stron codziennie krzyczały o osiągnięciach liberalnego prezydenta. Za radą doktora D'Annunzio regularnie

wychodził na spacer, dzięki czemu odzyskał sprężystą sylwetkę młodego mężczyzny. Słowem, robił wszystko to, co robi zdrowy mężczyzna w jego wieku, oprócz tego, że nie pracował. Nie chciał nawet zajrzeć do kancelarii ojca. Przekonywałam go, że może przecież pomagać Fernando, ale świadomość, że sam nie założy dostojnej togi, zniechęciła go do wszystkiego, co było związane z prawem. Złościło mnie, że nikt, prócz mnie, nie próbował przemówić mu do rozsądku. W końcu, najgorsze Federico miał już za sobą i nadszedł czas, by wyjść z roli chorego. Nie wyobrażałam sobie, że moglibyśmy resztę życia spędzić w takim letargu. Byłam zniecierpliwiona rolą niańki. Chciałam męża. Chciałam mężczyzny. Wyczerpały się moje pokłady wyrozumiałości i czułości. Po powrocie z Managui Federico uciekał od prawdziwego życia, ja dopiero nabrałam na nie apetytu. Rola jego żony przestała mi wystarczać.

Coraz częściej wylewałam z siebie pretensje, przed którymi Federico chronił się towarzystwem zapatrzonej w niego matki. Karał mnie za krnąbrność, spędzając coraz więcej czasu z Laurą, której instynkt macierzyński wrócił do czasów, gdy Federico był niemowlęciem. Nie odstępowała go prawie na krok. Zawsze mieli temat do rozmowy, zawsze się świetnie rozumieli. Przyglądałam im się z zazdrością, jak śmiali się i szeptali niczym kochankowie. W aurze matczynego uwielbienia nie miałam szans zbliżyć się do męża. Zastanawiałam się czasem, jaką tajemnicę ta kobieta nosiła w sobie. Co mogło tłumaczyć tak obsesyjną miłość do syna.

Czułam, że Federico oddala się ode mnie. Nie patrzył już na mnie z taką czułością, jak zaraz po powrocie z Managui. Bywał grubiański, jakby nosił w sobie jakąś zadrę. Kiedy próbowałam poznać przyczynę jego zachowania, wzruszał tylko ramionami i mówił, że za dużo myślę. Potrzebował mnie wyłącznie nocą. Nie codziennie, ale dwa, trzy razy w tygodniu ostro dopominał się dopełnienia małżeńskich obowiązków. Spętana przysięgą złożoną w granadyjskiej katedrze oddawałam się mężowi z coraz większą obojętnością. Żal, smutek i zniechęcenie przelewały się we mnie. Walczyłam, by nie wykipieć. Ta zatruwająca mieszanka emocji pozbawiała mnie sił i ochoty do życia. Z czasem gniew ustąpił poczuciu beznadziei. Kiedy byłam sama, cicho

popłakiwałam. Nic mnie nie cieszyło. Wszystko stawało się obojętne.

Jedynie doktor D'Annunzio rozumiał, co się święci. Podczas jednej z wizyt szepnął mi do ucha, że coraz bardziej przypominam Federico tuż po powrocie z El Infierno. Zrozumiałam wtedy, że musi być ze mną bardzo źle. Może i ja cierpię na *exanimaciones incidamus*? Brak apetytu i nieprzespane noce sprawiły, że moja twarz nabrała odcienia szarości, którego żadne pudry i pomady nie zdołały ukryć. Oczy wpadły w ciemne doły, a włosy wychodziły garściami. Patrzyłam w lustro na obcą, zmęczoną życiem, starą kobietę. Dotarło do mnie, że już dość ratowałam swojego męża i teraz muszę ratować siebie.

Okazja do zmiany nadarzyła się prędko. W lokalnej gazecie znalazłam ogłoszenie o naborze nauczycieli do pracy w szkole elementarnej. Kiedy oznajmiłam Federico, że chciałabym wrócić do nauczania, wydawał się być zupełnie niewzruszony.

– Jeśli chcesz, pracuj. Jesteś taka samodzielna.

Szkoła mieściła się tuż przy stacji kolejowej. Kilkuizbowe mieszkanie na parterze kolonialnej kamienicy przemieniono w sale lekcyjne. Na początek nie potrzeba było więcej, bo mimo rządowego nakazu, by wszystkie dzieci podjęły naukę, trudno było doprowadzić je do szkoły. Wciąż były bardziej potrzebne na plantacjach, a siłę ich rąk ceniono bardziej niż zdolność pisanie i czytania.

Dyrektor szkoły, Augusto Orto, przyjechał z samej Managui. Miał może czterdzieści kilka lat, mocno przerzedzone włosy i sumiaste, wciąż czarne wąsy. Przyjął mnie u siebie w gabinecie, w którym poza stołem i trzema krzesłami, nie było jeszcze żadnych mebli. Na podłodze pod ścianami stały skrzynie i kufry. Widać, nie zdążył się jeszcze rozpakować.

– Dobrze, że się pani zgłosiła. – Przywitał mnie szerokim uśmiechem. – Tutaj brakuje wykształconych ludzi chętnych do pracy w szkole. Inaczej niż w Leon. Ale... powoli rozmiękczymy zatwardziałą w poglądach Granadę.

W kilku słowach przedstawiłam mu swoje nauczycielskie doświadczenie. Wystarczyło. Pokiwał głową z uznaniem, po czym przedstawił mi kwotę wynagrodzenia, która, tu musiałam zgodzić się z Laurą, była żenująco niska. Ale nie chodziło mi przecież tylko

o pieniądze, więc bez cienia niezadowolenia zgodziłam się na te warunki. Pracę zaczynałam już od następnego dnia. Wracałam do domu podekscytowana i pełna nadziei na przyszłość. Jako pierwsza kobieta w rodzinie nie tylko zaczęłam pracować poza domem, ale także zarabiać pieniądze.

W szkole czułam się ważna i potrzebna. Codziennie kilka par ciemnych oczu wpatrywało się we mnie z uwielbieniem. Miałam dla kogo wstawać codziennie rano. Po trosze odzyskiwałam chęć do życia. Moje oczy nabrały blasku. Zaczęłam dbać o swój wygląd, wrócił mi apetyt. Odżyła we mnie nadzieja, że zbliżymy się z Federico.

Kiedy w budynku szkoły zwolniło się jedno mieszkanie, zaczęłam obsesyjnie myśleć o nakłonieniu Federico do przeprowadzki. Tuż przed snem, leżąc w jego objęciach, przypuściłam atak:

– Powinniśmy więcej czasu spędzać tylko razem. – Moja dłoń rozpoczęła wędrówkę po jego ciele.

– Hmm... – zamruczał z aprobatą.

– W szkole jest wolne mieszkanie. To tylko dwa pokoje, ale na początek by wystarczyło – szeptałam mu do ucha, namiętnie masując jego tors.

– Żartujesz? – wzdrygnął się.

– Dlaczego? – nie rozumiałam jego oporu.

– Czasy są trudne, ja nie pracuję.

– Ja pracuję! – Gwałtownie przerwałam pieszczoty.

– Twoje parę pesos nie starczy nam nawet na opłaty.

– Dlaczego więc nie pracujesz? Ile jeszcze zamierzasz udawać chorego? Nie chcesz pomagać ojcu w kancelarii? Znajdź sobie inną pracę!

– Od kiedy chodzisz na pasku liberałów, poprzewracało ci się w głowie! – ryknął. Wstał z łóżka i narzucił szlafrok. – Nie chcę więcej wracać do tego tematu – dodał, wychodząc z sypialni.

Niedługo później dyrektor wezwał mnie do swojego gabinetu.

– Muszę na jakiś czas wyjechać, organizujemy kolejną szkołę. Indianie z trudem, ale przekonują się, że nauka daje szansę ich dzieciom na lepsze życie. Przejmie pani moje obowiązki. – oznajmił. – Pani

uposażenie nieznacznie wzrośnie, ale wciąż jeszcze to praca bardziej społeczna, niż dochodowa. – Widząc moją niepewną minę, poklepał mnie przyjacielsko po ramieniu i dodał:

– Jestem pewien, że zostawiam szkołę w najlepszych rękach.

Wróciłam do domu uszczęśliwiona awansem. Chciałam jak najszybciej podzielić się tą wiadomością z Federico, ale okazało się, że gdzieś wyszedł. Widać, miałam radość wymalowaną na twarzy, bo nawet Laure zainteresowały jej powody. Pochwaliłam się jej, że od następnego dnia zacznę piastować stanowisko dyrektorki szkoły.

– Żaden powód do dumy – prychnęła. – Nie zapominaj, dla kogo pracujesz. Dla Zelayi. Dla tych, którzy chcieli zamordować mojego syna, a twojego męża. Nie mogę zrozumieć, że ci to nie przeszkadza!

– Nie wszystko, co robią liberałowie, jest godne potępienia, podobnie jak nie wszyscy konserwatyści postępują nienagannie. – Ośmieliłam się z nią dyskutować.

– Widzę, że pasujesz do tej hołoty! – syknęła.

Słowa teściowej wbiły mnie w ziemię. Jednak tylko na chwilę. Poczułam, jak płomień rozrywa mi piersi. Tłumiona latami niechęć musiała wystrzelić.

– Ta hołota jest o niebo lepsza od ciebie – wycedziłam przez zaciśnięte wargi.

Laura wstrzymała oddech. Nadęła się jak ropucha i wybałuszyła oczy. Chwilę mierzyłyśmy się wzrokiem, jak dwa koguty szykujące się do ataku w ulicznych walkach. Kiedy Laura uwolniła uwięzione w płucach powietrze, zaczęła krzyczeć jak opętana.

– Precz! Precz z mojego domu!

Chwyciłam kapelusz i wybiegłam do sieni. W drzwiach minęłam się z Federico, który słysząc histeryczny krzyk matki, pośpieszył jej na ratunek.

– O Boże, czym ja sobie na to zasłużyłam! Za jakie grzechy? – słyszałam, jak łkała w ramionach syna.

Pobiegłam do szkoły i w pustej sali próbowałam ochłonąć po tym, co zaszło. Nie żałowałam słów wypowiedzianych pod adresem Laury, ale zdałam sobie sprawę, jaką cenę przyjdzie mi za to zapłacić. Nikt nigdy nie odważył się na takie zuchwalstwo. Bałam się wrócić do domu,

ale nie mogłam przecież spędzić nocy w szkole. Otwierałam drzwi z większym lękiem, niż kiedy przekraczałam próg El Infierno. Na szczęście mahoniowe drzwi do salonu zostały zamknięte i mogłam niezauważalnie przemknąć do sypialni.

Federico czekał na mnie. Leżał na łóżku w ubraniu i butach. Zmarszczył brwi na mój widok i przeszył mnie prawdziwie nienawistnym spojrzeniem.

– Zelżyłaś moją matkę – oskarżył mnie w progu.

– To ona... – zaczęłam się tłumaczyć, ale Federico nie miał ochoty mnie słuchać.

– Zamilcz. – Położył palec na ustach.

– To ona obraziła mnie pierwsza – odważyłam się dokończyć.

– Jak myślisz, komu mam wierzyć? Kobiecie, która mnie nigdy nie zawiodła, czy kobiecie, która przez tydzień jak dziwka mieszkała z obcym mężczyzną?

Usłyszawszy te słowa, wybiegłam z sypialni jak oparzona. Noc spędziłam na szezlongu w buduarze. Czułam mocniej niż kiedykolwiek, że mój czas w tym domu się skończył. Pierwszy raz byłam wdzięczna Bogu, że nie powiłam dotąd istoty, która mogłaby mnie tu zatrzymać. Rankiem spakowałam kilka swoich rzeczy w jedną podróżną torbę. Nie było tego wiele, bo wszystkie stroje, jakie zakupiła mi Laura, pozostawiłam w szafie.

Po lekcjach poprosiłam dyrektora o klucz od mieszkania. Było więcej niż skromne. Stół, dwa krzesła, kuchenny kredens i odrapane metalowe łóżko stanowiły całkowite umeblowanie.

W innych okolicznościach nie chciałabym tu spędzić godziny, ale wtedy nie przyszło mi do głowy wybrzydzać. Byle tylko mieć swój kawałek podłogi.

Rozpłakałam się dopiero, gdy zamknęłam od wewnątrz drzwi służbowej kwatery. To okropne uczucie, gdy już nie możesz zawrócić, ale nie masz jeszcze dość siły, by dziarsko iść naprzód. Wydawało mi się, że w Managui wystarczająco się zahartowałam, ale i tam, w gruncie rzeczy, nigdy nie byłam sama. W całym dotychczasowym życiu nie byłam sama. Zawsze z kimś. Pusty budynek szkoły, puste mieszkanie, puste łóżko napawały mnie lękiem. Na domiar złego miałam też pusty

żołądek, bo zapomniałam, że muszę sama zadbać o to, co zjem na kolację. Przeszukałam szuflady kuchennego kredensu, ale nie znalazłam nic, prócz herbaty i odrobiny cukru. Dziękowałam Bogu i za to.

Nie mając do kogo się odezwać, nasłuchiwałam. Martwą ciszę co jakiś czas zakłócały rozmaite odgłosy dochodzące z ulicy i płynące z serca starego domu: skrzypienie wiekowych belek, łomot poruszanych wiatrem okiennic, których zawiasy ledwo trzymały się muru. Federico musiał już dawno przeczytać list, a jednak do mnie nie przyszedł. Nie szukał mnie, nie martwił się o mnie. Przegrałam walkę z jego matką.

Nakryłam się cienkim pledem i starałam zasnąć. Przyszło mi na myśl, że rozpoczynając wojnę z rodziną Barroso, mogłam szukać schronienia w Nandaime. Popijałabym teraz domowe wino po sutej kolacji, potem zanurzyłabym się w pachnącą, haftowaną przez matkę pościel. Miałabym przy sobie ciepło i mądrość Matyldy. Miałabym jej wsparcie. Nie chciałam jednak wracać do rodzinnego domu, gdzie, podobnie jak Federico, byłabym przede wszystkim dzieckiem moich rodziców.

Zastanawiałam się, skąd pojawiła się u mnie potrzeba życia na własny rachunek. Byłam wychowywana w domu, w którym kobiety z małych dziewczynek przepoczwarzały się od razu w stateczne matrony. Zawsze w cieniu mężczyzn, ojców, mężów, braci. Skąd zatem tak silne pragnienie, by przeżyć etap pośredni, by poczuć się kobietą mającą wpływ na swoje życie? Dlaczego nie umiałam zaakceptować tego, co z taką pokorą znosi większość kobiet? Przecież ze mną los obszedł się wyjątkowo dobrze – miałam co jeść, gdzie spać, mąż mnie nie zdradzał i nigdy nie podniósł na mnie ręki. Gdzieś z tyłu głowy zadźwięczały mi słowa babki, że jestem grzesznym dzieckiem i potrzeba wylać na mnie dużo święconej wody. Czemu tak mówiła o swojej pierwszej, zaledwie kilkuletniej wnuczce? Może wyczuła moją niepokorną naturę?

Utrudzona rozmyślaniami zasnęłam na swoim nowym łóżku. Śniło mi się, że przyszedł do mnie Federico, powiedział, że nie może żyć beze mnie i chce ze mną zamieszkać. Rzuciliśmy się na siebie z ogniem potajemnych kochanków, zdzierając w pośpiechu ubrania. Zamknęłam oczy, pozwalając by inne zmysły smakowały całej rozkoszy. Moja

wyobraźnia podarowała mi najlepszy akt miłosny, jaki dotąd zaznałam. Jęknąwszy bez strachu, że ktoś nasłuchuje za ścianą, otworzyłam oczy i ku swemu przerażeniu zobaczyłam nad sobą Gustavo, którego utrudzony oddech przyjemnie ogrzewał moją twarz. Wtedy dopiero obudziłam się na dobre. Bóg mi świadkiem, że nie chciałam tego snu. Byłam przekonana, że zdołałam zapomnieć o tych siedmiu dniach w Managui, ale moje ciało dopominało się Gustavo.

ROZDZIAŁ XV



Oczekiwałam, że Federico pojawi się w moim skromnym mieszkaniu. Nie wychodziłam nigdzie wieczorami z obawy, że mnie nie zastanie. Kiedy jednak spędzałam kolejne mroczne godziny, wpatrując się w płomień lampki naftowej, zaczęłam sobie boleśnie uświadamiać, że czekam na próżno. Przeplakałam całą noc. Następnego dnia poszłam do katedry, w której odbył się nasz ślub. Przypomniałam sobie, jak piękne były początki naszego uczucia. Nie mogłam się pogodzić, że taka wyśniona miłość może się zmienić w niestrawną mieszaninę nudy i obojętności. Brakowało mi tamtego Federico, który z uwielbieniem wpatrywał się we mnie, gdy podchodziłam do ołtarza. Kilka dni wcześniej wyszłam z łóżka zupełnie innego mężczyzny.

Po dwóch tygodniach doszłam już do stanu, w którym, zamiast tylko czekać, zaczęłam troszczyć się o siebie. Kupiłam na targu chicharrones, których smak prawie zapomniałam, zabrałam z gabinetu dyrektora kilka książek, licząc, że nie będą to romanse tylko powieści awanturnicze. Będąc sam na sam przez ponad połowę dnia, poznawałam siebie na nowo. W wieku niemal trzydziestu lat odkrywałam, co naprawdę lubię, a co napawa mnie wstrętem. Dowiedziałam się, że jestem umiarkowaną bałaganiarą i moje rzeczy niespodzianie rozlażą się w różne miejsca, uwielbiam jeść w łóżku, spać do południa, a noce spędzać na czytaniu, chicha mi nie służy, ale whisky – owszem. Sprawiałam sobie czerwoną pomadkę, o której marzyłam od dzieciństwa. Kiedyś szalenie modna, świadczyła obecnie o złym guście i podejrzanym reputacji. Żadna dobrze prowadząca się kobieta nie ośmieliłaby się wyjść pomalowana nią na ulicę. Używałam jej zatem z lubością wyłącznie w czterech ścianach mojego mieszkania. Poznawałam swoje ciało z ciekawością podlotka. Moje oczy nabrały blasku, źrenice stały się większe. Wciąż czekałam na mojego mężczyznę, ale bez cienia

desperacji, raczej z ciekawością, czy przyjmie mnie taką, jaką jestem naprawdę.

W kolejną niedzielę, podobnie jak w cztery poprzednie, nikt nie wołał mnie na odświętne śniadanie. Nikt nie ustalał godziny wyjścia do kościoła i nikogo nie obchodziło, co się w ogóle ze mną dzieje. Leżałam w pościeli bez poczucia czasu, nie dając się wyrwać z lenistwa przedpołudniowemu słońcu, przed którego wścibstwem chroniły mnie wciąż przymknięte okiennice. Dopiero pukanie do drzwi wygoniło mnie z łóżka. Dźwięk kościelnego dzwonu zapraszał na niedzielną sumę. Było już zatem wpół do jedenastej. Zarzuciłam na siebie szlafrok i ruszyłam w kierunku drzwi. Ścisnęło mnie w gardle. Byłam pewna, że to Federico. Zrobiłam krok do tyłu, gdy ujrzałam przez szparę pierwszego gościa, jaki w ogóle pojawił się u mnie. Nie miałam dokąd uciec. Laura Barroso próbowała uśmiercić mnie swoim spojrzeniem.

– No, pięknie się moja synowa urządziła. – Rozejrzała się po pokoju, wykrzywając usta, jakby przed chwilą napiła się soku z limonki.

– Kiedy skończysz to przedstawienie? – od razu przeszła do ataku.
– Wszyscy o tobie plotkują. Zachowujesz się jak ulicznica. Zapomniałaś najwyraźniej, że nosisz nazwisko Barroso. To do czegoś zobowiązuje! Niszczysz reputację naszej rodziny! Z twojego powodu człowiek się wstydzi wyjść na ulicę!

– Jeśli przyszłaś mnie nawracać, marnujesz swój cenny czas.

– Jak śmiesz tak się do mnie zwracać! Oczekuję należnego szacunku! – Laura zastukała w podłogę parasolką.

– Ja także. – Patrzyłam jej odważnie prosto w oczy, choć cała drżałam.

– Ty? Szacunku? A kim ty jesteś? – parsknęła ze wzgardą. – Nikim. Pomiotem zdrajcy i Indianki. Nie powinniśmy nigdy pozwolić na ten mezalians.

– Przyszedłaś mi ubliżyć?

– Przyszedłam ci przemówić do rozsądku! Wykańczasz Federico, bawisz się jego uczuciami. Masz natychmiast do niego wracać!

Żądanie Laury, wypowiedziane tuż po tym, jak obrzuciła mnie i moją rodzinę plugastwami, było tak absurdalne, że aż zabawne.

– Zdradź mi, czego ty w ogóle chcesz? – Laura nie zaprzestała

ataku. – Weszłaś do tak wspaniałej rodziny! Żyłaś u nas jak królewna. O nic nie musiałaś się martwić. Federico jest ci wierny. A ty nawet nie dałaś mu syna! Chodzi o pieniądze? Od kiedy przestał pracować jako adwokat, już cię nie interesuje!

– Nie pozwolę się dłużej obrażać. Wyjdź stąd. – Otworzyłam szeroko drzwi. Już nie było mi do śmiechu.

– Jeszcze z tobą nie skończyłam. – Laura przekornie usadowiła się przy stole.

– Ale ja skończyłam z tobą.

– Doprawdy? – Spoglądała na mnie z drwiącym uśmiechem.

– Wynoś się z mojego domu! Natychmiast!

Twarz Laury nabrała koloru purpury, zerwała się z krzesła z werwą młodej dziewczyny.

– Pożałujesz tego. Nie wiesz, nawet jak bardzo – wysyczała złowieszczo na odchodne.

– Przekaż Federico, że jego miejsce jest przy mnie! – moje słowa odbiły się echem w pustym korytarzu.

Gdy wyszła, czułam, jak tracę siły w nogach i rękach. Ledwo dowleklam się do łóżka. Starcie z Laurą wyczerpało mnie bardziej, niż cały dzień obkopywania warzyw w przydomowym ogrodzie.

Chociaż wpięrow ogarnęła mnie duma, że nie pozwoliłam się jej zdeptać, ta wizyta zepsuła mi resztę niedzieli. Laura po dawnemu wbiła mnie w poczucie winy. Ścisnęło mnie w żołądku na wspomnienie słów: „Zachowujesz się jak ulicznica”. Dotarło do mnie, że awantura ze mną wyszła poza mury rezydencji.

Znów poczułam niepokój o stan zdrowia Federico. Jeśli moja wyprowadzka wpędziła go z powrotem w chorobę, o której mówił doktor D’Annunzio i dlatego jeszcze dotąd nie przyszedł? Jeśli zaś nabrał przekonania, żeby się ze mną zobaczyć, po tym starciu z Laurą, znienawidzi mnie do reszty. Zastanawiałam się też, co już dotarło do Nandaimé. Nie chciałam, żeby wyprzedziła mnie plotka. Wizyta Laury zmobilizowała mnie do wyjazdu do domu. Musiałam się zmierzyć z opinią mojej rodziny.

–Co ty wygadujesz? – mój ojciec kręcił głową z niedowierzaniem,

gdy opowiedziałam o mojej wyprowadzce. – Z narażeniem życia ratowałeś Federico, po to, by go zostawić? Nie poznaję cię, Evo! Co w ciebie wstąpiło?

– On wybrał matkę – tłumaczyłam się.

– I z tego powodu odeszłaś? – ojciec nie miał dla nie litości. – Laura nie będzie żyć wiecznie.

– Mam czekać na jej śmierć, by odzyskać męża? – oburzyłam się.

– Taka jest kolej rzeczy. – Ojciec wzruszył ramionami. – Babka Gertruda też nie lubiła Eduardy, a ja nie musiałem nikogo wybierać.

– W takim razie, nie godzę się na taką kolej rzeczy – powiedziałam stanowczo.

Zauważyłam, że Matylda i matka wymieniły porozumiewawcze uśmiechy słysząc moje słowa.

– Pamiętaj, że nie żyjesz tylko dla siebie, a to, co robisz, wpływa na reputację całej rodziny. – Ojciec zmarszczył gniewnie czoło. – Twoje siostry są w wieku zamążpójścia. Możesz im zaszkodzić.

Mój własny ojciec, który nie ugiął się przed Fernando Barroso każe mi wrócić na kolanach do jego domu?

– Do niczego cię nie zmuszę, zaczynam jednak żałować, że odstąpiłem od pierwszych planów wobec ciebie. Małżeństwo w twoim przypadku przynosi same kłopoty – ojciec zakończył dobitnie.

Przed nim nie miałam wytłumaczenia dla tego, co zrobiłam. Matka, jak zawsze, nie wypowiedziała ani jednego słowa, tylko zajęła się przygotowywaniem kolacji. Nawet Matylda nie stanęła w mojej obronie, chociaż wiedziała, jak trudno mi było w domu Laury. Czyżbym zrobiła coś tak okropnego, że nikt nie mógł tego zrozumieć? Byłam rozczarowana. Dogłębnie rozczarowana. Jeśli moja rodzina tak mnie potraktowała, reakcja Laury nie wydawała się przesadzona. Chciałam jeszcze tego samego dnia wracać do Granady, do mojej – w gruncie rzeczy – ponurej kwatery. Tylko tam byłam sobą, tylko tam nikt mnie nie oceniał. Zrobiło się jednak zbyt późno na podróż, nie chciałam narażać Javiera na samotny powrót w środku nocy. Zdecydowałam, że wyjadę zaraz o świcie.

Matka naszykowała kolację, przez którą stracił życie młody kogutek. Miałam okazję, by wreszcie najeść się po samą szyję, ale każdy

kęś stawał mi w gardle. Matylda także nie miała apetytu, widocznie jej również nie podobała się moja swoboda obyczajów. Sprytnie wymówiła się od jedzenia postem przeprowadzanym w jakiejś intencji, a zamiast kawy popijała sok z mamoncillo.

Mogłam nocować w salonie, ale Matylda uparła się, że udzieli mi gościny w swoim pokoju. Mimo urazy zdołałam dostrzec, jak inne było łóżko w domu rodzinnym od tego, które stało w moim mieszkaniu. Biała, obszyta koronką pościel, którą matka układała w szafie wraz z suszonymi skórkami pomarańczy i cytryn zaszytymi w lnianych woreczkach, zapraszała do zanurzenia się w sny lekkie i niewinne. Na łóżku w Granadzie, służącym pewnie niejednej parze kochanków, trawiły mnie sny niespokojne i lepkie. Matylda nie mogła doczekać się aż zostaniemy same.

– Nareszcie! – Tuliła mnie na łóżku w objęciach. – Strasznie za tobą tęskniłam!

– Doprawdy?

– Nie gniewaj się, że nie stanęłam w twojej obronie. Maximilian to uparty osioł. I tak by nie zrozumiał. Wiesz, że całym sercem jestem z tobą. – Ciotka od razu wyczuła przyczynę mojego chłodu.

Kamień spadł mi z serca. Był ktoś, kto mnie nie potępił.

– Jesteś jakaś inna! Piękniejsza! Dojrzała! – Przyglądała mi się z błyskiem w oczach.

– Laura tak się nade mną nie rozplýwała. – Uśmiechnęłam się.

– Była u ciebie?

– Owszem. Przyszła, by przywołać mnie do porządku.

– Wyobrażam sobie, jak cię chciała zetrzeć na proch. A co z Federico?

– On się nie pojawił.

– Nie rozmawialiście od czasu, gdy się wyprowadziłaś?

– Ano nie. – Zgasiłam lampę naftową. Wolałam o tym rozmawiać w ciemności.

– Dla mężczyzny to potwarz. Może ci tego nie wybaczyć.

– Federico musi zrozumieć, że jego miejsce jest przy mnie. Nasze małżeństwo byłoby udane, gdybyśmy byli sami.

– Naprawdę w to wierzysz? – Pytanie ciotki kilka razy odbiło się

echem w moich uszach. Miarowe tykanie zegara odmierzało czas bez odpowiedzi. – Opowiedz mi o tym Gustavo – niezrażona moim milczeniem parła dalej w głąb mojej duszy.

– O Gustavo? A cóż on ma do tego?! – zdziwiłam się.

– Myślisz, że nie widziałam, jak spłonęłaś rumieńcem niczym zakochany podlotek, gdy Isabel wypaliła, że uwolnił Federico ze względu na ciebie.

– Nic nas nie łączy! Nie było żadnego romansu! – uniosłam się.

– Ależ ja cię nie potępiam, Evo – jej głos był zupełnie spokojny.

– Dobrze... – wzięłam głęboki oddech – zatem do niczego nie doszło... Mimo że miałam na to wściekłą ochotę! – po raz pierwszy wydobyłam z siebie pragnienie romansu z Gustavo.

– Może więc to Gustavo wyprowadził cię z domu Barroso? Na pewno kochasz jeszcze Federico? Na pewno chcesz, by do ciebie przyszedł? – pytania Matyldy wytrącały mnie z równowagi.

– Nie wiem... Ja już nic nie wiem. Nie dręcz mnie. Robiłam wszystko, by zapomnieć o Gustavo, ale... to trafiło mnie jak piorun.

– Nie zapominaj, że pioruny nie pojawiają się na pogodnym, jasnym niebie. Wcześniej zbierają się chmury, jest parno i ciężko się oddycha.

– Tak właśnie się czułam przy Federico, ale nadal nie znajduję dla siebie usprawiedliwienia.

– Na starość, ku swemu zdumieniu, robię się coraz bardziej tolerancyjna. Albo – dodała po chwili zastanowienia – coraz bardziej wyczulona na fałsz. Zanim o czymkolwiek zadecydujesz, spróbuj najpierw dotrzeć do prawdy.

Wierciłam się w ciemności, wspominając słowa ciotki, które, niczym pasożyty, wlażyły mi pod skórę i drażyły kanały, chcąc dotrzeć do samego serca. Dlaczego nie zadałam sobie wcześniej pytania, czy kocham Federico? Zrozumiałam, że tylko z poczucia obowiązku walczę o miłość, która dawno umarła. Odczułam ulgę, że dotąd nie pojawił się w moim mieszkaniu. Przecież tak naprawdę wcale tego nie chciałam.

Do Granady wracałam odmieniona. Spokojniejsza. Napięcie, które pętało moje ciało od dłuższego czasu, zostawiłam w pościeli Matyldy. Byłam lekka, znużona i miałam ochotę na sen. Wiele godzin snu. Walka

o absolutną miłość męża wyczerpała mnie, ale dopiero teraz odczułam prawdziwe zmęczenie. Z ulgą złożyłam broń.

Wieczorem w czterech ścianach postanowiłam uczcić butelką białego rumu zwrócenie sobie samej wolności. Zapaliłam podebrane z domu cygaro ojca i oddychałam głęboko, wypuszczając obłoczki aromatycznego dymu. Było mi dobrze samej ze sobą.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. W popłochu narzuciłam szlafrok na koronkową halkę. Otworzyłam z przekonaniem, że tym razem to mieszkająca od paru dni w szkole nowa nauczycielka. Ciągle o coś pytała, ciągle czegoś potrzebowała.

W drzwiach stał Federico. Nie czekał, aż zaproszę go do środka.
– Nie mogę bez ciebie żyć. – Wziął mnie w ramiona.

ROZDZIAŁ XVI



Rozpłakałam się. Łzy spływały mi ciurkiem po twarzy, niczym rwący potok. Wydawało się, że nigdy nie skończę. Federico najpierw patrzył na mnie mocno zdziwiony, potem pomyślawszy pewnie, że płaczę ze wzruszenia na jego widok, ruszył, by mnie całować i tulić.

– Już dobrze... – szeptał. – Już się nie rozłączymy. Nigdy!

Gdy to mówił, szlochałam jeszcze bardziej, gdyż tylko tak mogłam dać upust swojej bezsilności i wściekłości.

– Masz to, co chciałaś! – Rum krążący w mojej krwi znieczulił mnie na wszystko, co działo się potem. Federico przypieczętował nową erę naszego małżeństwa krótkim aktem miłosnym. Było mi zupełnie obojętne, co ze mną wyczynia. Poza tym, że po rumie żołądek podchodził mi do gardła. Pośród jęków i westchnień, docierały do mnie słowa, na których kiedyś uniosłabym się do nieba.

– Szaleję za tobą! – wzdychał. – Szaleję...

Padł wyczerpany i szczęśliwy. Z czołem zroszonym kropelkami potu, smugami czerwonej pomady na ustach. Ciężki oddech zamienił się w lekkie pochrapywanie. Zasnął.

Uroda poranka drażniła mnie jak nigdy. Federico nawet nie drgnął, kiedy wstałam ze skrzypiącego łóżka. Podeszłam do lustra. Tak mogły wyglądać kurtyzany po nocy spędzonej na ciężkiej pracy. Zmyłam twarz, uczesałam zwichrzone włosy i ubrałam się w sukienkę zapiętą po samą szyję. Byle tylko nie prowokować świeżo nawróconego męża. Wyszłam cichutko do szkoły, nie chcąc go obudzić. Łudziłam się, że może nie zastanę go po powrocie, że przyszedł tu tylko mocno spragniony miłości, a dostawszy swoje, wróci do swojej rezydencji. Jednak gdy weszłam do mieszkania po lekcjach, Federico doskoczył do mnie z nową falą namiętności:

– Zamówiłem u stolarza duże łóżko! – zadomowił się na dobre.

Zrozumiałam, że żarty się skończyły. Mam męża tylko dla siebie. Zajęłam się przygotowaniem obiadu. Byle tylko nie rozmawiać. Na usta cisnęły mi się słowa, że to za późno, że nic z tego nie będzie, że już go nie kocham. Tyle że wypowiedzieć tego nie potrafiłam. Bałam się poczucia winy, że to ja zniszczyłam nasze małżeństwo. O ile wygodniej byłoby oskarżać Federico i teściów. Federico nie mógł znieść mojego zachowania. Pewnie spodziewał się nagrody, że przyszedł do mnie. Tymczasem po ulotnieniu się alkoholu, wiało ode mnie arktycznym chłodem.

– Nie cieszysz się, że tu jestem? – Wyjął mi z ręki nóż, którym kroiliśmy cebulę.

– Cieszę... – starałam się zabrzmieć najbardziej przekonująco.

– To czemu jesteś taka smutna? Gniewasz się dalej?

– Nie, nie gniewam. – Unikałam jego wzroku.

– To o co chodzi? Nie dalej jak tydzień temu powiedziałaś, że moje miejsce jest przy tobie. Coś się w tym czasie wydarzyło?

– Nic – mówiłam, nie podnosząc wzroku znad stołu.

– Spójrz na mnie. Jest ktoś inny?

– Przyzwyczyłam się już do bycia samej. Nie wierzyłam, że do mnie przyjdiesz. Musimy teraz wszystko ułożyć na nowo – próbowałam go uspokoić.

– Nie wiem, co chcesz układać. Bo ja nic nie muszę. Jestem twoim mężem, a ty moją żoną. Chciałaś, byśmy byli tylko razem. Jesteśmy. Spodziewałem się większej radości z twojej strony.

Pod wieczór udałam się do kościoła. Chciałam być sama. Dzięki Bogu, Federico nie nalegał, by mi towarzyszyć. Usiadłam w najciemniejszym zakątku bożego domu, gdzie prawie nie docierał blask bijący od złotych świeczników. Dzięki czarnej mantilli wtopiłam się w tłum pobożnych niewiast. Mężczyźni stworzeni są do wielkich czynów, a kobiety do posługi i modlitwy – kładziono mi do głowy w przyklasztornej szkole. Powinny odmawiać koronki, różańce, litanie za wiernych i niewiernych mężów, mniej lub bardziej udane dzieci, pokój, deszcz, urodzaj. Ja modliłam się za siebie. Prosiłam o to, bym zdołała na nowo pokochać mojego męża lub by on stracił miłość do mnie. Byle tylko Bóg zesłał jakieś rozwiązanie dobre dla nas obojga.

W kościele poczułam się bezpiecznie. Wiedziałam, że ktoś mnie słucha. Twarze świętych spoglądających na mnie ze sklepienia sufitu wydawały się być przyjazne i współczujące. Nie bałam się Boga i jego całej świty. Bałam się ludzkich ust i oczu. Nie przeszkadzał mi nawet mdławy zapach kadzidła, który pozostał po adoracji. Od dziecka wywoływał u mnie nudności, tak, że matka musiała wyprowadzać mnie na powietrze.

„Czy to nie ironia losu? Przed dziesięcioma laty w kościele zakochałam się w Federico, a teraz w kościele szukam schronienia przed jego miłością” – rozmyślałam. Gdybym mogła, zostałabym tam przez całą noc, ale czarna jak wrona zakonnica dogaszała ostatnie ze świec, dając znak, że czas wracać do domu.

Federico, nieprzyzwyczajony do samotności, źle znosił moją nieobecność. Kiedy już wracałam, chciał mnie na wyłączność. Złościł się, gdy przygotowywałam lekcje na kolejny dzień. Nie rozumiał, że tak jak on fascynował się pracą w kancelarii, ja mogę kochać nauczanie. Nie mógł pojąć, jak można chcieć się poświęcać dla małych, ciemnoskórych, zwykle bosonogich istot, dla których bardziej zwyczajne było towarzystwo kóz i kur, niż ludzi. Moi uczniowie zespoleni z naturą znali tajemną mowę roślin i zwierząt, ale trzeba było się trochę pogłowić, by ich zainteresować hiszpańskim i rachunkami.

Role się odwróciły. To on czekał na mnie godzinami. Staralam się go zrozumieć, lecz z dnia na dzień coraz bardziej drażnił mnie bezczynny mężczyzna, którego rolę opiekuna i żywiciela zmuszona byłam przejąć. Jego bezradność i niedojrzałość rosła wraz z moją siłą i samodzielnością. Obydwoje oczekiwaliśmy od siebie czegoś zgoła odmiennego, obydwójce byliśmy sobą coraz bardziej rozczarowani. Prawie ze sobą nie sypialiśmy. Prawie, bo od czasu do czasu pozwalałam się użyć w imię małżeńskiego obowiązku. Ale z czasem sam Federico stracił ochotę na pozbawione namiętności ciało. Był rozdrażniony, szukał zaczepki do wylania pretensji. Po tylu miesiącach milczenia zaczął mnie znów wypytywać o Gustavo. Po raz kolejny musiałam opowiadać mu, jak trafiłam do domu pułkownika. Rozdrapywać już dawno zagojone rany.

– Nie wierzę, że cię nie tknął – powiedział pewnego razu, gdy wychylił za dużo alkoholu.

– O co chodzi z tym Gustavo? – byłam zdziwiona. – Dlaczego nie jesteś po prostu wdzięczny komuś, kto cię uratował? Mówiłeś, że go nie znasz, ale mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz.

– Nie miał powodów, by mnie ratować. – Woda ogniasta rozplątała język Federico. Zastygłam w oczekiwaniu na dalsze wyznania.

– Od zawsze był zagorzałym liberałem. Bezcześnie krytykował rząd. Podburzał innych studentów. Organizował wiece. Był jak gnida, którą trzeba zawczasu usunąć, żeby nie rozpleniły się wszy. Nie mogłam do tego dopuścić – mówił, unikając mojego wzroku.

– Jaką cenę za to zapłacił? – Zaczynałam wszystko rozumieć.

– Usunęli go z uczelni. Odbył karną służbę w armii. – Odwrócił się w stronę okna. – Może jednak powinien mi dziękować? Gdyby nie ja, nie byłby dzisiaj tym, kim jest – roześmiał się nagle szyderczo.

Popatrzyłam smutno na Federico. Wolałabym tego nie usłyszeć.

ROZDZIAŁ XVII



Nie lubię lipca. Co prawda w lipcu właśnie przyszedłam na świat, ale odkąd pamiętam, w tym miesiącu zawsze działo się coś przykrego, traciłam kogoś lub coś bliskiego. Kiedy już zaczynał się sierpień, oddychałam z ulgą, że mam spokój przez najbliższe jedenaście miesięcy.

W lipcu pożegnałam ukochaną Lunę, owczarka niemieckiego, którą ktoś nie wiadomo czemu zastrzelił. Jak tylko ojciec sprowadził ją do domu, nie odstępowała mnie na krok.

Luna biegała wolno po ranczo, a codziennie wieczorem, kiedy myto mnie przed snem, wybierała się na dłuższy spacer. Gdzie wtedy podążała, nikt nie wie. Ojciec mówił, że może zagryzała komuś kury i w zamian spotkał ją tak okrutny los. Uwielbiałam się tulić do jej puszystego, ciemnokasztanowego jak moje włosy futra, co doprowadzało do szału babkę Gertrudę. Przeganiała Lunę z salonu, ale sprytna suka siadała dokładnie z tyłu fotela, tak, aby znaleźć się poza zasięgiem wzroku babki. Gertruda marszczyła nos, sama upodabniając się do wężącego zwierzęcia i mruzczała z właściwym sobie akcentem:

– Śmierdzi tu psem.

Przypuszczałam, że to ona zleciła zabójstwo Luny, ale nie ośmieliłam się nikomu zdradzić moich podejrzeń. Zresztą, zabrakło czasu, by przeprowadzić śledztwo. Miesiąc później sama Gertruda znalazła się na boskim sądzie.

Po około piętnastu latach, także w lipcu, odeszła Mia. Jej twarz zaciera mi się już we wspomnieniach, ale za to dobrze pamiętam jej ciemne, drobne rączki, którymi wczepiała się w moją spódnicę.

Zatem, kiedy w przededniu moich urodzin Javier przyjechał do szkoły z wiadomością, że ciotka Matylda bardzo źle się czuje i dobrze by było, żebym pojechała z nim do Nandaime, poczułam lęk. Nie wahałam się ani chwili, zostawiłam tylko list dla Federico, bo akurat nie było go

w domu. Spodziewałam się najgorszego. Matylda nie pieściła się ze sobą i jeśli zdradziła przed resztą rodziny, że coś jej dolega, to z pewnością sprawa musiała być poważna. Znajome ściskanie w piersiach towarzyszyło mi przez całą drogę do Nandaime. Javier poganiał konie, z trudem balansując powozem po wyboistym trakcie.

– Jak znam Matyldę, to pewnie ciężko teraz przeżywa, że sama nie może dopilnować zbiorów. – Gałęzie kawowców, które rosły po obu stronach drogi, ugiwały się pod ciężarem krwistych wisienek.

Javier pokiwał tylko głową. Było mu trudno mówić.

W domu ruszyłam prosto do sypialni ciotki. Matylda leżała w łóżku, przy którym siedziała Isabel z książką w ręku. Twarz ciotki dziwnie pożółkła, nawet oczy nabrały barwy dojrzałej cytryny. Bardzo zmizerniała, bo już od dłuższego czasu jadła niczym ptaszek. Na mój widok jej ściągnięte w bólu usta wykrzywiły się w niezdarnym uśmiechu:

– Eva... – Wyciągnęła rękę w moim kierunku.

– Matyldo! – Pocałowałam ją w czoło. – Co się dzieje? Był u ciebie doktor?

– Ojciec wezwał doktora D'Annunzio – odezwała się Isabel.

– I? – byłam zniecierpliwiona.

– To coś związanego z wątrobą. Ciocię już długo bolało, ale nic nie mówiła.

– Matyldo... – jęknęłam. – Czemu?

– Myślałam, że samo przejdzie...

Cała ciotka! Chciałam jak najprędzej porozmawiać z ojcem, ale on miał wrócić dopiero wieczorem, kiedy wszyscy zakończą pracę.

Zwolniłam już lekko znudzoną Isabel od opieki nad ciotką i towarzyszyłam chorej, póki nie zasnęła. Opowiadałam Matyldzie o szkole, o moich podopiecznych, o tym, co słyhać w mieście, starając się unikać dwóch tematów – jej choroby i mojego małżeństwa. Ciotka słuchała ze spokojem, ale w pewnym momencie przerwała mi w pół słowa.

– Co z Federico?

– Zamieszkał ze mną.

– I dobrze ci z nim?

– Nie.

– Czy Federico wie, że już go nie kochasz? – Matyllda drążyła dalej.

– Nie mam odwagi, ale przecież nie jest ślepy i głuchy. Sądzę, że się domyśla.

– Nie zasługujecie na życie w takiej obłudzie. Ani ty, ani on. – Jej głos był coraz słabszy. – Wybacz wścibskiej ciotce, ale wiesz... Jestem jedną nogą po tamtej stronie tęczy. Z tej pozycji wszystko staje się bardziej klarowne.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości. Masz wyzdrowieć i już. Jesteś mi potrzebna. – Z trudem powstrzymałam łzy, które chciały wybić się na powierzchnię. – Co powiedział doktor D'Annunzio?

– Muszę trochę odpocząć. – Matyllda zignorowała moje pytanie. – Idź już... Dokończymy rozmowę jutro. – Jej głowa opadła na poduszkę. Zamknęła oczy. Ruchem ręki pokazała mi, że mam odejść.

Wyszłam przed dom i mimo ciemności podążyłam przed siebie. Ostre gałęzie otaczających aleję drzew smagały mi twarz, ale potrzebowałam tej chłosty, żeby dojść do siebie. Matyllda odchodziła, ale dawała mi wskazówki, jak dalej żyć. Byłam poruszona jej słowami o mnie i Federico, nigdy nie myślałam o naszym małżeństwie w ten sposób. Sądziłam, że bardziej szlachetnie jest wejść w rolę męczennicy i nurzać się w goryczy nieudanego związku, niż przyznać uczciwie, że uczucie wygasło. Matyllda po raz kolejny otworzyła mi oczy. Z rozmyślań wyrwał mnie głos ojca, który właśnie wracał konno do domu.

– Eva? Co ty tu robisz? Czemu nie jesteś w domu?

Ojciec i ja udaliśmy się do salonu, a matka z siostrami zajęły się przygotowaniem posiłku w kuchni. Jak przypuszczałam, Carlo D'Annunzio nie dawał nadziei na wyzdrowienie Matylldy. Mówił, że w okolicy wątroby wy badał duży guz. Można było spróbować leczenia chirurgicznego, ale zdaniem doktora operacja nie dawała pewności wyleczenia, a mogła nawet skrócić ciotce życie. Choroba była bardzo zaawansowana, brzuch powiększał się z dnia na dzień. Poza tym, nie miał dobrego zdania o szpitalu i doradził troskliwą opiekę w domu i leczenie przeciwbólowe.

Nie mogłam teraz zostawić Matyldy i tak po prostu zająć się swoim życiem. Wróciłam do Granady, tylko po to, by zorganizować pracę w szkole podczas mojej nieobecności. Nie pytałam o zdanie Federico. Nie troszczyłam się o to, co ze sobą zrobi. Wiedziałam, że nie pojedzie do Nandaime, bo jest tam równie mile widziany, jak ja w domu jego matki.

Zamieszkałam w pokoju z ciotką, chciałam być przy niej w dzień i w nocy. Kiedy tylko miała siłę, rozmawiałyśmy, ale unikałam przykrych tematów. Gdy nie mogła wydobyć głosu, mówiłam tylko ja. Lubiła dopytywać o zbiory w San Marco. Czytałam na głos romanse. Kiedy ból wykręcał jej ciało, po prostu trzymałam ją za rękę, podawałam przepisane przez doktora krople. Robiłam jej ciepłe okłady na brzuch i delikatnie masowałam wydęte trzewia, co ułatwiało jej wypróżnienie.

Pod koniec trzeciego tygodnia Matylda czuła się znacznie lepiej, niż gdy widziałam ją pierwszy raz w chorobie. Jej wola życia, która zdawała się wygasnąć, zaiskrzyła na nowo.

– Jedź do Granady! – ciotka wydała mi stanowcze polecenie, gdy chciałam znów przedłużyć swój pobyt w Nandaime. – Czuję się o niebo lepiej. Jestem pewna, że jeszcze pożyję.

Feralny lipiec dobiegał właśnie końca. Miałam nadzieję, że Bóg rzeczywiście jeszcze nie policzył jej dni. Zgodziłam się, że wrócę na jakiś czas do Granady.

Javier cierpliwie czekał w powozie przed domem, kiedy żegnałam się z Matyldą. Siedziała w fotelu po porannej toalecie, spryskana różanymi perfumami, ubrana w swój ulubiony jedwabny szlafrok w kolorze szafirowym. Jej skóra wydawała się świeższa, jaśniejsza. Byłam nadzwyczaj spokojna, uwierzyłam w jej zapewnienie, że niebawem się spotkamy. Nagle Matylda wyciągnęła z kieszeni szlafroka białą kopertę. Poczułam, jak dziwny chłód wędruje mi po plecach.

– Obiecuj, że otworzysz to, jak już mnie nie będzie – jej słowa wybrzmiały przerażająco poważnie.

– Nie chcę tego teraz zabierać. – Odsunęłam jej rękę. – Przecież się zobaczymy? Prawda? – Nagle opuściła mnie cała pewność.

– Oczywiście. – Ciotka uśmiechnęła się łagodnie. – Tylko nie chcę,

by to wpadło w niepowołane ręce. Jestem teraz taka bezradna. Ciągle ktoś się przy mnie kręci. Będę spokojna, wiedząc, że ty już to masz.

ROZDZIAŁ XVIII



Przez całą drogę do Granady rozmyślałam o tajemniczej kopercie od Matyldy. Mogłam się spodziewać, że jej zawartość to ostatnia wola ciotki. Czułam, że ma do mnie słabość, dziwiło mnie jednak, że swego testamentu nie przekazała jednemu bratu, którego tak skutecznie zaraziła miłością do ciemnozielonych krzewów arabiki. Dlaczego obawiała się, że ktoś z domowników może znaleźć tę kopertę, zanim trafi do mnie? Postanowiłam jednak uszanować jej wolę i nie otwierać przedwcześnie tajemniczego listu.

Gdy zajechałam pod szkołę, zobaczyłam jaśniejące okno na piętrze. Federico musiał być w domu. Ucieszyłam się, nie chciałam być tego wieczoru sama. Już na schodach słyszałam dziwne odgłosy dochodzące z naszego mieszkania. Przystanęłam przed drzwiami i chwilę nasłuchiwałam. Piski, łomot i sapanie. Popchnęłam drzwi, które okazały się ledwo domknięte. Na widok, który ujrzałam po ich otwarciu, z hukiem upuściłam podróżną torbę. Mój mąż ujeżdżał córkę szkolnej sprzątaczkę z taką pasją i zawziętością, z jaką Javier ujarzmił rwące klacze w ojcowskim ranczo. Nasze małżeńskie łóżko przeraźliwie skrzypiało pod ich ciężarem, Federico ciężko dyszał, a Pilar nieskrępowanie jęczała. Ta miłosna symfonia zagłuszyła cały hałas spowodowany moim wtargnięciem, tak że bez przeszkody mogłam się przyglądać ich spazmatycznie wijącym się ciałom. Choć wydawało mi się, że moje uczucie do Federico wygasło, poczułam zazdrość, że to nie ja leżę teraz pod nim. Nigdy przez całe nasze małżeństwo, nie kochaliśmy się z taką zwierzęcością.

– Federico! – mój krzyk oderwał ich od siebie.

– Eva? – Federico wydawał się być co najwyżej zaskoczony moją obecnością. Za to w czarnych oczach Pilar malowało się prawdziwe przerażenie. Pośpiesznie wyciągała zwinięte po nimi prześcieradło, by

okryć czekoladowe, jędrne ciało szesnastolatki.

– Wynoście się z mojego mieszkania! – Byłam zdruzgotana nie tyle zdradą męża, co jego bezczelnym spojrzeniem, które mówiło „chciałaś, to masz!”.

Odwróciłam się do okna, bo nie mogłam znieść ich nagości. Nie miałam dokąd pójść, więc chciałam, by to oni jak najprędzej się stąd zabrali. Pilar wybiegła z pokoju na wpół goła, za to Federico wciągnął spodnie i niedbale rozłożył się na stłamszonym łóżku.

– Jesteś zazdrosna? – spytał, zakładając ręce za głowę.

Nie poznawałam go. To był zupełnie obcy mężczyzna. Dumny i zadziorny. Pękł kryształ, ukazując gorące wnętrze.

– Wyjdź.

– Przecież tu mieszkam – prychnął i sięgnął po butelkę whisky, leżącą pod łóżkiem. Nie byłam przygotowana na zmagania z nowym Federico.

– Przez godzinę ta dziewczyna dała mi więcej czułości, niż ty przez dziesięć lat.

– Wyjdź.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Nie uderzysz mnie? Nie zbluzgasz? Jesteś zimną suką, Evo.

– Zostaw mnie teraz samą. – Łzy napłynęły mi do oczu.

– Proszę...

Twarz Federico spoważniała. Ironiczny uśmiech zniknął. Nadal był wrażliwy na mój płacz. Podniósł z ziemi koszulę i wszedł w ciemność tej ostatniej lipcowej nocy.

Nie wiem, jak długo przesiedziałam przy stole, opierając dłońmi całkiem zdruzgotaną głowę. Nie miałam siły, by posprzątać zrujnowaną przez namiętych kochanków sypialnię. Dobrze, że wciąż stała żelazna prycza po poprzedniej lokatorce, bo nie pokonałabym wstrętu, by wejść do skalanego zdradą małżeńskiego łóżka. O białej kopercie od ciotki zupełnie zapomniałam. Pozostała pomiędzy kartami powieści, pożyczonej od dyrektora.

Następnego dnia najchętniej wymówiłabym się od pracy. Wiedziałam jednak, że jestem potrzebna w szkole. Nie mogłam dłużej obarczać młodziutkiej Estelli, która przez kilka tygodni pracowała za nas

obie. Miałam tak podpuchnięte oczy i zmęczoną cerę, że nie chciałam nikogo napotkać, a zwłaszcza matki Pilar. Jej młodociana córka sponiewierała moją godność, uwodząc Federico. Prześladowała mnie myśl, że wszyscy już o tym wiedzą, wszak nietrudno było podsłuchać, jak burzliwie Federico zabawiał się z Pilar.

Po ostatniej lekcji chciałam jak najszybciej zaszyć się w swojej norze i odespać przepłakaną noc. Już wychodziłam z sali lekcyjnej, gdy drogę zastąpiła mi matka Pilar. Przygarbiona, siwa kobieta padła przede mną na kolana.

– Pani wybaczy... Pani wybaczy mojej głupiej córce!

Podniosłam ją z podłogi. Było mi jej żal, w końcu to nie jej wina, że córka stała się gwoździem do trumny mojego małżeństwa.

– Nic nie powiem dyrektorowi, jeśli o to chodzi – zostawiłam oniemiałą kobietę.

Nie mogłam zasnąć, ani pracować. Wciąż przed oczami miałam wijące się ekstatycznie ciała Pilar i Federico. Jej jędrność, świeżość, jego dzikość, namiętność. Zastanawiałam się, czemu nasza miłość, w porównaniu z tym, od początku była tylko letnia. Czy to moja wina? Czy nie jestem wystarczająco zmysłowa? On nigdy tak nie oszalał dla mnie, zawsze byłam na dalszym miejscu, tuż po rodzicach, pracy, polityce. Między nami wszystko było poukładane, odmierzone, w sam raz. Myślałam, że taki właśnie jest Federico. I że z nim nie można inaczej. Tymczasem... Nie mogłam być nawet na niego wściekła, w końcu sama pragnęłam go zdradzić, zabrakło mi tylko odwagi. Potem znów nie miałam odwagi, by odejść. Robiłam wszystko, by i jemu obrzydło to małżeństwo. Nie dbałam o naszą fizyczność. Chciałam go wykastrować swoją oziębłością. Czy mogłam mieć zatem żal, że znalazł sposób na zachowanie męskości?

Ale nie zdradził tylko mnie. Zdradził także Laurę. Właściwie, przede wszystkim Laurę. Po raz pierwszy zrobił coś zakazanego, coś, co by nią wstrząsnęło, coś, co nie pasowało do obrazu idealnego, nieskalanego syna. Ja nie zdołałam go wyrwać z jej pazurów, udało się to dopiero młodej Indiance. Widać nie wyssał z mlekiem Laury obrzydzenia do ciemnej skóry.

Pomimo świadomości, że nie jestem w tym wszystkim bez winy,

nie chciałam go więcej widzieć. Zdrada bolała mocniej, niż mogłam przypuszczać. Nie wyobrażałam sobie ani życia razem, ani przypadkowych spotkań na ulicach Granady. Zwłaszcza, gdyby zaczął prowadzić się z Pilar czy jakąś inną kobietą. Nie chciałam odczuwać piętna rozwódki w rodzimej okolicy. Tylko choroba Matyldy powstrzymywała mnie przed ucieczką. Dokąd? Jeszcze wtedy nie wiedziałam, byle dalej od Granady.

ROZDZIAŁ XIX



Matylda nie chciała być przeszkodą dla mojego pędzącego na oślep życia. Umarła 16 sierpnia 1903 roku. Zgasła w nocy, sama, w swojej sypialni. Dopiero rano Isabel znalazła ją już nieżywą.

Wiadomość przywiózł Javier. Gdy stanął w drzwiach, od razu domyśliłam się, co zaszło. Płakaliśmy oboje, tuląc się do siebie po przyjacielsku. On też uwielbiał Matyldę za jej indiańską duszę, która zabłąkała się do niemieckiego ciała. Kochała tę ziemię tak, jakby z niej wyrosła, a rdzennych mieszkańców traktowała z szacunkiem niezwykłym dla białego osadnika. Od śmierci Flory prawie się nie rozstawali. Był jej prawą ręką na plantacji kawy i całe dni spędzali na doglądaniu upraw. Kiedy Matylda była już zbyt słaba, by opuszczać łóżko, przychodził do niej w odwiedziny, co wcale jej nie krępowało, choć nie przywykła do obecności mężczyzny w sypialni.

Chyba nie można być przygotowanym na niczyją śmierć, bo mimo diagnozy doktora D'Annunzio, wciąż tliła się we mnie nadzieja, że ciotka jeszcze mnie nie opuści. Dopiero teraz poczułam, że zostałam naprawdę sama. Nie dość, że bez męża, to jeszcze bez Matyldy, jedynej osoby w rodzinie, która zdawała się mnie rozumieć i okazywała mi miłość. Jej odejście uświadomiło mi, jak niewiele mnie łączy z resztą rodziny.

Zajechaliśmy do Nandaime późną nocą, a mimo to drzwi domu były szeroko otwarte. W przesłoniętych czarnym tiulem oknach odbijał się blask licznych świec otaczających białą trumnę, stojącą w salonie, na miejscu stołu. Czemu białą, nie wiem. Może dlatego, że w białych chowano dzieci i... dziewice. Wróciły wyparte z pamięci wspomnienia związane ze śmiercią babki Gertrudy. Zapach palonych świec, przemieszany z wonią kadzidła, kwiatów i rozkładającego się ciała był taki sam, jak wtedy.

Wokół Matyldy siedziały ubrane na czarno kobiety, których twarze nie mogłam rozpoznać, bo padał na nie cień koronkowych szali na głowie. Nad trumną pochylała się matka. W palcach przesuwiała szklane paciorki różańca. Przypomniałam sobie o różańcu, który podarowała mi Matylda przed wyjazdem do Managui. Zaczęłam nerwowo szukać go w torebce, chcąc się upewnić, że go nie zgubiłam. Był. Odetchnęłam z ulgą...

Matylda wyglądała, jakby tylko zasnęła. Z wychudzoną twarzą zdążyłam się oswoić jeszcze za życia, a czarną, koronkową sukienkę zakładała z okazji innych pogrzebów. Wyglądała nawet spokojniej niż w ciągu ostatnich dni, bo zniknął z jej ust grymas bólu. Gruba warstwa pudru zamaskowała żółty odcień skóry. Patrzyłam na nią, nie mogąc uwierzyć, że to tylko zwłoki, że jej już tam nie ma. Pomyślałam, że prawdziwa Matylda porzuciła to ciało dla nowego życia, tak jak motyl opuszcza swój kokon.

Matka wyznaczyła mi godziny czuwania przy trumnie. Wierzyła, że nie można zostawić zmarłej samej, dopóki nie spocznie w grobie, bo inaczej dusza może szukać towarzystwa i gdzieś się zawieruszyć. A błakające się dusze to prawdziwe utrapienie dla żywych. Podczas gdy przez całą noc pilnowaliśmy duszy Matyldy w domu, Indianie pracujący na naszej ziemi zegnali się z nią na ranczo. Z oddali widać było łunę bijącą od wielkiego ogniska, które rozpałił Javier wraz z innymi pracownikami plantacji.

W przerwach między kolejnymi dziesiątkami różańca, kiedy na chwilę ustawał pomruk mocno już zachrypniętych głosów, słuchać było indiańskie modlitwy rozrywające ciszę w środku nocy.

Pogrzeb odbył się w Nandaime, w kościele Santa Ana. Gdy szykowaliśmy się do wyjścia z kościoła, zaczął padać ulewny deszcz. Patrzyliśmy bezradnie na siebie nawzajem, bo kondukt żałobny przy takiej aurze wydawał się niemożliwy. Trudno było się doszukiwać w tym znaków szczególnych, o tej porze krótkie, obfite opady nie są niczym nadzwyczajnym, ale ja czułam, że czemuś ma to wszystko służyć. Przemoknięci do suchej nitki, złorzeczący pod nosem żałobnicy brnęli w grząskim trakcie prowadzącym do alejki, przy której wzniesiono grób dla członków rodziny von Badenbrock. Gdy tylko

złożono w nim trumnę z ciałem ciotki, deszcz ustał, wyrzało słońce i ku zdumieniu uczestników ceremonii nad cmentarzem pojawił się wielobarwny łuk światła, niczym most służący duszy Matyldy przejściu do innego świata. Podziękowałam jej w duchu za to pożegnanie. Była już po tamtej stronie tęczy.

Większość żałobników pospiesznie rozeszła się do domów. Tylko ja z rodzicami i siostrami wciąż stałyśmy przy grobie, w którym teraz spoczywały matka i córka – Gertruda i Matylda. Na płycie nagrobnej zaznaczono obecność jeszcze jednego nieboszczyka – Helmuta von Badenbrocka, ale mój dziadek tak naprawdę nie spoczywał obok żony. Nie zdołałam go poznać, gdyż w piątym roku po osiedleniu się w Nikaragui wyjechał w interesach do Kostaryki i słuch po nim zaginął. Wcześniej jednak zdążył zakupić ziemię pod plantację kawy i rozpocząć budowę domu, w którym zamieszkała jego żona z dwójką dorastających dzieci. Być może stracił życie, bo czasy były niespokojne, ale istniały też przesłanki, że porzucił trudną w pożyciu Gertrudę i rozpoczął nowe życie w Kostaryce. Babka po raz kolejny pokazała niemiecką niezłomność i nie okazując cienia rozpacz, wzięła się do pracy. Zrobiła to po raz kolejny, bo wcześniej lekkoduszność dziadka zmusiła całą rodzinę do poszukiwania szczęścia za oceanem. Helmut von Badenbrock miał ogromną słabość do kasyna w Baden-Baden, gdzie zamienił rodzinny majątek na żetony.

Ojciec i matka wciąż przyjmowali kondolencje, a ja układałam kwiaty, którymi obłożono potężny grobowiec. Nagle poczułam czyjś dotyk na moim ramieniu.

– Evo. – Federico wyrósł przede mną zniecka. – Chciałem tylko powiedzieć, że... wiem, jak kochałaś Matyldę i przykro mi, że umarła... – powiedział ze swoją dawną łagodnością.

– Dziękuję, że przyszedłeś. – Serce zabiło mi mocniej na jego widok, lecz nie byłam jeszcze gotowa do dłuższej rozmowy. Federico najwyraźniej to rozumiał, bo skinął tylko głową i odszedł. Mój ojciec posłał mu lodowate spojrzenie. Nikt nie próbował go zatrzymać.

Po powrocie do domu ojciec odczytał testament Matyldy. Czym miała się dzielić kobieta, której matka przekazała cały majątek ukochanemu synowi? Gertruda zobowiązała wprawdzie mojego ojca do

zapewnienia opieki starszej siostrze, ale to jego uczyniła jedynym dziedzicem. Matylda rozpisala swoje rzeczy osobiste – biżuterię i książki. Mnie podarowała swój ulubiony pierścionek z trzema ciemnozielonymi szmaragdami, który dostała od dziadka Helmuta z okazji piętnastych urodzin. Kiedy okazało się, że swoją ostatnią wolę przekazała jednak mojemu ojcu, zaczęłam się zastanawiać, co w takim razie zawiera biała koperta, którą wręczyła mi na tydzień przed śmiercią. Chciałam jak najszybciej wracać do Granady, by móc zaspokoić swoją ciekawość.

Przed wyjazdem poszłam na cmentarz, gdzie jeszcze przez siedem kolejnych dni po pogrzebie palono świece, gdyż zgodnie z wierzeniami Indian ogień ułatwiał duszy dostanie się do nieba. Indianie także pilnowali swojego pogrzebowego stosu, a wieczorem rozbrzmiewały rytualne pieśni i odgłos bębnów. Na grobie, oprócz kwiatów złożonych przez uczestników pogrzebu, zastałam naręcza sacuanjachy, drewniane miseczki z ryżem i fasolą. To znak, że czuwali i nad tym, by ich ukochanej dońce Matyldzie niczego nie zabrakło w wędrówce w zaświaty. Ten widok pocieszył mnie i uspokoił, w głębi duszy wierzyłam w siłę indiańskiej modlitwy, płynącej z wnętrzości, prostej i czystej.

Gdy dotarłam do Granady, od razu zaczęłam szukać książki, pomiędzy której karty włożyłam kopertę od ciotki. Serce waliło mi jak młot, drżącymi rękoma rozdzierałam papier. W środku był list napisany przez Matyldę najprawdopodobniej już w trakcie choroby, bo jej pismo nie było tak harmonijne i równe, jak wcześniej.

Droga Evo! Właśnie wyszedł doktor D'Annunzio. Badał mnie i potem długo rozmawialiśmy. Znam go od lat i wiem, że rzadko się myli. Nie chciałam usłyszeć kłamstw, jakimi karmi się ciężko chorych, że wkrótce wszystko będzie dobrze i jeszcze zatańczę na niejednym weselu. Z wiekiem nauczyłam się cenić prawdę, choćby najtrudniejszą. Już wiem, że jakaś część mnie sprzeniewierzyła się przeciwko reszcie i zaczęła ją niszczyć, zapominając w swym szaleństwie, że razem umrzemy. Nie chcę operować guza, który zapewne i tak odrośnie ze zdwojoną siłą. Nie chcę umierać w szpitalu w Managui, tylko tu – w swoim łóżku, wśród

zielonych wzgórz kawowców, na ziemi, którą pokochałam całym sercem, i której oddałam całe serce.

Evo, Ciebie także darzę szczególnym uczuciem, mam nadzieję, że to czujesz. Jesteś dla mnie jak córka i najlepsza przyjaciółka. Z nikim dotąd nie rozmawiałam tak szczerze, nikt też nie otworzył się przede mną z taką bezbronnością, jak Ty. Dlatego mocno przeżywam fakt, że nie jestem wobec Ciebie uczciwa i głosząc pochwałę prawdy, duszę w sobie rodzinną tajemnicę dotyczącą Twojej osoby.

Przed wieloma laty przysięgam Twojemu ojcu, że zabiorę ją do grobu, ale teraz, gdy wiem, że już nad nim stoję, czuję, że nie mogę tej obietnicy dotrzymać. Właśnie dlatego, że jesteś mi najbliższym człowiekiem na całym świecie, że widziałam, ile krzywdy wyrządziło Ci to mające Cię chronić kłamstwo. Czulaś się niekochana przez matkę, babkę, ja też na początku, gdy szukałam Boga wyłącznie w kościele, byłam dla Ciebie zbyt surowa. Nadal żyjesz w przekonaniu, że nosisz w sobie jakieś przekleństwo, w końcu tyle osób Cię odtrąciło, że nie zasługujesz na miłość bezgraniczną, bezwarunkową, żywą i gorącą. Dopiero niedawno coś w Tobie drgnęło. Nie wiem, czy to za sprawą tajemniczego Gustavo, czy to Twój wyjazd do Managui tak cię umocnił, ale widzę, że zaczynasz cenić swoje życie.

Nie mogę zabrać do grobu tych wydarzeń sprzed lat, które mogą stanowić o Twoim dalszym życiu. Nie jesteś córką Eduardy. Twoja prawdziwa matka miała na imię Julie i była Francuzką. Mój brat, a Twój ojciec kochał się w niej do szaleństwa, ale ona zostawiła go dla jednego angielskiego oficera. Długo nie mógł się otrząsnąć, wkrótce jednak, wbrew woli babki Gertrudy, ożenił się z Eduardą, której zniewalająca uroda to mieszanka krwi ojca Portugalczyka i matki Indianki z plemienia Miskito. Nie poznałaś jej rodziców, bo ojciec Eduardy nigdy jej nie uznał, a dla Maximiliana zerwała z matką wszelkie kontakty. Mimo to, z powodu swych korzeni nie miała lekko z Gertrudą, zwłaszcza, że długo nie zachodziła w ciążę. Maximilian początkowo wspierał młodą żonę, ale gdy okazało się, że Julie wróciła do Granady i jest znowu wolna, stracił całkiem głowę. To była niesamowita kobieta, czerpiąca z życia pełnymi garściami, otoczona wianuszkiem mężczyzn, nie tylko z powodu swojej pociągającej powierzchowności, ale także dlatego, a może nawet przede

wszystkim dlatego, że miała ich za nic. Jasna burza loków i błękitne oczy sprawiały wrażenie słodkiego dziewczęcia, ale zamiast krwi w jej żyłach płynęła lawa, która w każdej chwili mogła wybuchnąć. Nie cierpiałam jej wtedy, zwłaszcza gdy sprawdziły się moje podejrzenia, że znów uwodzi Maximiliana. Wszyscy o tym wiedzieli, tylko nie Eduarda. A może jednak wiedziała, ale tolerowała ten układ, obwiniając się o to, że nie może dać Maximilianowi dzieci. Ale szalona Julie znów gdzieś wyjechała i Maximilian wrócił lizać rany u boku swej prawowitej małżonki.

Jakiś czas był spokój, aż do dnia, gdy Julie niespodziewanie zajechała do Nandaimé. Jej bezczelność poraziła wszystkich, ale prawdziwe zaciekawienie wzbudziła ciemnoskóra kobieta niosąca za nią w koszyku kilkumiesięczne niemowlę. Julie wyciągnęła dziecko z koszyka i uniosła je do góry. To byłeś Ty. Twoje rude włoski i zadarty nosek już wtedy dokumentował pokrewieństwo z rodziną von Badenbrock. Julie potwierdziła, że Maximilian jest ojcem przywiezionej dziewczynki. Nie zamierzała wcale mu o tym mówić, bo podjęła decyzję o samotnym macierzyństwie, ale miesiąc wcześniej dowiedziała się, że jest poważnie chora. Miała jakąś chorobę krwi i czuła się z dnia na dzień gorzej. Powiedziała, że chce zostawić małą Maximilianowi i zająć się leczeniem, które i tak może okazać się nieskuteczne. Liczyła się z tym, że będzie musiała nawet wyjechać z Nikaragui. Po naradzie rodzinnej Gertruda zdecydowała, że należy Cię przyjąć. W końcu, już na pierwszy rzut oka było widać, że Maximilian jest twoim ojcem, poza tym nadal nie miał dzieci z Eduardą i mogłaś stanowić jedyne kolejne ogniwo rodu von Badenbrock. Na moje zamążpójście już nikt nie liczył. Eduarda pogrążyła się w rozpacz, zamknęła w sypialni i płakała przez kilka dni. Nawet nie chciała Cię oglądać. Julie ledwo zdążyła Cię przywieźć, a po kilku tygodniach już nie żyła. Wtedy dopiero Eduarda spojrzała na Ciebie po raz pierwszy, a potem zaczęła się Tobą zajmować prawie jak własnym dzieckiem. Zmieniła Ci imię z Sophie na Evę i odważyła pokazać Cię światu.

Maximilian wymusił na mnie, bym zachowała tajemnicę Twego pochodzenia dla siebie i nigdy, przenigdy, nie zdradziła jej nikomu. Dla Twojego dobra. Wtedy wierzyłam, że poznanie prawdy może Cię tylko zranić, teraz po niemal trzydziestu latach widzę, że się myliłam. Troska,

jaką otaczała Cię Eduarda, była godna podziwu, ale dopiero, gdy po ośmiu latach szczęśliwie urodziła swoje własne córki, zobaczyłam różnicę w jej matczynej miłości. Trudno było się jej dziwić. Pozostałaś dla niej świadectwem zdrady Maximiliana, utrwalonym wspomnieniem po pięknej konkurentce. Sama zastanawiałam się czasem, ile razy mój brat patrząc na Ciebie, widzi Twoją matkę. Po latach sama żaliłaś mi się, że tak trudno zbliżyć Ci się do Eduardy, że brakuje Ci jej czułości. Uwierz mi, ona naprawdę się starała. Babka Gertruda wmówiła nam, że masz charakter po nieokielzanej Julie i obie z Eduardą starałyśmy się wychowywać Cię odpowiednio surowo, chcąc ukierunkować Cię na właściwą drogę. To, co było objawem normalnej żywotności dziecka, każdy Twój akt złości, każdy wybryk, odczytywałyśmy jako przejaw szatańskiej krwi Julie, płynącej w Twoich żyłach.

Odkryłam Cię na nowo, kiedy sprowadziłaś mnie do Nandaime po Twoim ślubie z Federico. Gdy zobaczyłam Twoją niepewność, zagubienie, rozpaczliwą walkę o miłość męża i teściowej. Ale kolejna kobieta Cię odrzuciła. To nie twoja wina. Moja matka, a twoja babka Gertruda też z niechęcią odnosiła się do mnie, do Eduardy, Julie, a nawet do Ciebie. Kochała tylko Maximiliana.

Naszła mnie refleksja, że gdy kobiety walczą ze sobą, zawsze chodzi o miłość do mężczyzny, nieważne – męża, czy kochanka, ojca, czy syna. Tak rozpaczliwie pragną męskiej miłości na wyłączność, że zapominają o swojej godności i szacunku dla innych kobiet. Zyskują na tym tylko mężczyźni, despotyczni ojcowie, zdradzający mężowie, zdziecinniali synowie. I oni rządzą tym światem, a kobiety przyjmują służalczą rolę. Jediną osobą, która gwizdała na ten utarty porządek, była Twoja matka. Postrzegam ją teraz zupełnie inaczej. I muszę Ci napisać, że masz w sobie jej niepokój, masz jej iskrę, którą uporczywie zasypywaliśmy popiołem. Na szczęście się nie udało.

Pokochałam Cię całym sercem już jako młodą kobietę i zrozumiałam, jaką wyrządziliśmy Ci krzywdę. Choć tyle czasu spędziłyśmy razem i tyle odbyłyśmy rozmów, nie miałam odwagi powiedzieć Ci prawdy, przyznać się do błędu. Wciąż nie mam. Dlatego piszę, wierząc, że otworzysz ten list dopiero po mojej śmierci. Nie zmierzę się z Twoimi pytaniami, nie będę musiała znosić Twojego

pełnego wyrzutu wzroku.

Wybacz mi, najukochańsza bratanico. Wybacz Twojemu ojcu i Twojej przybranej matce. Każde kocha Cię na swój sposób. Jesteś najwrażliwszą osobą, jaką znam. Zaufaj sobie, walcz o siebie.

Twoja Matylda.

ROZDZIAŁ XX



Nie wiem, czego spodziewała się Matylda, tak bardzo bojąc się wyjawienia tajemnicy mojego pochodzenia. Jej list nie wywołał rewolucji w moim życiu. Raczej wszystko poukładał. Musiałam na początku uporać się z żalem, że wszyscy żyli w kłamstwie przez tyle lat, nawet ciotka, której ufałam najbardziej na świecie. Gdyby nie choroba, nadal by milczała. A jeśli umarłaby nagle, nie mając czasu na refleksję i przedśmiertne porządki w swoim życiu, prawdopodobnie nigdy nie poznałabym prawdy, tak ważnej dla mnie. Ten list ukazał ludzi, których – jak sądziłam – znałam od najmłodszych lat, w zupełnie nowym świetle. To światło rozjaśniło mroczne obszary mojego życia.

Nie byłam zatem winna temu, że nie zaznałam od Eduardy tego czegoś, co mogła dać dziecku tylko prawdziwa matka. Starła się, aby wychować mnie jak własną córkę. Było mi jej nawet żal. Sama nie wyobrażałam sobie, by z sercem matkować dziecku kochanki męża. Zawsze będę ją kochać, teraz nawet bardziej. Na zawsze pozostanie dla mnie najpiękniejszą kobietą, jaką znam. I nie mogłam sobie wyobrazić, że Julie była urodziwsza.

Mój ojciec niewątpliwie skrzywdził Eduardę. Kiedyś potępiłabym go bez cienia wątpliwości. Doświadczając jednak niespodziewanego ataku namiętności wobec Gustavo, wiedziałam już, że nie wszystko jest takie proste. Ja też nie chciałam zranić Federico, a jednak nie sposób walczyć z własnymi uczuciami tylko rozumem. Ojciec musiał szaleć za Julie, a ona go przecież zostawiła. Czy ożenił się z Eduardą, by zapomnieć o niej? Byłam zła głównie o to, że sam nie będąc kryształem, zgromił mnie za odejście z domu Barroso.

Gertruda. Syczała na mój widok, ale sama Matylda podkreśla w liście paskudną naturę swojej matki. Nieraz przez nią płakała. Eduarda też nie miała z nią lekko. Dlaczego zatem ja, podrzutek, miałabym mieć

u niej jakieś względy. Może gdybym była chłopcem?

Wreszcie Julie. To było dla mnie największe odkrycie, że noszę w sobie dziedzictwo tej kobiety. Chyba nie znalazłabym w sobie tyle odwagi, by żyć tak jak ona. Nie znoszę, gdy ktoś przeze mnie płacze, a przez nią z pewnością płakało wiele osób. Czy jednak ten niepokój, który łomocze mi w piersiach, nie jest czasem dziedzictwem po matce? Czy ten brak zgody na utarte szlaki przekazała mi właśnie Julie? Jaka ona była? Jak wyglądała? Jakich używała perfum? Jak się uśmiechała? Wyobrażałam ją sobie jadącą na koniu w męskim stroju albo palącą cygaro i puszczającą dym prosto w nos otaczających ją adoratorów. Musiała mieć nie lada tupet, skoro przyjechała do rodzinnego domu swojego kochanka, zamiast spróbować się z nim spotkać sam na sam. Jak wyglądałby moje życie, gdyby wychowywała mnie samotnie? Z pewnością nie spędziłabym tylu godzin w kościele. Nie spotkałabym wtedy Federico, zresztą czy byłby w stanie mnie wtedy zainteresować? Laura z pewnością nie pozwoliłaby na małżeństwo z córką takiej kobiety, jak Julie.

Moja matka umarła tak młodo, ale i tak zdążyła zatrząść rodziną von Badenbrock.. Czy było jej trudno rozstać się ze mną? Czy płakała, pozostawiając mnie Maximilianowi? Czy przeczuwała, że mnie już nigdy nie zobaczy? Wiedziałam, że muszę nakłonić ojca, by opowiedział mi o niej jak najwięcej.

W tej historii wszyscy byli ofiarami. Nie miałam zamiaru nikogo potępiać, choć nie wierzyłam w tłumaczenie, że utrzymywanie prawdy w tajemnicy miało przede wszystkim mnie chronić. To kłamstwo chroniło wszystkich, z wyjątkiem mnie.

Matylda zrzuciła na mnie rozdarcie na nowo zagojonych ran von Badenbrocków. Ale nie miałam wyboru. Krew mojej szalonej matki zawrzała we mnie. Poczułam się niezwykle silna i odważna. Przez kilka kolejnych dni, zanim znów wybrałam się do Nandaime, wciąż o niej myślałam. Czytałam list Matyldy kilka razy i żałowałam, że tak mało napisała o samej Julie.

Po niemal trzydziestu latach bycia Evą, okazało się, że żyje we mnie także Sophie. To Sophie odeszła od męża, to ona była bliska zdrady, to ona nie mogła potulnie żyć w domu teściowej. Eva by to

wszystko zniosła. Eva była łagodna i cierpliwa. Te myśli doprowadzały mnie do obłędu. Choć tuż po przeczytaniu listu wydawało mi się, że nareszcie poznałam odpowiedzi na większość dręczących mnie pytań, już kolejne czytania listu rozbijały mnie na tysiąc kawałków.

W takim właśnie stanie zastał mnie Federico, który uznał, że najwyższy czas się ze mną rozmówić. Przyszedł na dzień przed moim wyjazdem do domu. W myślach przygotowywałam się do rozmowy z ojcem i zupełnie nie miałam głowy do tego, by podejmować decyzje rozstrzygające o moim małżeństwie. Dwie przełomowe w moim życiu rozmowy, jedna po drugiej, bez czasu do namysłu. To było dla mnie zbyt wiele. Nie mogłam wyjaśnić tego Federico, który po raz kolejny poczuł się zlekceważony.

– Co może być ważniejsze od naszego małżeństwa? – spytał z wyrzutem. – Jak długo chcesz trwać w takim zawieszeniu?

– Po prostu nie teraz. Daj mi trochę czasu.

– Ciągłe potrzebujesz czasu, ciągle się wahasz. Ja już nie będę czekał – oświadczył stanowczo.

– Umilałeś sobie to czekanie, jak tylko się dało – warknęłam.

– Dobrze wiesz, dlaczego. Nie jestem z kamienia. Wydawało ci się, że możesz mnie odłożyć na jakiś czas na półkę.

Czułam, że miał rację. Chciałam to wszystko przetrzymać, przedłużyć, byle tylko nie wziąć odpowiedzialności za koniec związku. Zdradził mnie, właściwie teraz wszystko mogłam zrzucić na niego i odejść w imię urażonej dumy. Ale to nie byłaby prawda.

– Posłuchaj – przełknęłam ślinę, tak trudno było mi to wypowiedzieć – dużo się między nami zmieniło. Ja się zmieniłam. Chcę żyć inaczej, nie wiem jeszcze jak, ale inaczej.

– Inaczej, znaczy beze mnie?

– Zabrakło mi pewności, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Nie wierzę, że Gustavo nie ma z tym nic wspólnego! – Federico uderzył pięścią w stół. – Nie masz tylko odwagi przyznać się, że nie jest ci obojętny! Zmieniłaś się, gdy go spotkałaś!

Nie umiałam mu spojrzeć w oczy, by nie znalazł w nich odpowiedzi.

– Nie zaprzeczasz? Tak myślałem – jego głos zadrżał, jakby miał

się za chwilę rozplakać. – W takim razie, żegnaj, Evo.

Po wyjściu Federico byłem bardziej zagubiona niż po przeczytaniu listu od Matyldy. Wiedziałam, że ta chwila kiedyś nastąpi. Tylko, że teraz to się działo naprawdę. Federico mnie zostawił. To on, nie ja, przerwał ten łańcuch obłudy i niechęci. Nie mogłam ustać na nogach, tak bardzo kręciło mi się w głowie. Czułam, że wysiadłam z wagonu, który odzepił się od wlokącego się miarowo i monotonicznie pociągu, i pędzę w zawrotnym tempie w nieznaną. Jadę na oślep, bez bagażu, bez towarzystwa, nie mogąc ani wysiąść, ani się zatrzymać. To co wydawało się pewne, okazało się ułudą. Moja rodzina. Miłość do Federico. Moja niezłomność. Każdy dzień, ba, każda godzina zaskakiwała mnie czymś nowym. W tej szalonej podróży nie było czasu na opłakiwanie tego, co odeszło. Nie mogłam zmienić planów. Nie mogłam zawrócić. Teraz najważniejsze dla mnie było dowiedzieć się jak najwięcej o matce. Dowiedzieć się, kim jestem.

W Nandaime nikogo nie zdziwił mój przyjazd. Wiadomo było, że kochałam Matyldę i chciałam opłakiwać ją w rodzinnym gronie. Eduarda nosiła żałobę po siostrze męża i wyglądała na bardziej zasmuconą niż mój ojciec. On zresztą nie miał czasu na rozmyślanie, bo z trudem próbował ogarnąć zarządzanie plantacją, gdy zabrakło faktycznej gospodini. Na szczęście pozostał Javier i on spędzał teraz z ojcem całe dni pośród alei kawowców, jak niegdyś czynił to z Matyldą.

Pracę skończyli grubo po zmroku. Z niecierpliwością małego dziecka czekałam, aż ojciec przekroczy próg domu, by móc porozmawiać z nim w zaciszu jego gabinetu. Nie chciałam obecności Eduardy, bo zamierzałam wyciągnąć z niego najintymniejsze wspomnienia o mojej matce.

– Opowiedz mi o Julie. – Niemal wbiłam go w fotel stojący przy jego biurku.

– Julie? – Udawał zdziwienie.

– Tej, która mnie urodziła.

– Matylda ci powiedziała? – Ojciec wstał i sięgnął do barku po coś mocniejszego.

– Napisała. Dostałam od niej list, który miałam otworzyć dopiero po jej śmierci.

– Tak... – Na zmęczonej twarzy ojca pojawiły się kropelki potu. – Czułem, że Matylda nie wytrzyma. Tylko czemu nie powiedziała ci tego sama. Zostawiła mnie z tym wszystkim.

– Kochałeś Julie?

– Bardzo. – Westchnął ciężko. – Bardzo.

– Czemu się z nią nie ożeniłeś?

– To nie był materiał na żonę! Nie chciała słyszeć o ślubie. Ona była do kochania, ale nie do okiełznania. Gdy tylko wspomniałem o ożenku, wyjechała z dnia na dzień.

– Ale wróciła, tak? – intensywność rumu, który nalał mi ojciec, ułatwiał stawianie odważnych pytań.

– Tylko że ja byłem już mężem Eduardy. Ale spędziłem z nią jedną noc. Nie mogłem się powstrzymać. Wtedy musiała zajść w ciążę. Zaraz potem znów wyjechała. Nie wiedziałem, że zostałem ojcem.

Dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy zajechała do Nandaimé z tobą w koszyku. Miałaś zaledwie trzy miesiące. Była chora...

– Wiem – przerwałam mu. – To wyjaśniła mi w liście Matylda. Powiedz mi, jak przyjęła mnie Eduarda. Czemu postanowiliście zrobić z tego tajemnicę?

– Eduarda chciała się otruć. To był dla niej taki wstyd. Sama nie mogła wtedy urodzić dziecka. Potem złagodniała, gdy po śmierci Julie wpadłem na pomysł, żeby utrzymywać, że jesteś naszą prawowitą córką. Eduarda naprawdę cię pokochała, znalazła ci mamkę, która karmiła cię jeszcze przez kilka miesięcy. Cały czas nosiła cię na rękach. Uczyla stawiać pierwsze kroki.

– A jaka była Julie?

– Szalona. Po prostu szalona – Ojciec na długo zamilkł, wbił wzrok w okno, jakby po drugiej stronie szyby stała kobieta, która zawsze mu się wymykała.

– Tylko tyle możesz powiedzieć o swojej wielkiej miłości? – byłam zniecierpliwiona. – Jak się śmiała, co lubiła jeść, czy kochała muzykę, taniec? Powiedz wreszcie coś konkretnego. To moja matka! Chcę ją poczuć!

– Była... była... taka delikatna. Miała kręcone, jasne włosy i duże niebieskie oczy. Drobne usta, mały zadarty nosek. Wygląd dziecka,

a dusza hardego mężczyzny. Gorszyła wszystkich mową, odważnymi poglądami, paliła cygara i nie gardziła whisky, której nauczyła się pić od jakiegoś Anglika. Wszędzie siała zamęt, otoczenie traktowała tak, jak wichura traktuje krzewy naszych kawowców. ...Uwielbiała herbaciane róże. Tylko to było w niej takie kobiece. Poznałem ją na jednym z przyjęć u francuskich znajomych w Leon. Miłość od pierwszego wejrzenia. Przynajmniej z mojej strony. Ona też zdawała się być zakochana... aż do czasu, gdy wspomniałem o ślubie. Wtedy jakby diabeł w nią wstąpił. Nie spotkała się ze mną więcej. Wróciła do Kostaryki, gdzie osiedlili się jej rodzice. Myślę, że choć była odważna, to najbardziej się bała właśnie miłości. – Po policzku ojca spłynęła łza, którą próbował ukradkiem otrzeć. Byłam wzruszona, też nie mogłam powstrzymać wzbierających się w oczach rozlewisk.

– Czemu przerażała ją miłość? – spytałam.

– Nie mam pojęcia. Nie była skłonna do zwierzeń. – Ojciec pożegnał się z duchem za oknem i zwrócił twarz w moim kierunku. – Jedno jest pewne. Ciebie bardzo kochała. Gdy odjeżdżała, zostawiając cię u nas, cała drżała, nie płakała, ale trzęsła się. Nigdy u niej czegoś takiego nie widziałem. Może wiedziała już wtedy, że cię nigdy nie zobaczy.

– Dlaczego trzymaliście to w tajemnicy?

– Najpierw byłaś za mała, by ci takie rzeczy wyjaśniać. Zresztą, wiesz... lepiej, by uznano cię za dziecko z prawego łóża. Poza tym... Eduarda, ona naprawdę poczuła się twoją matką, gdy zmarła Julie. Wychowywała cię od niemowlęctwa. A potem... – wzruszył ramionami – potem było już tylko trudniej. Rozumiesz?

– Staram się... Tłumaczę was, rozgrzeszam. Ale musisz usłyszeć, ile cierpienia zadała mi ta tajemnica. Jak zabiegałam o waszą miłość i jak trudno mi było pojąć, dlaczego młodsze siostry dostają jej więcej. Obwinałam się za to. Czułam się gorsza. Sądziłam, że nie zasługuję na kochanie – gdy to mówiłam, ojciec zapadał się w fotelu, jakby uchodziło z niego powietrze. Ja za to stawałam się lżejsza. Zobaczyłam, jak się ostatnio postarzał, jak z jego rudych fali nad czołem zostały smętne pasma srebrzystych włosów. Jak się przygarbił i zmałał. Zrobiło mi się go żal i nie chciałam go dłużej męczyć, ale musiałam dodać coś jeszcze.

– Jednego wciąż nie rozumiem. Dlaczego tak potępiłeś moje odejście z domu Barroso, skoro sam nie byłeś ideałem. Nie byłeś wierny Eduardzie. Okłamałeś ją i zmusiłeś do kłamstwa.

– Wybacz mi, Evo. Myślałem, że tak będzie lepiej. Wszyscy tak myśleliśmy. Wtedy nie chciałem, by dotknęło cię piętno bękarta, teraz – piętno rozwódki.

– Nie mów nic Eduardzie. Nikomu nic nie mów. Za późno na rewolucje – wydawałam dyspozycje, jakbym to ja była głową rodziny. – Gdzie jest grób Julie?

– W Leon. Na cmentarzu Matki Boskiej z Guadalupe.

ROZDZIAŁ XXI



Pragnienie rozpoczęcia nowego życia właśnie w Leon pojawiło się w chwili, kiedy stanęłam nad kopcem ziemi zwieńczonym kamienną płytą z wykutym napisem: „Julie Marie Larousse. 15 listopada 1873 roku”. Nie rosły tam żadne kwiaty, ale widać było, że zakonnice regularnie odchwaszczają grób, bo wzruszona ziemia sprawiała wrażenie, jakby dopiero co go usypano. Postanowiłam, że następnym razem posadzę tu róże, rzecz jasna w kolorze herbacianym. Zastanawiałam się, czy matka wie, że tu jestem, czy jej dusza fruwa gdzieś nade mną, uradowana, że wreszcie tu dotarłam. Może jak motyl przysiadła na moim ramieniu i już zawsze będzie mi towarzyszyć? Czy jest dumna z moich ostatnich poczynań, czy raczej prycha z niesmakiem, że mam w sobie zaledwie napałek jej brawury?

Zbliżał się wieczór, a ja wciąż nie mogłam opuścić cmentarza. Dosłownie, jakby nogi wrosły mi w ziemię. Sama się sobie dziwiłam, przecież Julie była mi przecież całkiem obca. Można by rzec, udzieliła mi tylko swojego łona, a potem na zawsze zniknęła z mojego życia. Poczułam jednak, że chcę tu przychodzić, jeśli nie codziennie, to chociaż raz na kilka dni, doglądać te jeszcze nie zasadzone róże i sama troszczyć się o grób matki.

Właściwie nic już nie trzymało mnie w Granadzie. Posadę w szkole mogłam znaleźć wszędzie, także w Leon. Pożegnałam się z mężem i nie miałam ochoty spotykać go przypadkiem na katedralnym placu, a tym bardziej – znosić pogardliwych spojrzeń jego matki. Odkąd Matylda umarła, nie ciągnęło mnie do Nandaime. Zresztą, nawet za jej życia nie zaglądałam tam zbyt często. Eduarda była pochłonięta przygotowaniem do ślubu Isabel, a ojcu i tak nie mogłam w niczym pomóc, bo nie miałam serca do plantacji. Lubiłam pracę nauczycielki, a tę mogłam wykonywać gdziekolwiek. Nie zdołałam za wiele poznać Leon, ale już sama jego

nazwa brzmiała dumnie i zadziornie. W konserwatywnej, statecznej jak matrona Granadzie mówiło się z przekąsem, że do Leon ściągali poeci, szaleńcy i rebelianci, zatem to miasto idealnie pasowało do mnie.

W Leon pomieszkiwał wszak niespokojny duch pióra – Dario Rubens, którego poezję po raz pierwszy dał mi do przeczytania Gustavo.

– Jest pani rodziną dla tej zmarłej? – chrapliwy głos starszej kobiety wyrwał mnie z rozmyślań.

Za moimi plecami stała ubrana na czarno zakonnica, której plecy mocno ugięły się pod ciężarem lat.

– Pielęgnowujemy z siostrą Weroniką tę alejkę i jeszcze nigdy nie było nikogo przy tym grobie. W sumie nie powinno to dziwić, chyba nieboszczka była panną, a zmarła tak młodo.

– To moja... ciotka – skłamałam, by nie zepsuć Julie reputacji.

– No to się ciocia musi w niebie cieszyć, że po tylu latach zawitał tu ktoś bliski – w jej głosie wybrzmiała prawdziwa radość.

Nie byłam pewna, czy Julie jest w niebie, ale za to złapałam się na tym, że wstydzę się prawdy. Jak wszyscy w mojej rodzinie. Spojrzałam na pomarszczoną twarz siostry, w której fałdkach kryły się pełne blasku, jasne oczy.

– To moja matka. Niedawno się dowiedziałam – wypowiedziałam te słowa dobitnie.

– Oj, tak mi przykro. To wcale jej pani nie znała? – zakonnica wyglądała na przejętą.

– Nie. Umarła, gdy miałam kilka miesięcy.

– Kochaniutka, trzeba dziękować Bogu, że poznała pani prawdę. Życie na ziemi to zaledwie ułamek wieczności. Niedługo się spotkacie. – Staruszka dobrodusznie poklepała mnie po ramieniu. – Pani matce będzie miło, że jej grobem zaopiekuje się własna córka, a nie obcy ludzie.

– Z tą opieką będzie trudno. Mieszkam w Granadzie. Ale będę się starała...

– Jeśli będzie pani potrzebować noclegu, proszę przyjść do klasztoru. Tylko trzeba od razu powiedzieć, że jest pani znajomą siostry Magdaleny.

Poczułam, że spotkanie tej zakonnicy to znak, by tu pozostać.

Miałam już gdzie się zatrzymać. W klasztorze obok cmentarza, na którym leżała moja matka. Czy to nie znamienne? Reszta też musi się jakoś ułożyć. Wracałam do Granady już tylko po to, by zabrać swój niewielki majątek, który wciąż bez trudu mieścił się w jednym kufrze.

Dyrektor szkoły nie wyglądał na zaskoczonego moją decyzją. Chyba doszły do niego plotki o mnie i o Federico. zaproponował mi nawet pomoc w znalezieniu pracy w Leon.

– Evo – powiedział po chwili namysłu. – Z tego co pamiętam, zna pani dobrze język angielski i francuski, prawda? Przecież może pani udzielać lekcji w prywatnych domach. Sądzę, że w Leon bez trudu znajdzie pani chętnych. Nie żebym odradzał pracę w szkole, ale oprócz etosu, ważne są też pieniądze. – Uśmiechnął się.

Czemu dotąd o tym nie pomyślałam! Pokrzepiona myślą, że jakoś sobie poradzę w Leon, w ciągu kilku dni zamknęłam rozdział życia w Granadzie. Potem wszystko układało się lepiej, niż mogłam sobie to wyobrazić. Na początku, dzięki siostrze Magdalenie, zamieszkałam u sióstr karmelitanek. Z listem polecającym od dyrektora zgłosiłam się do szkoły elementarnej i dyrektorująca jej Marta Fernandez bez mrugnięcia okiem przyjęła mnie do pracy. Po niespełna miesiącu miałam już także trzech prywatnych uczniów, których rodzice opłacali mnie tak szczerze, że bez trudu mogłam samodzielnie się utrzymać. Pracowałam dużo, ale codziennie odwiedzałam grób swojej matki. Posadziłam na nim herbaciane róże.

Można by rzec, że Leon przyjęło mnie serdecznie. Polubiłam to miasto, jego świeży oddech, otwartość dla takich jak ja znajd. Malownicze pasmo wulkanów otaczało stare, pamiętające niemal czasy Cordoby domy, najstarszy w Nikaragui uniwersytet i katedrę, której strzegły dwa kamienne lwy. Wulkaniczne szczyty dumnie królowały nad wieżami licznych kościołów, jakby chciały pokazać, kto był tu pierwszy.

Wkrótce znalazłam całkiem przytulną kwaterę na wschodnim krańcu Calle Real, składającą się z jednego pomieszczenia, które służyło mi za kuchnię, salon i sypialnię. Choć wychowałam się w przestronnym domu, łatwo przywykłam do miejskiego życia, w którym w zamian za anonimowość i wolność wyboru, należało się pomieścić na stosunkowo małej przestrzeni. Czasem tylko odczuwałam brak kogoś bliskiego,

zwłaszcza w nocy. W snach pojawiał się raz Federico, raz Gustavo, zdarzało się, że ich twarze zlewały się w jeden obraz i rankiem nie byłam pewna, z którym właśnie spędziłam noc. Gustavo był tylko niespełnionym pragnieniem, nie liczyłam, że jeszcze kiedykolwiek go spotkam. O Federico myślałam, głównie widząc roześmiane rodziny oblegające kawiarnie po niedzielnej mszy. Moja duma z niezależności zmagala się wtedy z porażką samotności... I zwykle laur zwycięstwa przypadał tej ostatniej. Żałowałam wtedy, że nie znalazłam dość siły, by zaważczyć o nasze małżeństwo, którego nie dało się już cerować jak starej pościeli, ale trzeba było uszyć na nowo. Gdy Federico wydawał się być gotowym na zmiany, nie dałam mu szansy. Przez moment zapragnęłam nawet, by się z nim spotkać. Jednak tylko przez moment. Ogonów rodzinnych kłótni i politycznych uprzedzeń, jakie ciągnęły się za nami, nie dało się tak po prostu odciąć. Może gdybyśmy trafili na bezludną wyspę, odnaleźlibyśmy czystą miłość, jaka nas złączyła przed laty. Trudności na drodze kochanków nie były niczym nadzwyczajnym, Romeo i Julia mieli jeszcze gorzej, tyle że my nie daliśmy im rady. Nasze uczucie okazało się za słabe.

Po mniej więcej trzech miesiącach znów zawitałam w Nandaime. Do domu sprowadził mnie ślub Isabel. Uroczystości trzeba było przyspieszyć, bo zaokrąglający się brzuch panny młodej mógłby świadczyć przeciwko jej niewinności i podważać prawo do białego welonu. Ślub był daleko mniej wystawny niż mój, bo i pan młody nie pochodził z tak znakomitego rodu jak Federico. Był to syn hodowcy bydła z okolicy, leżącej na północ od Nandaime Diriamby. Alfredo Garcia nie znał francuskiego, nie skończył uniwersytetu, nie czytał poezji i nie wyróżniał się szczególną urodą, żartował za to przaśnie i miał monstrualnej wielkości dłonie, ale widać posiadał to coś, co urzekło moją młodszą siostrę i zanim jeszcze rozbrzmiały kościelne dzwony, cieszyła się pełnią kobiecości. Wielkimi rękami wznosił już dom dla przyszłej żony i będącego w drodze potomstwa. Żarliwie zapewniał, że Isabel będzie tam żyła jak królowa.

W wieczór przed powrotem do Leon ojciec zawołał mnie do swojego gabinetu.

– Byłaś na jej grobie? – spytał, upewniwszy się, że drzwi są

zamknięte. Zatem nie zdradził nic Eduardzie.

– Tak. Bywam tam niemal codziennie. Mieszkam w pobliżu.

– To dobrze. Dobrze. – Pokiwał w zadumie głową. – Mam coś dla ciebie – dodał po chwili, wręczając mi jakąś książkę.

Gdy znalazła się w moich rękach, poczułam dreszcz emocji. Delikatna, niemal aksamitna w dotyku skórzana obwoluta kryła w sobie poezję Charlesa Baudelaire’a. Na pierwszej stronie widniał zamaszysty podpis właścicielki książki. To był pierwszy namacalny dowód na istnienie mojej matki. Z niemal nabożnym skupieniem i ostrożnością przewracałam lekko pożółkłe kartki, jakbym bała się strzepnąć niewidzialny pył, który pozostawiła po sobie Julie. Poczułam na sobie skupiony wzrok ojca, który przypatrywał mi się w milczeniu.

– Julie podarowała mi ją przed laty, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz. Zaczytywała się Baudelaire’em – powiedział. – Teraz ta książka należy do ciebie.

– Masz jeszcze po niej jakąś pamiątkę?

– Jest jeszcze to. – Ze zdjęcia w kolorze sepii spoglądała na mnie eteryczna blondynka, której włosy nie były grzecznie upięte, ale fruwały we wszystkie strony, jakby dopiero co zsiadła z pędzącego rumaka. Na pierwszy rzut oka tylko te nieokiełznane loki mogły zdradzać jej niepokorny charakter. Reszta była dość zwyczajna. Małe usta, drobny, lekko zadarty nos, jasne, duże jak u dziecka oczy, nieco za szeroko rozstawione. Dla mnie nie była nadzwyczajną pięknnością. Szczerze mówiąc, bardziej oczywista była egzotyczna uroda Eduardy. Im dłużej się jej przyglądałam, tym bardziej nabierałam przekonania, że już widziałam tę twarz. Tylko nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie.

– Jestem choć trochę do niej podobna? – spytałam ojca.

– Twoje włosy kręcą się tak samo.

– Ale kolor odziedziczyłam już po tobie. – Uśmiechnęłam się.

– Rudy jest jakby zapisany w herbie von Badenbrocków.

– Czyżby twoje młodsze córki nie zasłużyły na to odznaczenie? – pozwoliłam sobie zażartować. – Ich włosy są grube, ciemnobrązowe jak u Eduardy. Na pewno mają coś wspólnego z von Badenbrockami?

– Nie znam wierniejszej kobiety od Eduardy – odpowiedział ojciec poważnie.

Pamiętki po mojej matce stanowiły najcenniejszą zawartość mego bagażu, toteż przez całą drogę do Leon przyciskałam je do piersi, bo nie brakowało drobnych złodziejasków, których ofiarami byli podróżni w pociągu. Wystarczyło się tylko zdrzemnąć na chwilę, a mnie monotonny stukot żelaznych kół usypiał jak najlepsza kołysanka. Dopiero gdy znalazłam się w swoim pokoju, odpłynęło ode mnie całe napięcie związane z nieustannym czuwaniem. Wtedy też podparłam książką zdjęcie Julie na stole i wpatrywałam się w nią z nadzieją, że do mnie przemówi. Papier nie chciał ożyć, ale ja i tak czułam jej obecność.

Postanowiłam nauczyć się francuskiego, tak by móc swobodnie czytać Baudelaire'a. Wprowadziłam do swego życia swoisty rytuał, codziennie przed snem mozolnie tłumaczyłam fragment kolejnego wiersza, tak że po kilku miesiącach ten tomik poezji znałam niemal na pamięć, wynosząc przy tym na wyżyny znajomości ojczystego języka mojej matki. Wydawało mi się, że odkryłam tajemnicę szaleństwa Julie. Chciała być dandysem w żeńskiej skórze, wyznającym pogardę dla mieszczańskiej moralności. Najgorszym grzechem dla Baudelaire'a była pospolitość. Julie robiła wszystko, by go nie popełnić.

Żyłam, jak po spożyciu absyntu, zanurzając się po uszy w przeszłości, znieczulona na chwilę obecną. Owszem, wkładałam serce w lekcje szkolne i prywatne, bo nie zwykłam pracować byle jak, ale nie mogłam się doczekać, aż wrócę do maleńkiej kwatery i będę mogła oddawać się z lubością czytaniu francuskiej literatury i budowaniu siebie na nowo. Odsunęłam się od ludzi, nie szukałam nikogo do towarzystwa. Czasami szłam podumać w zakamarkach pobliskiego kościoła El Calvario. Samotnie chadzałam po urokliwych uliczkach Leon. Smakowałam quesillo, miejscowy przysmak, który sprzedawano pod katedrą. Kozi ser z cebulą zawinięty w tortillę nie przystawał może damie, ale samotnej, nieszukającej mężczyzny prawie rozwódce nie zależało na dobrej opinii i świeżym oddechu. Powoli zaczynałam czuć się z tym wszystkim dobrze. Nie byłam ciekawa, co porabia Federico, oddychałam z ulgą na myśl, że znalazłam dość odwagi, by wyrwać się z zaklętego kręgu rodziny Barroso, a potrzeba doświadczania kontaktu z mężczyzną była mniejsza niż u niejednej zakonnicy. Gustavo też już nie śnił mi się po nocach. Zresztą gdzie on w ogóle był? Co robił? Od

kilku lat nic o nim nie słyszałam.

Po przeżyciach w Managui polityka napawała mnie wyjątkowym obrzydzeniem. Słyszałam coś o konflikcie na granicy z Hondurasem, ale nie wyglądało to na nic groźnego. Grunt, że sytuacja w kraju wydawała się być już dość stabilna. Rozszalali na początku przejęcia władzy liberałowie uspokoili się i zamiast zacieklego tępienia swoich przeciwników, z których większość została już aresztowana lub uznana za zaginionych, skupili się na rządzeniu. Przyklaskiwałam temu, co działo się w szkolnictwie, bo wreszcie wypowiedziano prawdziwą walkę analfabetyzmowi. Białe dotąd szkoły zdominowali teraz Metysi, bo większości rdzennych Indian nawet groźba kar nie zdołała przekonać do oddania dzieci w ręce potomków konkwistadorów. Dzieci dostały książki, a nauczyciele całkiem przyzwoite uposażenie. Właściwie tylko to z tej całej polityki mnie interesowało. Nie czytałam gazet i poza kurtuazyjną wymianą zdań nie wdawałam się w żadne dyskusje z señorą Fernandez i dwójką pozostałych nauczycieli, którzy codziennie komentowali doniesienia ze stolicy. Wiedziałam, kto jest obecnym prezydentem, nie znałam nazwisk żadnego z pozostałych prominentów tworzących nowy rząd. Nie zrobiła zatem na mnie wrażenia wiadomość, że nasza szkoła ma gościć jakichś przedstawicieli rządowych. Sądziłam, że to rutynowa kontrola i dziwiłam się szaleństwu, jakie udzieliło się wszystkim pedagogom.

Pamiętnego dnia, zanim zdążyłam dojść do szkoły, już wiedziałam o zajęciu przez Nikaraguę stolicy Hondurasu. Wszyscy, począwszy od gazeciarzy, a skończywszy na ulicznych przekupkach sprzedających quesillo, nie mówili o niczym innym. Również w sali nauczycielskiej trwała żywa dyskusja, czy potrzeba Nikaragui kolejnego konfliktu, zwłaszcza że te działania mocno drażniły Stany Zjednoczone.

Wpadła mi w ręce ogólnokrajowa „Gaceta de Nicaragua”, którą od niechcienia przekartkowałam. Pierwsze dwie strony były jak zwykle poświęcone tryumfom Zelayi. Dopiero na trzeciej stronie w setkach kolumn z literami drobnymi jak ziarna maku, moje oczy wypatrzyły maleńką wzmiankę o kapitanie Gustavo de Oliveira, będącym jednym z wielu bohaterów, którzy przyczynili się do zwycięstwa w bitwie pod Nanasique. Przeczytałam to jeszcze kilka razy, bo wciąż miałam

wrażenie, że wzrok odmówił mi posłuszeństwa i musiałam przekręcić nazwisko. Kiedy jednak upewniłam się, że każda z liter leży na swoim miejscu, krew w żyłach zawrzała mi na nowo, a na policzkach pojawiły się tak spektakularne rumieńce, że siedząca obok mnie nauczycielka Luiza Gonzalez zapytała z troską, czy nic mi nie dolega.

Czułam się dobrze. Kilka wersów czarnego druku wróciło mnie do żywych. Ukradkiem wyrwałam stronę z gazety i zabrałam ją do domu. Nie spodziewałam się, że moje uczucie wciąż żarzyło się pod popiołem ostatnich przeżyć. Miałam nadzieję, że ten rozdział z mojego życia jest już zamknięty na dobre. Mozolnie budowany mur, który miał mnie chronić przed kolejną porażką, rozerwała z siłą granatu zaledwie jedna prasowa informacja o Gustavo. Na pewno miał jakąś kobietę. A raczej wiele, wiele kobiet na godziny. Staralam przywołać się do porządku. Poza pociągającą powierzchownością reszta jest tylko wytworem mojej wyobraźni. Oszalałam na punkcie kogoś, kto nie istnieje. W rzeczywistości jest pewnie miernym kochankiem, a już zupełnie niemożliwe, by z kimś takim dzielić życie.

Próbowałam nie myśleć o Gustavo. Bezskutecznie, bo moja skorupa całkiem się skruszyła. Znow wróciły niespokojne sny, potrzeba ciepła i dotyku. Znow zapragnęłam mężczyzny, a moje trzydziestoczteroletnie ciało nie chciało umrzeć, nie zaznawszy rozkoszy. Zdawałam sobie sprawę, że Gustavo jest być może przypadkowym ucieleśnieniem moich pragnień, a fascynacja nim wypadkową nieudanego małżeństwa i tajemnicy zakazanego owocu. Odsuwałam od siebie myśl, że chodzi właśnie o niego, że po prostu zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia i ta miłość okazała się silniejsza od uczucia, które połączyło mnie z Federico. Nie chciałam znow cierpieć. Już raz poczułam, że nie byłam dla mojego mężczyzny najważniejsza, że musiałam konkurować z jego matką, ojcem, pracą i polityką. Drugi raz nie chciałam tego znosić. Całe życie walczyłam o miłość i uwagę bliskich, a dostawałam tylko strzępy uczuć i resztki wolnego czasu, z którego ktoś ważniejszy ode mnie nie zdołał skorzystać. Teraz gotowa byłam przyjąć tylko miłość absolutną, nie mogłam zgodzić się na żadne ustępstwa. A ktoś taki jak Gustavo nie mógł mi jej dać... A jednak najbardziej racjonalne argumenty nie mogły

zawrócić nurtu tej rzeki. Choć nie robiłam sobie większej nadziei, że go jeszcze spotkam, nie potrafiłam powstrzymać się przed wertowaniem wszystkich gazet, jakie wpadły mi w ręce, by znaleźć choćby kilka słów o nim.

Tymczasem przygotowania do wizytacji rządowej dobiegły końca. W świeżo wybielonych murach szkoły najzdolniejsi uczniowie witali kwiatami ministra edukacji i jego zastępcę. Towarzyszyła im koścista, czarnowłosa kobieta, ubrana w zgrzebną szarą sukienkę. Od przekroczenia progu szkoły czułam na sobie jej wzrok, mimo że starała się być dyskretna. Sądziłam, że jej uwagę przykuł płomienny kolor moich włosów, niespotykany często w tej szerokości geograficznej. Tuż przed końcem wizyty kobieta podeszła do mnie i odciągnęła mnie na bok.

– Muszę z panią pomówić na osobności – szepnęła zagadkowo.

– Proszę, przejdźmy do mojej sali lekcyjnej. – Zdumiona wskazałam jej drzwi.

– Pani Barroso? – kobieta jeszcze raz upewniła się co do mojego nazwiska, mimo że dyrektorka szkoły przedstawiała wszystkich nauczycieli.

– Tak. – Byłam zdenerwowana, spodziewając się, że może przez polityczną przeszłość Federico stracę posadę w szkole.

– Barbara de Oliveira. Jestem siostrą Gustavo. Pamięta go pani?

– Tak... – Nogi ugięły się pode mną.

– Brat chciałby się z panią zobaczyć, oczywiście, o ile pani wyrazi zgodę.

– Zgodę? Tak... No, nie wiem. Ale w jakim celu? – byłam bliska omdlenia.

– To jest list od Gustavo, tam znajdzie pani odpowiedź. – Siostra Gustavo pospiesznie wcisnęła mi do ręki kartkę i dołączyła do dojeżdżających urzędników.

ROZDZIAŁ XXII



Nie ośmieliłam się odpieczętować listu w szkole. Serce waliło mi jak młot i musiałam wyglądać na bardzo przejętą, bo wszyscy pytali, co takiego chciała ode mnie wizytatorka z Managui. Gdy tylko dotarłam do mojej kwatery, już w progu rozerwałam kopertę i łapczywie pożerałam wzrokiem każdą literę starannie wykaligrafowaną przez ukochanego mężczyznę.

Droga Evo!

Wiem, że nie jesteś już z Federico. Dlatego dopiero teraz ośmielam się pisać do Ciebie. Minęło sporo czasu, od kiedy spotkaliśmy się, ale wciąż nie mogę o Tobie zapomnieć. Jeśli i ja nie jestem Ci obojętny, proszę Cię o spotkanie. Największą dyskrecję zapewniłoby nam mieszkanie mojej siostry w Managui. Będę pod wskazanym adresem czekać na Ciebie każdego popołudnia w najbliższe trzy niedziele.

Pozdrawiam cię.

Gustavo de Oliveira

Te kilka słów, napisane z żołnierską precyzją, wyrażały wszystko to, czego oczekiwałam. Zatem moje zmysły nie myliły mnie, mimo pozornego chłodu, oboje skłanialiśmy się ku sobie i on także to zauważył. Uszanował to, że miałam męża i odezwał się dopiero wtedy, gdy rozstałam się z Federico. Zastanawiałam się, skąd dowiedział się o moim rozstaniu z mężem. Dbał też o moją reputację, skoro starał się spotkać w możliwie dyskretnym miejscu. Dał mi czas do namysłu, przestrzeń do podjęcia właściwej decyzji. Nawet sam się nie pojawił, by nie wywierać na mnie nacisku. Mistrzostwo miłosnej dyplomacji. Unosiłam się na fali euforii. Czyż nie tego pragnęłam? Czy nie o tym marzyłam? Nie mogłam się dłużej wypierać tego, co od kilku lat nosiłam

w sercu. Byłam zdecydowana na spotkanie z Gustavo.

Do niedzielnego popołudnia były jeszcze siedemdziesiąt dwie godziny. Musiałam znaleźć wiarygodną wymówkę, dlaczego na kilka dni zniknę z pracy. Tego, że mam schadzkę ze sławnym na całą Nikaraguę generałem, powiedzieć przecież nie mogłam. Na szczęście dyrektorka sama zagadnęła mnie o moje zdrowie. Widać emocje obły się na moim wizerunku.

– Wygląda pani na zmęczoną, pracuje pani tak dużo. Może należałoby kilka dni wypocząć?

– To prawda, ostatnio nie czuję się szczególnie – przytaknęłam.

– Zna tu pani jakiegoś doktora? – dyrektorka spytała z wyraźną troską.

– Nie. Nie ma takiej potrzeby.

– Szczerze polecam doktora Ludvico Escobara. Niech pani zadba o siebie i przez tydzień nie pokazuje się w szkole – mówiła wypisując na kartce papieru adres medyka. – Damy radę panią zastąpić – dodała z uśmiechem, widząc moje zdziwienie.

Wdzięczność, jaką odczuwałam dla Marty Fernandez, przepełniała mi serce. Czyż to nie było wspaniałe, że bez słowa kłamstwa, którego nie cierpiałam, mogłam pojechać do Managui? Zaczęłam wierzyć, że los wyjątkowo mi sprzyja i teraz moje życie wejdzie na właściwy tor.

Ciemna, przesiąknięta lękiem strona mojej natury nie dawała jednak za wygraną. Już następnego dnia strach zaczął zatruwać zachłyśnięty miłością umysł. Nagle wszystko to, co wydawało się takie piękne i czyste, śmierdziało na odległość podstępem i gwałtem.

„Gustavo chce mnie tylko wykorzystać, nie myśli o mnie poważnie, tylko chce się mną posłużyć, by upokorzyć Federico” – myślałam. „Ta cała dyskrecja świadczy o tym, że wstydzi się mnie i nie chce pokazywać całemu światu tego, co nas łączy. To oburzające, że jego siostra pomaga mu w zorganizowaniu takiej schadzki. Pewnie nie po raz pierwszy! Chce, bym jechała taki szmat drogi do Managui. To niesamowite, jak nisko mnie ceni! Musiałabym postradać zmysły, by skorzystać z tej propozycji!” – targały mną skrajne emocje.

Jeszcze tej samej nocy dostałam wysokiej gorączki, a ból niemal

rozrywał mi ręce i nogi. Na skórze pojawiły się drobne pęcherzyki, niektóre podbiegnięte krwawym płynem. Rankiem, zwykle niewinne i radosne promienie słońca wkradające się do pokoju przeszywały moje oczy niczym sztylet. Byłam przerażona. Sądziłam, że umieram za karę, że chciałam urzeczywistnić plugawy romans, wciąż pozostając mężatką.

Po południu przyjechał do mnie wezwany przez gospodynię doktor Escobar. Mocno się zaniepokoił, kiedy mnie zobaczył. Podejrzewał, że dopadła mnie ospa, z którą Europa prawie się uporała, ale w Nowym Świecie choroba wciąż zbierała śmiertelne żniwo.

W tej sytuacji konieczna była izolacja. Po tygodniu obserwacji w jego szpitalu, doktor z ulgą podał bardziej prozaiczną przyczynę mojego cierpienia. Ospę wietrzną. Był zdumiony, że oszczędziła mnie w dzieciństwie. Miałam zakaz wychodzenia z domu przez kolejne dwa tygodnie, a już na pewno nie wolno mi było pojawić się w szkole. Tylko osoby, które chorowały na ospę, mogły mi pomóc w tym odosobnieniu, bo z doświadczenia doktora wynikało, że ponowne zarażenia należały do rzadkości. Za kilka pesos dorzuconych do miesięcznego czynszu gospodyni podjęła trud przygotowywania mi posiłków i zakupu odpowiednich medykamentów. Tak czy owak mój dylemat, czy spotkać się z Gustavo, czy nie, rozwiązał się naturalnie. Nie mogłam pojechać do Managui ani w najbliższą niedzielę, ani w dwie kolejne. Zresztą, moje ciało, którego powłoka przypominała skórę iguany, nie nadawało się do pokazywania mężczyźnie, którego chciało się oczarować.

Miałam sporo czasu, by rozmyślać. Gdy objawy choroby nieco złagodniały i mogłam swobodnie patrzeć, czytałam list od Gustavo po kilka razy dziennie. Kiedy ciało zapanowało na umyśle i nic nie byłam w stanie zrobić, zaczął mnie dręczyć żal, że być może zaprzepaściłam otrzymaną od losu szansę na prawdziwą miłość. Wyobrażałam sobie, jak przez trzy kolejne niedziele Gustavo będzie czekał na mnie w mieszkaniu Barbary. W białej koszuli, z cygarem w ręku będzie nerwowo przemierzał pokój, nasłuchując, czy nie pukam do drzwi. Gdy zapadnie zmrok, narzuci na ramiona płaszcz i wróci do siebie. W trzecią niedzielę nie pójdzie jednak do domu, ale odwiedzi pobliski burdel i postara się o mnie zapomnieć. Nawet gdybym wówczas napisała list z wyjaśnieniem, dlaczego się nie pojawiłam w Managui, nie

wyprzedziłby on biegu tych zdarzeń. Poczta działała bardzo opieszale, a listy często ginęły bezpowrotnie. Moja bezradność doprowadza mnie do szału.

Pomyślałam o mojej matce. Czy ona także oddałaby swoje życie przeznaczeniu? Czy odpuściłaby mężczyźnie, z którym naprawdę chciałaby być? Czy stchórzyłaby tak, jak ja? Czy powstrzymałyby ją konwenanse? W mrocznych zakamarkach mojej duszy zaczynało świtać. Julie nie poddałaby się tak łatwo. Julie nie bałaby się śmieszności. Julie nie zwracałaby uwagi na resztę świata i wszystko, co stanęłoby na jej drodze ku szczęściu. Staralam się myśleć tak, jak ona. Wejść w jej skórę. Chciałam, by jej cząstka żyjąca we mnie wzrastała i stała się źródłem mojej siły. Chciałam, by w ciele potulnej myszki obudził się lew, tak piękny i dumny, jak ten, który stoi na straży katedry w Leon. Pojadę do Managui. Spotkam się z Gustavo. Nic mnie nie zatrzyma.

Chociaż dawno już minęła ostatnia niedziela, w którą mieliśmy się spotkać, moje ciało kołysało się wraz z miarowym rytmem pociągu zmierzającego do stolicy. Czułam się już na tyle dobrze, by podołać trudom podróży. Byłam wręcz silniejsza niż przed ospą, bo nic nie dodaje tak sił, jak pewność, że robi się to, czego się naprawdę pragnie. Widok, jaki zastałam po wyjściu z pociągu, mile mnie zaskoczył. To była inna Managua. Miasto podniosło się z choroby, zupełnie jak ja. Ambicją prezydenta było przemienić prowincjonalną Managuę w stolicę na światowym poziomie. Z wysokości powozu, zaprzęzonego w dwa białe konie, podziwiałam kolorowe domy, które dorównywały świetnością architekturze Leon czy Granady. Brukowane ulice oświetlał las elektrycznych latarni. Pierwsze samochody płoszyły ciągnące eleganckie powozy konie i zatrzymywały zaciekawionych przechodniów. Minęłam znajomy park, który zachwycał obfitością kwiatów i fontann, i powóz zatrzymał się naprzeciwko białego domu z czerwoną dachówką i zielonymi okiennicami. Zastukałam energicznie mosiężną obręczą i po chwili w ledwo uchylonych drzwiach zobaczyłam czarne, lśniące oczy. Przedstawiłam się i wyjaśniłam, że przyjechałam do Barbary de Oliveira.

– Pani poczeka. – Drzwi zatrzasnęły się przed moim nosem.

Po chwili podwoje tego domostwa rozwarły się na tyle szeroko, że

oprócz oczu mogłam poznać także ich posiadaczkę – krępa, ciemnoskóra kobietę, ubraną w kolorową, wzorzystą spódnicę i czarną koszulę. Lśniące, hebanowe włosy miała zaplecione w gruby warkocz, który upięła na czubku głowy w duży kok. Ta misterna fryzura dodawała jej wzrostu, ale i tak sięgała mi zaledwie do ramienia. Zmierzywszy mnie przesywającym wzrokiem od góry do dołu, jakby chciała ocenić, czy jestem godna zaufania, Indianka ostatecznie pozwoliła mi wejść do środka. Ruchem ręki wskazała, by za nią podążać. Kamiennymi schodami zaprowadziła mnie pod drzwi mieszkania na piętrze, w których oczekiwała mnie siostra Gustavo.

– Cieszę się, że panią widzę – przywitała mnie serdecznie. – Dziś Gustavo u mnie nie ma – powiedziała, stawiając na stole dwie filiżanki. – Ale czekał przez te trzy niedziele.

– Byłam chora. Na ospę. Nie mogłam wychodzić z domu. – Na dźwięk moich słów jej twarz rozjaśniła się.

– Mam nadzieję, że już dobrze się pani czuje. – Uśmiechnęła się. – Rozumiem, że chciałaby pani zobaczyć się z moim bratem.

– Po to przyjechałam – upewniłam ją.

– Zatem proszę tu poczekać. Pójdę po Gustavo. Na szczęście mieszka niedaleko.

Zanim wyszła, zdążyła napełnić moją filiżankę niesamowicie aromatyczną arabiką i poczęstowała migdałowymi ciasteczkami. Byłam zdumiona, że widząc mnie drugi raz w życiu, pozostawiła mnie samą w swoim mieszkaniu. Sprawiała wrażenie, jakby znała mnie od dawna.

Siedziałam przy stole, nie zdobywając się na odwagę, by rozejrzeć się po mieszkaniu Barbary. Nie oparłam się jednak podejściu do lustra wiszącego nad kredensem. Popołudniowe słońce intensywnie rozjaśniało moje odbicie. Wyglądałam zdecydowanie gorzej niż w moim pokoju, którego małe okno wychodziło na północ. Choroba pozostawiła ciemne obwódki pod oczami i małą bliznę nad górną wargą. Skóra, zawsze jasna, teraz wydawała się być przezroczysta. Nie tak chciałam pokazać się mężczyźnie moich marzeń. Zdecydowanym ruchem wyciągnęłam szpilki z gładko upiętych włosów. Burza rudych loków eksplodowała we wszystkie strony. Miałam nieodparte wrażenie, że widzę w lustrze moją szaloną matkę. Tak czułam się znacznie lepiej. Wróciłam do stołu, by

dokończyć kawę i ciasteczka, ale straciłam na nie ochotę. Z każdą chwilą ogarniał mnie większy niepokój. Serce trzepotało mi w piersiach coraz szybciej.

„A jeśli Gustavo już nie będzie chciał mnie widzieć?” – myślałam. „A jeśli jednak przyjdzie, jak się mam zachować? Co mu powiedzieć? Właściwie wcale go nie znam”. Byłam bliska ataku serca, gdy usłyszałam ciężkie kroki żołnierskich butów na schodach.

ROZDZIAŁ XXIII



Gustavo stanął w progu. Milczał, wpatrując się w moją twarz. Ja też wbiłam w niego wzrok. Badaliśmy się nawzajem, ostrożnie szukając oznak aprobaty. Wydał mi się jeszcze piękniejszy niż kilka lat temu. Fala ciepła spłynęła od serca w kierunku łona. Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Wszystko wydało się nagle takie jasne. Przywiodła mnie tutaj miłość, niechciana, odrzucana, przyduszana, już prawie martwa, ale jeszcze żywa. Łzy wzruszenia dosłownie wytrysnęły mi z oczu. Widząc to, Gustavo doskoczył do mnie, ujął moją twarz dłońmi i zaczął spijać każdą kroplę spływającą po moich policzkach. Zamknęłam oczy. Bałam się, że się obudzę. Jego mięsiste usta przywarły do moich z taką intensywnością, że musiałam szukać oparcia w stojącym za mną stole. Kąsał mnie, lizał, smakował, jakbym była wyczekiwany deserem, którym należy się delectować. Jedną ręką przytrzymał mnie w talii, drugą zanurzył w moich włosach i delikatnie pieścił mi kark i szyję. Byłam bliska omdlenia z nieznanej dotąd rozkoszy. Gotowa na wszystko. Całkiem mu oddana. Gustavo oderwał się jednak ode mnie. Odsunął się na krok i głęboko odetchnął, jakby wraz z wydychanym powietrzem chciał wyrzucić z siebie pożądanie.

– Evo... Evo... – wzdychał kolejny i kolejny raz.

Nie chciałam, by przerywał pieśczoły. To nie był czas na rozmowy. Jakieś nieopatrzne słowo mogłoby zniszczyć tę chwilę. Po co było rozmawiać, po co coś wyjaśniać, ustalać, dogadywać, gmatwać. Po raz pierwszy cieszyłam się byciem tu i teraz. Bez cienia przeszłości i bez nadziei na przyszłość. Przyciągnęłam go do siebie z determinacją. Tym razem ja wessałam się w jego usta, rozkoszując się słodkawo gorzkim smakiem cygara. Z lubością pocierałam wargami jego szorstką od ostrego zarostu brodę. Scałowywałam z szyi gorzką wodę kolońską, którą musiał skropić się przed spotkaniem ze mną. Rozpięłam mu

koszulę i muskałam włosami jego tors. Nasze ciała dojrzały do tego, by się połączyć.

Gustavo wziął mnie na ręce. Był wielki i silny. Pchnął nogą drzwi sąsiedniego pokoju i po chwili leżałam na łóżku. Zdejmował ze mnie ubranie, obcałowując każdą obnażoną część mojego ciała. Widziałam prawdziwy zachwyt w jego oczach. Po raz pierwszy czułam się absolutnie piękna. Głośno wzdychałam z rozkoszy, choć stanowiło to zaledwie preludium do trzęsienia ziemi, które miało potem nastąpić. Rozpalił mnie do czerwoności, rozchylił, otworzył, obezwładnił. Niczego tak nie pragnęłam, jak tego, by mnie zamknął, dopełnił. Zrzucił z siebie koszulę i spodnie. Miałam wrażenie, że stoi przede mną grecki posąg. Jego muskularne ciało było stworzone do miłości. Położył się na mnie, prawie zakrywając mnie swoim ciałem. Chciał być delikatny, ale jego ogrom we mnie dostarczał mi doznań na granicy ekstazy i bólu. Nie wiem, czy był tak wprawnym kochankiem, czy ja tak bardzo go pragnęłam, bo jęcząc i wijąc się konwulsyjnie, osiągnęłam głębię mojej fizyczności. Wkrótce potem dołączył do mnie. Leżeliśmy wtuleni w siebie, wyczerpani, mokrzy i śliscy. Nie mieściło mi się w głowie, że mam w sobie taką moc. Czułam się jak gorejący wulkan, który dotąd wydawał się zwykłą, martwą górą. Nie mogłam dać mu długo odpocząć, bo chciałam jeszcze i jeszcze. Dosiadłam go i ujeżdżałam dotąd, dopóki znów nie poczułam wewnętrznego wybuchu. Dopiero wtedy padłam bez sił i zasnęłam ufnie wtulona w jego ramiona.

Musiałam długo spać, bo kiedy uniosłam powieki, zalała je ciemność. Leżał obok mnie. Nie spał. Wiedział, że już się przebudziłam, bo podniósł moją dłoń do swoich ust i delikatnie ją pocałował.

– Zostaniesz ze mną? – spytał.

– Tak – odpowiedź sama wypłynęła mi z ust.

Nigdy nie czułam się bardziej na miejscu. Wszystko stało się nagle takie proste i oczywiste. Nie targwały mną żadne sprzeczności. Nie potrzebowałam nic wyjaśniać, nie chciałam wracać do przeszłości. Otwierałam drzwi do innej rzeczywistości. Pławiłam się w tym uczuciu pewności, które było równie niesamowite, jak ekstaza, którą osiągnęłam kilka godzin wcześniej. Sprawca tych doznań przygarnął mnie znów do siebie i zamknął w potężnych ramionach, jakby się bał, że gdzieś mu

ucieknę. Nasza nagość była naturalna, chciałam go czuć każdą komórką mojego ciała. Chyba tak musieli się czuć Adam i Ewa w rajcu, zanim skosztowali zakazanego owocu.

Z łóżka wyrwał nas dopiero głód, który poprowadził do kuchni Barbary. Jak wygłodniałe psy zaczęliśmy przeszukiwać jej kredens. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że nasza gospodyni wciąż nie wróciła.

– Boże, zupełnie zapomniałam o Barbarze – rzuciłam się po ubranie.

– Nie bój się, jest teraz u mnie. – Gustavo chwycił mnie za rękę. – To mądra kobieta. Wie, że dopóki ja nie wrócę, nie powinna się tu pojawiać. Nie ubieraj się, proszę. Chcę na ciebie patrzeć i patrzeć.

Albo ta noc była wyjątkowo ciepła, albo mnie grzała miłość do Gustavo, bo nie potrzebowałam żadnego okrycia. Nie mogłam uniknąć porównania tej sytuacji z życiem intymnym z Federico. Właściwie oboje zrzucaliśmy tylko koszule na czas zbliżenia, chwilę potem nerwowo ich poszukując. Nigdy, nawet gdy przez krótki czas mieszkaliśmy sami, nie paradowaliśmy nadzy po domu, uważając to za rodzaj wyuzdania. Nie lubiłam swojej bladej skóry, zazdrościłam Eduardzie i moim siostrom ich oliwkowego odcienia karnacji. Dopiero w oczach Gustavo ujrzałam zachwyt, który w przedziwny sposób w jeden wieczór wyleczył mnie z lat kompleksów. Moje płomienne włosy i przezroczyta niemal skóra jawiły się jako wyrafinowana kompozycja, można by rzec, dzieło sztuki. Nie chciałam być inna. Czułam się absolutnie doskonała.

Atletyczne ciało Gustavo fascynowało mnie już przy pierwszym spotkaniu. Wtedy mogłam sobie tylko wyobrażać, co kryje biała koszula i ciemnozielone spodnie. Lata w wojsku wyrzeźbiły jego mięśnie i ukształtowały dumną postawę, które teraz prezentował z zadziwiającą swobodą.

Kiedy pochłonęliśmy resztki chleba i sera, które popiliśmy czerwonym winem, powróciliśmy do łóżka na kolejną porcję pieścizot.

– Zamieszkasz u mnie – powiedział nagle Gustavo tonem nie znoszącym sprzeciwu.

– Wciąż jestem jeszcze żoną Federico – zauważyłam przytomnie.

– To trzeba szybko załatwić, chociaż... dla mnie to nie ma żadnego

znaczenia.

– Może jednak powinniśmy zamieszkać na razie osobno. Jesteś kapitanem, a nie jakimś tam pułkownikiem – przekomarzałam się.

– Od niedawna jestem generałem. – Uśmiechnął się.

– O Boże! W takim razie wracam do Leon.

– Nie ma mowy! Już cię nie wypuszczę. – Pocałował mnie w czubek nosa. – Chcę cię mieć w dzień i w nocy. Przeprowadzimy szybko rozwód.

– Muszę znaleźć tu pracę.

– To już zadanie dla Barbary. Nauczyciele wszędzie są potrzebni.

– Czy to nie dziwne? Jesteśmy ze sobą od kilku godzin, a ty już układasz mi przyszłość – śmiałam się. – Dlaczego ci na to pozwalałam?

– Nie tobie, tylko nam. Zresztą, nie masz innego wyboru, jesteśmy na siebie skazani. Wiedziałem to, od kiedy zobaczyłem cię w rotundzie.

– Uratowałeś Federico. – Na moje słowa twarz Gustavo jakby stężała.

– Zrobiłem to tylko dla ciebie.

Wczesnym rankiem Gustavo zabrał mnie do siebie. Mieszkał teraz w przestronnym, pięciopokojowym mieszkaniu, które mieściło się na piętrze imponującej kamienicy w kolorze ochry, finezyjnie ozdobionej białymi stiukami wokół drzwi i okien. Na parterze znajdowały się pomieszczenia służbowe. Brama wjazdowa, pilnowana przez strażnika, prowadziła do słonecznego patio, którego ozdobą była stojąca pośrodku kamienna fontanna i okalające ją miniaturowe palmy. Domyślałam się, że ten piękny, kolonialny dom był zawłaszczony od jakiegoś konserwatysty. Istotnie, Gustavo przyznał, że przed przewrotem mieszkał tu senator Serrano, który jako jeden z pierwszych rządzących uciekł po zamachu stanu do Hondurasu. Okna jadalni i salonu wychodziły na ulicę, a gabinetu i dwóch sypialni na patio. Najwyraźniej senator Serrano opuszczał Managuę w pośpiechu, bo pozostawił bogato rzeźbione hebanowe meble, miękkie, skórzane sofy, puszyste dywany, a nawet wielkie obrazy w złotych ramach. Dotarło wreszcie do mnie, jak ważny musiał być Gustavo, skoro zamieszkał w takim miejscu.

ROZDZIAŁ XXIV



Tak oto zostałam kochanką wroga mojego męża. Należeliśmy do różnych światów. Dzielilo nas wszystko. Jednak czułam, że wreszcie dostaję od życia to, co mi się zawsze należało. Czułość. Uwielbienie. Uwagę. Mój mężczyzna, szorstki i zasadniczy dla podwładnych, mnie traktował z wyjątkową atencją. Łapczywie spijałam ten nektar miłości, choć jego słodycz nie mogła całkiem zabić posmaku wstydu i skrupułów.

Nasze noce były poezją, za dnia szaleńczo tęskniliśmy za sobą. Długo pracował, ale kiedy już wracał do domu, nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Wiedziałem, że kiedyś będziesz moja. – Obejmował mnie władczo.

Nie przeszkadzało mi, że stałam się jego trofeum w rozgrywkach z Federico. Dodam, międzynarodowych rozgrywkach. Gustavo odziedziczył po ojcu krew Portugalczyka, a Federico był w połowie Hiszpanem. Te dwie sąsiadujące ze sobą nacje od wieków walczyły o wpływy na nowo odkrytych lądach. Zatem nie chodziło tylko o lokalny konflikt pomiędzy zazartym liberałem i zaciętrzewionym konserwatystą.

Po latach letniego związku byłam spragniona nienasyceń i żaru. Do dziś wspominam ogromne łóżko z baldachimem, jakie odziedziczyliśmy po senatorze Serrano. Skrzypiało okrutnie. Nie ograniczaliśmy się jedynie do alkowy.

Kochaliśmy się wszędzie. Gdzie i kiedy tylko naszała nas ochota. W upalne noce uwielbialiśmy spać nago. Czas spędzany wspólnie upływał nam jednak nie tylko na rozkoszach cielesnych. Po kolacji zwykle godzinami rozmawialiśmy, racząc się kokosowym rumem. Każdego dnia odkrywaliśmy przed sobą cząstkę swojej tajemnicy z ufnością, że nic, co o sobie wyjawimy, nie zdoła nas rozdzielić.

Pokazałam mu zdjęcie Julie.

– Jesteś do niej bardzo podobna – stwierdził pewnie.

– Tak myślisz? – To porównanie sprawiło mi przyjemność.

– Popatrz tylko: włosy, usta, masz takie same drobne usta, no i oczy, duże, dziecięce.

– Cóż, dopiero na cmentarzu w Leon znalazłam brakującą część mnie – westchnęłam.

– W Leon? Tam też jest grób moich rodziców. Zmarli, gdy miałem piętnaście lat. Matka nagle, od zakażenia, w miesiąc później ojciec wpadł pod powóz i zginął na miejscu. Zawsze był roztargniony, ale po śmierci matki chodził jak w malignie. Barbara miała wtedy dziesięć lat. Poszła na wychowanie do wujostwa. Ja uczyłem się w szkole z internatem, więc tam pozostałem. Na szczęście, rodzice opłacili naukę z góry. Kiedy skończyłem szkołę, chciałem zostać prawnikiem. To było marzenie mojego ojca, który pracował jako sekretarz u mecenasa Victora Fuenteza. Z pieniędzy, które ojciec zdołał odłożyć na moje studia, nie zostało ani jednego peso. Po jego śmierci wszystko przepuścił wuj, który był hazardzistą. Wtedy zatrudniłem się w kancelarii adwokackiej Fuenteza. Robiłem właściwie to samo, co wcześniej mój ojciec. Starczało mi na utrzymanie, ale o studiowaniu nie było mowy. Mecenas musiał być ze mnie zadowolony, coraz częściej pisałem za niego pisma procesowe. Po roku złożył mi niesamowitą ofertę. Zobowiązał się opłacić studia, jeśli tylko przez kilka następnych lat pracowałbym dla niego. Nie mogłem z tego nie skorzystać...

– Jak spłaciłeś dług, skoro cię wyrzucili z uczelni?

– Mecenas wstawiał się za mną, ale to nie zdało się na wiele. Ktoś z większymi wpływami naciskał na rektora.

– Fernando Barroso?

– Widzę, że sporo już wiesz. – Gustavo uśmiechnął się pod nosem.

– Tak, twój mąż i teść odegrali znaczącą rolę w moim życiu. Mecenas Fuentez nie żądał ode mnie zwrotu pieniędzy, ale i tak, kiedy tylko wstąpiłem do zawodowej armii, honorowo spłaciłem dług.

– A co było z Barbarą?

– Barbara zamieszkała ze mną. Skończyła kurs, po którym mogła uczyć. Szkoła to jej całe życie. Prawdziwa proletariuszka. Żyje jak

zakonnica, choć do kościoła nie chodzi.

Gustavo także omijał kościół szerokim łukiem. Był zdeklarowanym antyklerykałem. Za wszystkie nieszczęścia Nikaragui obarczał, jak mawiał, armię czarnych habitów. Mogłam to zrozumieć, w końcu w politycznych rozgrywkach Kościół stał murem po stronie konserwatystów, ale trudno mi było przyjąć, że jak twierdził Gustavo – Bóg jest pożywką, którą karmią się słabe jednostki. On dotąd troski Boga nie doświadczył. Nauczył się liczyć sam na siebie i w zwracaniu się do kogoś po pomoc widział przejaw lęku i słabości.

– Moją boginią jest Nikaragua – zwykł obrazoburczo żartować.

Z drugiej strony, fascynowała mnie jego siła, pewność, że zawsze da sobie radę. Był w tym tak różny od Federico. Wydawało się, że z kimś takim, jak on, można było śmiało podnieść rękawicę, jaką rzucało życie.

Byłam jednak rozdarta. Choć zawsze daleka od dewocji, trudno znosiłam życie religijnego banity. Nawet teraz, gdy nurzałam się w grzechu nieczystości. Nie chodziłam jak kiedyś na niedzielne nabożeństwa tylko dlatego, że nie miałam odwagi wstąpić do kościoła. Kiedy rozstałam się z Federico, nie odczuwałam lęku przed Bogiem. Sądziłam, że mnie rozumie. Kiedy jednak weszłam do łóżka Gustavo i na dodatek było mi w nim niesamowicie dobrze, nie łudziłam się, że to się może Bogu podobać. Dręczył mnie niepokój dziecka, które kradnąc w sadzie owoce, nie potrafi do końca rozkoszować się ich smakiem z powodu strachu przed batem ogrodnika. A może właśnie tak czuła się Ewa, zrywając z drzewa rajske jabłko. Jedyne różaniec od Matyldy, który zawsze nosiłam przy sobie jak Indianie totem, przypominał mi o mojej religijnej tożsamości.

Nie potrafiłam jednak zrezygnować z tego, co dawał mi Gustavo, nawet za cenę wiecznego potępienia.

ROZDZIAŁ XXV



Wydawało się, że Nikaragua osiągnęła pewną stabilizację, ale tylko głupiec mógł uwierzyć, że konserwatyści pogodzili się z przegraną. Zwłaszcza, gdy Zelaya nie ukrywał dyktatorskich zapędów – nie znosił najmniejszej krytyki, a rywali traktował brutalnie. Krewki caudillo wygrywał kolejne wybory, choć wszyscy wiedzieli, w jaki sposób. Co gorsza, mocno naraził się Stanom Zjednoczonym, nie stosując się do pokojowego paktu, jaki miał gwarantować stabilizację Ameryki Środkowej. Krążyły pogłoski, że byli kongresmeni zdołali nakłonić mocnego sojusznika do pomocy w przejęciu władzy w zamian za odzyskanie Wschodniego Wybrzeża. Znowu nie przejęłam się tym bardzo. W Nikaragui życie polityczne było zawsze burzliwe, ale Zelayi jak dotąd nie spadł włos z głowy.

Dzięki Gustavo czułam się całkiem dobrze zorientowana w polityce, nie miałam za to pojęcia, co dzieje się u mojej rodziny w Nandaime. Napisałam list do ojca, w którym powiadomiłam go o zamieszkaniu w Managui, nie przyznając się jednak w jakich okolicznościach. Nie wierzyłam, że nic do niego nie dotarło, ale postanowiłam milczeć, dopóki sam mnie o to nie zapyta. Ojciec dość szybko mi odpisał. Isabel urodziła kolejną córkę, a Paula dopiero szykowała się do ślubu. Na plony nie można było narzekać, zakup ziemi w San Marco okazał się interesem życia, kawa pozyskiwana stamtąd sprzedawała się świetnie, tylko Javier spadł z konia i złamał sobie nogę. Ojciec musiał zatrudnić innego zarządcę, którego polecił mu teść Isabel. Słowem, jakoś sobie radzili.

Długo nie docierały do mnie natomiast żadne wiadomości o Federico. Ojciec także nic o nim nie wspominał. Przeszło rok temu Gustavo wysłał do kancelarii Barroso papiery rozwodowe. Za ich podpisanie obiecał Federico odzyskanie prawa do wykonywania zawodu

mecenasa. Miesiąc później nadeszła przesyłka z Granady zawierająca jedynie strzępy dokumentów, bez słowa wyjaśnienia.

Dopiero Isabel zdecydowała się podjąć drażliwy temat. Moja rodzina wiedziała o mnie i Gustavo. Napisała do mnie krótki list:

Jeżeli nie wspominasz o Gustavo z powodu jakiegoś wstydu, to chcę cię z niego rozgrzeszyć. Twój mąż też nie jest święty. W Granadzie huczy od plotek. Federico zmienia kochanki jak Laura rękawiczki. Twoi teściowie ze wstydu zaszyli się gdzieś na prowincji. O tobie już nikt nie wspomina. Zapomnij o nim i żyj spokojnie.

Jeśli Federico tak cieszył się życiem, jak donosiła moja siostra, czemu nie zgodził się na rozwód? Ze mną za to działo się coś dziwnego. Byłam niespokojna, rozedrgana. Niezwyczajnie zmęczona. Oddychałam krótko i szybko, a po kawie serce chciało wyskoczyć mi z piersi. Miałam koszmarne sny, w których odwiedziła mnie nawet Laura Barroso. Najpierw sądziłam, że po prostu udzielił mi się nastrój Gustavo, którego twarz z dnia na dzień posępniała coraz bardziej. Cóż, nie było dobrze. Historia zatoczyła koło. Pojawił się kolejny generał, który otwarcie krytykował prezydenta, przy aplauzie coraz szerszej rzeszy polityków, nawet tych liberalnych. Juan Estrada wyglądał na pierwszego poważnego przeciwnika Zelayi, który, podobnie jak on sam przed laty, miał za sobą część armii. Jakby tego było mało, wśród pięciuset rebeliantów, których stracono z rozkazu prezydenta, znalazło się dwóch podejrzanych o szpiegostwo Amerykanów.

– Zapłacimy za to. – Gustavo przeczuwał, że wszystko wymyka się spod kontroli. Istotnie, Stany Zjednoczone zerwały z Nikaraguą kontakty dyplomatyczne. Mówiono, że marines są już jedną nogą na bojowym okręcie. Kolejnym krokiem mogła być tylko wojna.

Gustavo nie spał po nocach. Leżał przy mnie, przewracając się z boku na bok albo przesiadywał w swoim gabinecie, dopóki nie osiągnął granicy zmęczenia zwalającego go z nóg. Mało mówił. Bardzo mało. Wiedziałam, że nie chce mnie martwić, ale jego milczenie, tak dalekie od naszych wcześniejszych wielogodzinnych rozmów, było dla mnie złowieszcze. Straciłam apetyt. Bolał mnie brzuch. Bolało mnie całe

ciało. Czulałam się trochę tak, jak przed ospą. Pewnego ranka omal nie zemdlałam i zamiast iść do szkoły, musiałam pozostać w domu, w łóżku. Zaczęłam się niepokoić, bo w tej sytuacji ostatnią pożądaną rzeczą byłaby moja choroba. Gustavo nie mógł zostać przy mnie, ale zobowiązał Rosę do opieki nade mną aż do jego powrotu. Stara gospodyni przyniosła mi śniadanie do sypialni.

– Dziękuję, ale jedzenie staje mi w gardle. – Spojrzałam beznamiętnie na zarumienione na złoty kolor banany. – A po kawie mam palpacje. – Głowa ciężko opadła mi na poduszkę. – Przepraszam cię, Rosa.

– Wcale się nie gniewam. Zgłodniejesz, to zjesz. – Siwa głowa pokiwała ze zrozumieniem.

– Coś mi dolega... Nic konkretnego, tak mi jakoś... nijak – tłumaczyłam się.

– Na mój nos to nie choroba. – Rosa uśmiechnęła się tajemniczo.

– Obyś miała rację. Może to tylko melancholia? Powinnam się wziąć w garść, a nie dokładać Gustavo zmartwień. – Zawstydziałam się swoim niedomaganiem.

– Ja tam myślę co innego.

Spojrzałam na nią pytająco.

– Ciemne plamy na policzkach, guziki strzelają na piersiach, apetytu brak. A krwawienia co miesiąc są? – Rosa diagnozowała mnie niczym prawdziwy medyk.

– Rosa! Co ty sugerujesz? – obruszyłam się.

– Krwawienia są? – nie odpuszczała.

– No... Od dwóch miesięcy nie ma, ale to ze starości. Ja mam już prawie trzydzieści sześć lat!

– Moja ciotka była jeszcze starsza, jak urodziła ostatnią córkę. Tyle, że przy porodzie zmarła. No, ale urodziła.

– Nie bądź śmieszna! Ja nie mogę mieć dzieci! Przez ponad dziesięć lat małżeństwa nie zaszłam w ciążę. To niemożliwe.

– Cuda się zdarzają. – Rosa wzruszyła ramionami. – A na tym się znam lepiej niż niejeden doktor. Urodziłam trzech synów i dwie córki – dodała z dumą. – Znasz doktora, który urodził choć jedno dziecko?

Słowa gospodyni nie dawały mi spokoju. Byłam przecież

bezpłodna. „Cięża? Niemożliwe. To jakby skazańcowi na szafocie odrosła głowa. Ale ta pewność Rosy... To jakiś obłąd” – biłam się z własnymi myślami. „Jeśli to cięża, to wyłącznie urojona. Jak u mojej Luny”.

Postanowiłam nie pieścić się ze sobą. Następnego dnia, mimo protestu Gustavo, poszłam do pracy. Po powrocie do domu zajęłam się porządkowaniem garderoby, byle tylko odwrócić uwagę od swoich dolegliwości.

Szklana tafla lustra na drzwiach szafy przyciągała mnie jak magnes. W końcu stanęłam przed nią, przyglądając się z uwagą swojemu odbiciu. Istotnie, porcelanowa skóra nieco ściemniała, a na policzkach pojawiły się nawet nieco ciemniejsze plamy, góra od sukienki aż pieszcząca, a i poniżej pasa wydawałam się pełniejsza. Zrzuciłam z siebie ubranie. Moje piersi były nabrzmiące, na ich szczycie dumnie przeżyły się ciemne niczym winogrona brodawki. Moje łono, krągłe i wypukłe, dopraszało się dotyku. Zaczęłam je gładzić z miłością i ostrożnością. Podobałam się sobie, byłam taka...

– Soczysta. Jesteś taka soczysta. – Gustavo stanął w drzwiach sypialni i dosłownie pożerał mnie wzrokiem. Byłam tak zajęta sobą, że nie zauważyłam jego obecności, nie wiem, jak długo mnie obserwował. Podszedł do mnie i przeniósł mnie na łóżko. Pożądanie buzowało w jego lędźwiach i chciał je gwałtownie rozładować. Dość długo się nie kochaliśmy, bo ostatnio pracował do późna.

– Poczekaj... – wstrzymałam go. Coś lub ktoś mówił mi, że lepiej uważać. – Nie czuję się najlepiej, bądź delikatny.

– Kiedy mam ochotę cię zjeść – jęknął.

– To się mną delektuj.

Mimo jego delikatności, wstrzymywałam oddech przy każdym ruchu. A jeśli Rosa ma rację? Przeżyłam się, chcąc stworzyć w miednicy pancierz chroniący jej zawartość. Gustavo wyczuł moje napięcie.

– Co się dzieje, Evo? Nie masz ochoty, coś cię boli? Nie musimy się kochać. Powiedz. Nie jestem zwierzęciem.

Popatrzyłam mu prosto w oczy. Kochałam go całym sercem.

Pragnęłam go całym sercem. Nie potrafiłam mieć przed nim tajemnic.

– Rosa powiedziała, że jestem w ciąży. – Na te słowa jego głowa

oderwała się od mojej piersi.

– Przecież nie możesz mieć dzieci.

– No tak. Wspomniałam jej tylko, jak się ostatnio czuję.

– I skąd Rosa może to wiedzieć?

– Mówi, że ma doświadczenie. Że to nie choroba, tylko ciąża. Że tak wyglądam. Wiem, to niemożliwe, ale... czuję się jakoś tak dziwnie – zaczęłam się tłumaczyć, nie widząc cienia ekscytacji ze strony Gustavo.

– Skoro tak, to musi cię zbadać lekarz. To trzeba wyjaśnić – stwierdził rzeczowo.

– Nie martw się, to na pewno tylko jakaś przejściowa niedyspozycja. – Byłam zła na swój długi język.

– Evo – Gustavo był nadzwyczaj poważny. – Nie dziw się, że jestem zaskoczony. Utwierdziłaś mnie w przekonaniu, że to się nigdy nie stanie. Poza tym, wiesz, co teraz się dzieje. Trudno przewidzieć, jak długo utrzyma się rząd. Nie wiem, co będzie dalej. To skrajnie nieodpowiedzialne płodzić teraz dziecko – zakończył dobitnie.

Wiem, że miał rację. Wiem, że był zaskoczony. Wiem też, że mnie kochał. A jednak ogarnął mnie smutek, że przyjął to z taką rezerwą. Na jego twarzy nawet nie przemknął uśmiech. Moje wyznanie definitywnie ugasiło jego pożądanie. Ubrał się tak samo szybko, jak szybko zerwał z siebie spodnie i koszulę. Słyszałam huk zamykanych z rozmachem drzwi. Zostałam w łóżku. Nie miałam siły wstać. Byłam przygnębiona zachowaniem Gustavo. Prawie zaczęłam się modlić, by moje niedomaganie okazało się raczej chorobą niż stanem błogosławionym. Zaczęło mnie mdlić, założyłam koszulę i podążyłam w stronę kuchni. Nie zdążyłam tam dotrzeć. Złość, rozgoryczenie i bezbrzeżny smutek wylały się na atlasowy dywan w salonie. Chwilową ulgę przyniósł mi ziołowy napar, który sporządziła Rosa. Potem jeszcze kilka razy nawiedziły mnie torsje. Rosa zaprowadziła mnie do sypialni i siedziała przy łóżku, póki nie zasnęłam. Spoglądała na mnie z niemal matczyną troską. Powiedziałam jej, jak Gustavo przyjął wiadomość o domniemanej ciąży.

– Boi się. Jak każdy mężczyzna. – Machnęła niedbale ręką. – Ale ty się ciesz. Dostałaś dar od Boga. I niech ci nic głupiego nie przychodzi do głowy. – Pogroziła palcem.

Mówiła z taką pewnością, że właściwie nie potrzebowałam już żadnego badania lekarskiego. Gustavo chciał jednak poznać opinię medyka z dyplomem i dwie godziny później wrócił do domu wraz z doktorem Martinezem. Daniel na mój widok uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Witaj, Evo. Zdradź tajemnicę – co robisz, że po tylu latach jesteś jeszcze piękniejsza. To wbrew naturze – komplementowałam mnie od progu.

– Dzień dobry, doktorze.

– Daniel. – Pocałował mnie w rękę. – No i co ten Oliveira znów nabroił, że mnie do ciebie wzywa?

Gustavo wcale nie miał ochoty na żarty, był spięty i czekał na ostateczną diagnozę zaufanego przyjaciela.

– Zbadaj Evę, a potem pogawędzimy – stwierdził zasadniczo.

Już po kilku minutach Daniel opuścił moją sypialnię rozpromieniony.

– No, bracie. Gratulacje. Wreszcie ktoś cię usidlił. – Poklepał Gustavo po plecach. – Wszystkie objawy wskazują, że ród de Oliveira nie zaginie.

– Wspaniale – powiedział Gustavo z grobową miną. – Musimy to uczcić – zaprosił doktora do salonu. Potem spojrzał na mnie. Cała się trzęsłam. Zaciskałam oczy i gardło, by nie wydrzeć z siebie szłochu zawiedzionej kobiety. Podszedł do mnie, wziął mnie na ręce i oniemiałą zaniósł na salonową kanapę.

– No, od dzisiaj już nie powinnaś schodzić z jego rąk – doktor roześmiał się na nasz widok.

Po wyjściu Martineza Gustavo wysupłał jakieś zawiniątko z kieszeni spodni. W szkarłatnym aksamicie lśnił złoty pierścionek z rubinem. Bez słowa włożył go na mój serdeczny palec prawej ręki, na którym jeszcze nie tak dawno nosiłam obrączkę. Potem przygarnął mnie do siebie i mocno przytulił. Długo wstrzymywane łzy skapywały po moich policzkach. Ta huśtawka nastrojów ze skrajnej rozpaczy, po euforyczne szczęście, bardzo mnie wyczerpała. Chciałam zasnąć w jego ramionach i obudzić się już w normalnych, spokojnych czasach, kiedy dziecko i jego rodzice mogą żyć bezpiecznie.

– To pierścionek mojej matki – powiedział Gustavo, kiedy się uspokoiłam. – Uratowaną przez ciotkę biżuterię przechowywała Barbara, ale gdy jej powiedziałem, że być może spodziewasz się dziecka, natychmiast mi go dała.

– Wybacz mi. – Poglądził mnie po policzku. – Nie tak powinienem przyjąć tę wiadomość. Nie widziałem się nigdy w roli męża, a już zupełnie nie pragnąłem być ojcem. Dopóki nie poznałem ciebie. Poczułem obłądną zazdrość, że Federico ma taką kobietę tylko dla siebie. To niesamowite, że teraz jesteś ze mną. A jeszcze bardziej niesamowite, że nie jemu, a mnie urodzisz dziecko. Jestem trochę... wystraszony. Boję się, czy uda mi się chronić ciebie i dziecko, ale w głębi serca czuję, że nic lepszego nie mogło mi się przydarzyć.

ROZDZIAŁ XXVI



Popołudniowe słońce przyjemnie ogrzewało moją twarz, przedzierając się przez gęstą koronę dorodnej palmy. Nic nie robiłam sobie z ostrzeżeń Rosy, że to źle wpływa na moją zbyt delikatną na ten klimat skórę. Ja i moje dziecko potrzebowaliśmy ciepła i światła. Popijałam na przemian wykrzywającą usta lemoniadę przyrządzoną z podwójnej ilości cytryn i obrzydliwie słodkie czekoladowe pinol. Gładziłam łagodnie zaokrąglający się z dnia na dzień brzuch. Wylegiwanie się na sofie, którą Gustavo wystawił dla mnie na patio, należało teraz do poobiedniego rytuału. Nigdy nie lubiłam leżeć w ciągu dnia. Nawet w upalne godziny sjesty, gdy wszystkich wkoło nogi same niosły do sypialni, znajdowałam sobie jakieś zajęcie. Teraz leniuchowałam za wszystkie czasy. Miałam zresztą ku temu sprzymierzeńców, Gustavo i Rosa rozpieszczali mnie jak nigdy w życiu. Miałam tylko jeść, pić i odpoczywać. Z początku czułam się tym skępowana, nie przywykłam do tak królewskiego traktowania. Tłumaczyłam sobie, że to wyłącznie dla dobra dziecka, co ostatecznie otworzyło mnie na gesty troski i miłości z ich strony.

Dolegliwości, które gnębiły mnie na początku ciąży, z czasem minęły jak ręką odjął i wreszcie mogłam się w pełni cieszyć błogosławionym stanem. Osiągnęłam pełnię kobiecości. Byłam gładka, okrągła i nadzwyczaj pobudzona. Wyostrzyły się wszystkie moje zmysły. Potrafiłam rozpoznać wszystkie przyprawy, których Rosa używała do przygotowania obiadu. Miałam także niepohamowany apetyt na miłość, na szczęście Gustavo okazał się w tej kwestii bardziej roztropny ode mnie.

Nie od razu towarzyszyła mi taka euforia. Przez trzy kolejne miesiące od potwierdzenia diagnozy o ciąży przychodziły do mnie nocą czarne myśli, skradały się do mojego łóżka niczym cienie zmarłych

i szeptały, że dziecko zrodzone z grzechu, poczęte przez takiego bezbożnika jak Gustavo, nie może urodzić się zdrowe. Kiedyś przysniło mi się małe monstrum bez rączek, z jednym okiem na środku czoła, innym razem majaczyłam, że noszę pod sercem martwe dziecko. Po takich koszmarach budziłam się zrana potem. Gładziłam brzuch i wyczekiwałam ruchu żyjącej w nim istoty. Gdy mój strach udzielał się maleństwu, wierciło się niespokojnie. Oddychałam wtedy z ulgą. Gorzej, gdy spało, mając w nosie rozhisteryzowaną przyszłą matkę. Wówczas wstawałam z łóżka i chodziłam po sypialni tak długo, aż maleństwo dało jakiś znak życia.

Pomocy, jak zwykle, szukałam u Rosy. W jej żyłach płynęły jednym strumieniem wierzenia indiańskich przodków i religia, która przyплыnęła statkami z Europy. Nie wiem, jak ona to godziła, ale owa mieszanka była dużo lepsza od jej podstawowych składników. Kochała i znała ziemię, kochała ludzi za to, kim są, a nie w co wierzą, z łaskawością patrzyła na ludzkie błędy. Najbardziej rozczerowało mnie, jak dopatrzyła się w Jezusie prawdziwie indiańskiej duszy.

– Był taki prawy, mądry, odważny, władał naturą, ale i tak potraktowali go jak Indianina. – Kiwała głową, jakby wypowiadała jakiś dogmat.

Nie musiała wybierać, czy odmawiać litanie, czy mamrotać indiańskie zaklęcia, w jej sercu wszystko można było pogodzić. Była równie pobożna, co magiczna. Wierzyła w duchy i ciągle mruczała coś pod nosem, jakby z kimś rozmawiała. Kiedyś pomyślałam nawet, że musiała się porozumieć z żyjącą w zaświatach Matyldą i teraz dbają o mnie razem.

– Nie ma ludzi złych, są tylko ślepi. Jak patrzysz na nich, jakby oczu nie mieli, nie dziwisz się, że błądzą – filozofowała, zalewając wodą nasiona kukurydzy na kolejny dzban chichy.

Kiedy opowiedziałam jej o swoich snach, przytuliła mnie mocno do przesiąkniętej czosnkiem i cebulą piersi.

– Jak znam Jezusa, nie ukarałby takiego maleństwa za błędy matki. Zresztą, co to za błędy. Nie miałaś dziecka z Federico, widać nie było to po myśli Pana Boga. A z Gustavo masz. To znak. – Spojrzała mi prosto w oczy. – No, a Gustavo nie mówi przecież, że nie wierzy w Boga.

W tym kraju wszyscy wierzą. On się tylko na Pana Boga pogniewał – uspokoiła mnie.

Nie wiem, czy uleczyły mnie te wypowiedziane z druzgoczącą pewnością słowa, czy napój, który zostawiała mi co wieczór na szafce nocnej, ale mary nocne odeszły ode mnie na zawsze.

Odtąd żyłam za porośniętymi amarantową bugenwillą i dzikim winem murami, jak to dziecko w moim łonie – ślepa i głucha na zło, które zewsząd napierało na nasz dom. Gustavo dokładał wszelkich starań, by nie docierały do mnie żadne niepokojące wiadomości, ale zmartwienie wryło lwie bruzdy na jego wysokim czole. Zbywał mnie, gdy pytałam, co dzieje się w rządzie. Nie przynosił żadnych gazet. Pocieszał, że wszystko jest na dobrej drodze, ale i tak domyślałam się, że robiło się coraz goręcej. Z dnia na dzień późniejsze powroty Gustavo. Niemrawy uśmiech Barbary, z którą Gustavo zamykał się przede mną w gabinecie. Strapiona twarz Rosy lub przypalona fasola. Wrzawa uliczna, na której tle wybrzmiewały przekleństwa pod adresem prezydenta i jego popleczników. Coraz więcej strażników pod bramą naszego domu. Wreszcie zdecydowany zakaz doktora, bym nie opuszczała tej enklawy spokoju i miłości, rzekomo wyłącznie z troski o to, żeby nie wywołać przedwczesnego porodu. Wszystko to nie wróżyło niczego dobrego.

Nikaragua znów pogrążyła się w chaosie. Nawet zbliżające się święta nie zdołały wyciszyć rozpalonych nienawiścią serc. Coroczne huczne obchody Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny, które tradycyjnie otwierały radosny czas bożonarodzeniowy, w roku 1909 zapisały się jako bardzo skromne, żeby nie powiedzieć smutne. Ludzie bali się wychodzić na ulice, świętowanie zamknęło się w murach kościołów.

Miałam coraz mniej Gustavo dla siebie. Czasem nie wracał na noc, a gdy wracał, nie od razu przychodził do łóżka. Wczepiałam się wtedy w niego, jak szczenię w swoją matkę. Przygarniał mnie umięśnionym ramieniem i tak trwaliśmy w milczeniu do świtu, nie chcąc, by sen zabrał nam coraz bardziej ulotne momenty bycia razem.

Nie trzeba było długo czekać, by po zabiciu Amerykanów, do Wybrzeża Moskitów dopłynęło czterystu amerykańskich marines. To był

sygnał dla wzrastającej w siłę Partido Conservator i części liberałów, którym nie pasował despotyczny władca, że nadszedł czas na dokonanie przewrotu. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia Zelaya został zmuszony do opuszczenia pałacu prezydenckiego. Zastąpił go niejaki Jose Madriz. Miałam nadzieję, że nadal są szanse na pokojowe rozwiązanie, bo Madriz, choć należał do przeciwników Zelayi, pochodził z Leon i wywodził się z partii liberalnej. Konserwatyści mieli jednak apetyt na więcej. Mając oparcie w Wielkim Bracie, liczyli na powrót do władzy. Liberałowie z kolei, pomni niechlubnej historii z Walkerem, nie chcieli się zgodzić na tak wielkie wpływy Stanów. Ci, którzy niedawno razem szturmowali siedzibę Zelayi, stali się teraz śmiertelnymi wrogami. Granice Nikaragui stały się otwarte dla napływających marines. Gustavo nie mógł tego przeżyć. Przeczynałam, że mój ukochany weźmie udział w tej awanturze.

Dzień przed wigilią wrócił wcześniej niż zwykle. Plamy potu zalewały jego białą koszulę. Usiadł ciężko w fotelu, jakby resztkami sił dotarł do tego miejsca.

– Evo – brzmienie jego głosu przygniotło moje piersi niczym kamień. – Musimy opuścić ten dom.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wbiłam w niego wzrok wyczekująco.

– Już nie jestem tu mile widziany – wyjaśnił.

– Zamieszkamy w twoim starym mieszkaniu? – Byłam na to przygotowana.

– Na razie zamieszkaś z Barbarą.

– Jak to zamieszkaś? A ty? – Już nie kamień, a głąz przycisnął moje serce.

– Ja jestem potrzebny prezydentowi.

– Jakiemu prezydentowi? – gorączkowałam się. – Nie należysz chyba do ulubieńców Madriza.

– Nie bądź naiwna. Wiadomo, że chodzi o Zelayę. – Gustavo jednym haustem przechylił szklankę whisky.

– A gdzież on jest do licha?

– Musi wyjechać z Managui.

– I ty jesteś mu niezbędny? Do czego? On się skończył! Ludzie go

nienawidzą! Nie ma szans na powrót! – dyszałam ciężko z wściekłości.

– Evo – powiedział stanowczo. – Byłem z nim od początku. Wiele mu zawdzięczam. Nie jestem szczurem, który ucieka z tonącego statku.

– A mnie i dziecku nie jesteś potrzebny? Mniej dla ciebie znaczę niż ten przeklęty Zelaya.

– On jeden nie pozwolił na amerykańską okupację! – jego głos przybrał wojskowe brzmienie. Zrozumiałam, że Gustavo już podjął decyzję i jest głuchy na moje błagania. – Kocham cię, ale nie zapominaj, że jestem zawodowym żołnierzem. I patriotą. Nie mogę patrzeć, jak Jankesi zalewają Nikaraguę. – Objął mnie i pocałował w mokry od łez policzek. Odsunęłam go od siebie. Już kiedyś słyszałam coś podobnego.

– Długo się tobą nie nacieszyłam – stwierdziłam oschle.

– Mówisz, jakbym już nie żył.

Milczałam. Byłam otepiała z bólu. Dopiero w sypialni rzuciłam się na łóżko i zawylałam jak zranione zwierzę. Po raz pierwszy nie dusiłam szlochu w poduszce. Wykrzyczałam swoją wściekłość i bezradność. Wykrzyczałam swój żal do Federico i Gustavo. Jakże nienawidziłam wtedy tej Nikaragui, ziemi, z którą obaj mnie zdradzili, ziemi przesiąkniętej krwią, ziemi wiecznej niezgody, przechodzącej jak płatna kochanka z rąk do rąk konserwatystów i liberałów.

Gustavo nie odważył się przyjść do mnie. Całą noc spędził w swoim gabinecie, gdzie zamiast świętego obrazu nad biurkiem wisiał portret wąsatego mężczyzny, który okazał się ważniejszy ode mnie. W wigilijny poranek, zanim wyszedł, wydał dyspozycję Rosie, by zaczęła nas pakować. Jeszcze tego samego dnia cztery kufry i dwie skrzynie z naszym dobytkiem przejechały powozem do domu Barbary.

ROZDZIAŁ XXVII



To było najsmutniejsze Boże Narodzenie w moim życiu. Brzemienna, odrzucona, bezdomna, prawie jak Święta Panienka, tyle że jej mąż trwał przy niej w tych trudnych chwilach, a mój ukochany przepadł bez wieści.

Domyślałam się, że Barbara coś wie, ale dla mojego dobra nie wtajemnicza mnie w plany Gustavo. Cały czas gdzieś wychodziła, z kimś się spotykała. Nie umiała po babsku paplać bez ładu i składu, więc wołała zamykać się w osobnym pokoju, bylebym tylko nie wypytywała jej o brata. Nie zadbała o szopkę ani uroczysty obiad. Gdyby nie Rosa, która wyciągnęła mnie do kościoła, w ogóle nie odczułabym, że jest jakieś święto.

Wyszłam na ulice po wielu dniach odosobnienia, by ujrzeć, jak konserwatyści hucznie fetują obalenie Zelayi. O tym, jak gorzkie było to zwycięstwo, mieli się niedługo przekonać. Przyjaciel z północy, który pomógł im przejąć władzę, rozpanoszył się w Nikaragui na wiele lat i faktycznie sprawował władzę, kontrolując ich marionetkowy rząd.

Wiadomość o śmierci Gustavo dotarła najpierw do Barbary. Ponoć eskortował prezydenta do granicy, ale potem zawrócił do Managui. Zelaya znalazł schronienie w Meksyku, a Gustavo po drodze wdał się w potyczki z amerykańskimi żołnierzami.

Kiedy Barbara przekroczyła tylko próg swego mieszkania, od razu wiedziałam, co się stało. Nie musiała nic mówić, zresztą nawet nie zdołała, osuwając się na podłogę.

Chciałam umrzeć. Pragnienie śmierci było silniejsze niż jeszcze niedojrzały instynkt macierzyński. Nie pomogło kopanie w trzewia niemal sześciomiesięcznego dziecka. Nie wyobrażałam sobie, że możemy żyć bez Gustavo, ani ja, ani jego maleństwo. Zabrakło mi tylko odwagi, by dokonać samounicestwienia. Modliłam się zatem o śmierć.

Targały mną potworne wyrzuty sumienia, że zawrócił dla mnie. Gdyby do końca pozostał wierny prezydentowi, prawdopodobnie by żył, a tak nawet nie wiedziałam, gdzie poniewiera się jego piękne ciało. Barbara obiecała, że poruszy niebo i ziemię, by sprowadzić zwłoki brata, ale na razie, mimo swojego cierpienia, czuwała przy mnie z Rosą dzień i noc. Indianka wlewała mi do ust swoje napary, po których zapadałam w wielogodzinny sen. Spałam w łóżku, które nie tak dawno przygarnęło dwoje spragnionych kochanków. Choć od tego czasu Barbara zmieniała pościel już pewnie kilka razy, wciąż wydawało mi się, że czuję zapach Gustavo.

Po dwóch tygodniach letargu musiałam powrócić do żywych. Barbara dostała ostrzeżenie, że powinna wyjechać z Managui, w której po raz kolejny odwróciły się role – prześladowani zmienili się w prześladowców. Barbara była na czarnej liście. Musiała się spieszyć. To mnie ostatecznie otrzeźwiło. Przestałam się modlić o śmierć, a zaczęłam zastanawiać, co mam ze sobą począć. Nie chciałam być ciężarem dla niedoszłej bratowej, choć ta była zdecydowana zabrać mnie ze sobą do swoich dalekich krewnych mieszkających w okolicy San Jose. Stamtąd planowała udać się do Kostaryki i przeczekać najgorszy okres poza granicami Nikaragui. Rosę miała przygarnąć jedna z córek, która mieszkała w Diriambe, tam gdzie moja siostra Isabel.

Właściwie to nie widziałam dla siebie innego wyjścia, jak tylko powrót do rodzinnego domu. Moje niedołęstwo spowodowane ciążą mogło udaremnić cały plan Barbary, nie wspominając już o rozwiązaniu w nieprzewidzianych okolicznościach.

Nie uśmiechało mi się zawitać do Nandaime jako niewierna żona nosząca pod sercem bękarta. Wiadomość rozniosłaby się lotem błyskawicy po całej okolicy i naraziłaby na hańbę mojego ojca i siostry. Oczami wyobraźni widziałam, jak pobożne kobiety odsuwają się ode mnie w kościele. Nie chciałam, by moje dziecko było wytykane palcem i czuło się gorsze z powodu braku ojca. Dopiero teraz zrozumiałam sens utrzymywania w tajemnicy mojego pochodzenia i poczułam prawdziwą wdzięczność dla Eduardy za to, że tak bardzo starała się wychowywać mnie jak swoją córkę. Tyle że w moim przypadku nie było możliwości ukrycia czegokolwiek. Cięża była już widoczna, a ja wciąż

pozostawałam żoną Federico.

Przy Gustavo nie myślałam o tym wcale. Wierzyłam, że Federico zdecyduje się w końcu podpisać list rozwodowy, jaki po raz kolejny przygotował Gustavo i przynajmniej w świetle prawa moje dziecko będzie pochodziło z legalnego związku. Zabrakło nam jednak czasu...

Jeszcze tylko dwa dni dzieliły mnie i Barbarę od opuszczenia Managui. Myśl o powrocie w okolice Granady trawiła mnie niczym gorączka. Rumieniec spóźnionego wstydu pokrywał moją twarz tak, że Barbara zaczęła się martwić, czy tuż przed wyjazdem nie dopadła mnie jakaś choroba. Nie udało mi się jej przekonać, że nic poważnego mi nie dolega i pobięła sprowadzić doktora Martineza. Spędzałam ostatnie popołudnie z ukochaną Rosą, kiedy nagle rozległo się zdecydowane pukanie do drzwi. Zerwałyśmy się obie na równe nogi, ale żadna z nas nie kwapiła się sprawdzić, kto jest niespodziewanym gościem. Pukanie przybrało na mocy. Rosa zostawiła mnie w sypialni i na ugiętych nogach poszła do kuchni. Kiedy wróciła, jej czekoladowa skóra przybrała odcień kawy z mlekiem.

– To ktoś do ciebie – wykrztusiła. – Federico Barroso.

Moje zdumienie było tak dalekie, że zapomniałam, że wciąż pozostawałam ubrana w nocną koszulę, a moje włosy nie widziały szczotki. Tak jak wstałam z łóżka, wyszłam na spotkanie z kimś, kto podawał się za mojego męża. Istotnie, był to Federico. Po kilku latach rozłąki wpatrywałam się w niego z zaciekawieniem. On też mierzył mnie wzrokiem. Byliśmy jak pies i kot, które niespodziewanie spotkają się w ciasnej uliczce. Oboje nie wiedzieliśmy, czego możemy się po sobie spodziewać. Sylwetka Federico nabrała ciężkości, jego gęste włosy nieco posiwiały, delikatne rysy twarzy nabrały surowości, nos wydał się jeszcze większy. Przedemną stał mężczyzna. Dojrzały. Poważny. Inny. Niezmienne pozostało upodobanie do granatowej marynarki i błękitnego krawata, które podkreślały kolor jego oczu. Patrzył na mnie łagodnie, bez nienawiści i wzdry, której się spodziewałam.

– Co cię tu sprowadza, Federico? – zapytałam.

– Chcę ci pomóc – powiedział cicho, ale wyraźnie usłyszałam, jak zmienił się tembr jego głosu, był przyjemnie niski.

– Ty? Mnie? – pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Gustavo miał wielu wrogów. Był tak fanatycznym wielbicielem Zelayi, że trochę osób straciło przez to głowę.

– Ale on przecież...

– Wiem – przerwał mi – ale zemsta może osiągnąć teraz także ciebie.

– Jak możesz mi pomóc? – usiedliśmy naprzeciw rozdzielni blatem stołu.

– Wyjedziesz do Francji. Do mojej rodziny. Na jakiś czas. Musisz teraz zniknąć z Nikaragui.

– Wyjazd do rodziny Laury? Boże, to niedorzeczne. Twoja matka...

– Wie o tym.

Teraz pozostało mi uświadomić Federico, który najwyraźniej nie zauważył mojego stanu, że nie pozostało mi wiele czasu na podróżowanie.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – zaczęłam niepewnie.

– Nie masz większego wyboru, chyba, że twój ojciec jest ci w stanie zorganizować jakiś wyjazd. Chyba nie zamierzasz powrócić do Nandaime? Naraziłabyś siebie i...

– Jestem w ciąży – przerwałam mu.

Żrenice Federico powiększyły się znacznie.

– Jak to możliwe? – wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem.

– Jesteś trochę okrągłejsza, ale ciąża... Przecież nie możesz mieć dzieci – głośno się zastanawiał. – Bo skoro ty możesz, to znaczy, że ja...

– Szósty miesiąc.

– W takim razie musimy się pospieszyć. – Unikał mojego wzroku.

– Jutro przyniosę ci odpowiednie dokumenty. Bądź przygotowana, że jeszcze w tym tygodniu wyjedziesz.

– Dlaczego to robisz?

– Bo wciążnosisz nazwisko Barroso. – Wstał od stołu i skierował się w kierunku drzwi. Nie spojrzał w moją stronę.

– Poza tym, ciąży mi dług wdzięczności wobec ciebie. Mam okazję go spłacić.

Kiedy wyszedł, dyskretna zazwyczaj Rosa nie powstrzymała się, by natychmiast wtargnąć do kuchni.

– Dobrze się czujesz? – spytała zatroskana, widząc, jak położyłam na stole ciężką od wrażeń głowę.

– Uhm...

– Posłuchasz go? – Rosa nie kryła się z tym, że cały czas podsłuchiwała, ale właściwie to nie miałam przed nią tajemnic.

– Nie wiem. Myślisz, że jest aż tak źle? Że muszę uciekać?

– Cóż... kochałam Gustavo jak syna, ale wiesz, był wojskowym, musiał być bezwzględny dla swoich wrogów.

– Aż tak, że teraz ja mogę za to zapłacić? – Zastanawiałam się, z kim dzieliłam łożę przez ostatni czas.

– Zemsta wychodzi nawet zza grobu. Jesteśmy krewkim i pamiętliwym narodem. – Rosa pozbawiała mnie złudzeń.

– Mam zaufać Federico? Po tym, co mu zrobiłam?

– Głuptasie, on nie przestał cię kochać. Inaczej by go tu nie było. – Indianka pogładziła mnie po głowie po matczynemu. – Masz szczęście do pięknych mężczyzn, Evo.

Słowa Rosy nie dawały mi spokoju. Ona miała niesamowity instynkt. Kiedy trzeba było, uspokajała mnie, ale teraz nie pozostawiała złudzeń co do tego, że jestem osaczona. Znowu byłam rozdarta. Nie mogłam uwierzyć, że czuły i troskliwy dla mnie Gustavo mógł być oprawcą dla innych. Dlaczego Federico zadał sobie tyle trudu, by mnie odnaleźć i zechcieć chronić? Był wstrząśnięty moją ciążą, to pewne, ale czy żywił do mnie jeszcze jakieś uczucie? Czy mi wybaczył, że go zostawiłam? Czy jego hiszpańsko-francuska duma pozwoliła mu zapomnieć, że byłam kochanką jego przeciwnika? Dopiero kieliszek rumu ukoił rozrywaną przez ból głowę i zwolnił rozdygotane serce. Tego było dla mnie za wiele.

– Jedź ze mną – zwróciłam się do mieszającej gotującą się kukurydzę Rosy.

– Ja do Europy? – Rosa roześmiała się, ukazując rząd wciąż białych, o dziwo, ledwo dotkniętych próchnicą zębów. Może dlatego, że stale przeżuwała jocotes z chili. – Moje miejsce jest tutaj. Wolałbym umrzeć, niż tułać się po świecie.

– Nie chcę być sama. Potrzebuję kogoś, kto mnie kocha – rozplakałam się.

– Nie będziesz sama... Jestem tego pewna. Zresztą cały czas masz kogoś, kto cię kocha. – Poglądziła mnie po brzuchu. – Będę się za ciebie modlić.

Następnego dnia Federico pojawił się z dokumentami. Jego możliwości uświadomiły mi, że jest teraz w grupie wygranych. Liniowiec odpływał do Francji za kilka dni. Federico zobowiązał się dowieźć mnie do portu San Juan del Norte i oddać pod opiekę znajomej francuskiej rodziny, która podróżowała do samego Paryża, gdzie i ja miałam dotrzeć. Obiecał również przekazać list mojemu ojcu, w którym wyjaśniłam moje położenie. Ukradkiem wciąż spoglądał na mój brzuch, jakby chciał się upewnić, czy istotnie w środku kryje się dziecko. Opuszczałam mieszkanie Barbary przerażona, jakbym szła na szafot. Nie uрониłam jednej łzy, żegnając się z nią i Rosą, strach zamroził moje uczucia. Nie było zresztą czasu na długie pożegnania. Przed domem w samochodzie czekał Federico.

Droga na karaibskie wybrzeże okazała się dla mnie wyjątkowo trudna. Najnowszy wynalazek posłużył nam do pokonania zaledwie jednej ósmej drogi, potem niosły nas na grzbietach poczciwe muły, a na końcu płynęliśmy łodzią wraz z nurtem rzeki San Juan. Towarzyszyła nam para młodych Indian. Kobieta troszczyła się o mnie, a mężczyzna usługiwał Federico. Strasznie się bałam, czy w czasie tak uciążliwej podróży nie ucierpi moje dziecko, ale Federico zapewniał mnie, że nic nie może być bardziej ryzykowne niż pozostanie w Nikaragui.

W czasie drogi bardzo się rozżaliłam. Nie potrafiłam powstrzymać łez nawet w obecności Federico.

– Twój płacz boli mnie bardziej niż zdrada – rzucił pewnego dnia, sądząc, że oplakuję Gustavo. – Musiałaś go bardzo kochać.

Po części wylewałam rozpacz po stracie kochanka, ale nie tylko to było źródłem wartkich strumieni żłobiących bruzdy w moich policzkach. Byłam przerażona tym, co mnie czeka.

ROZDZIAŁ XXVIII



Dwa tygodnie na pełnym morzu. Sama ze swoimi myślami. Ostatnie spojrzenie na Nikaraguę i stojącego na portowej rampie Federico na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Oddzielała nas coraz szersza szmaragdowa wstęga. Podróżni już dawno przestali machać i udali się do swoich kabin. Tłum żegnający podróżnych też szybko się rozproszył. W oddali majaczyła tylko jedna postać, która pozostała na brzegu.

Czułam, że już tu nie wrócę, że zostawiam bliskich, tych żywych i martwych, ulewne deszcze i niespotykane barwne tęcze, kawowe wzgórza i indiańskie modlitwy. Serce rozrywał mi smutek. Jedyne świadomość, że uciekam, by ochronić moje dziecko, pozwoliła mi to wszystko jakoś przetrwać.

Wszystkie moje zmory, lęki i wyrzuty sumienia zamieszkały ze mną w kabinie *de lux*. Taką opłacił mi mój mąż. Gdy zobaczyłam królewskie pomieszczenie z ogromnym łóżem i przestronnym balkonem, pomyślałam, że powinniśmy być tu razem kilkanaście lat temu, w podróży poślubnej do Paryża. Już lepiej mogłam mieszkać w skromnej kajucie na niższym pokładzie, niż móc spacerować po słonecznych tarasach, jeść w wykwintnych restauracjach, oglądać występy teatralne, słuchać koncertów. W apartamencie małżeńskim było stanowczo za dużo miejsca dla mnie samej.

Po kilku dniach jednostajnej podróży rwący ból tęsknoty ustąpił. Już nie zadawałam sobie pytania, dlaczego moje życie musi się tak więc niepokornie, dlaczego nie mogę być niczego pewna, dlaczego nie wiem, co czai się tuż za rogiem. Kołysząc się wraz z ogromnym liniowcem po szafirowych falach, poddałam się myśli, że prowadzi mnie ktoś większy. Nie muszę nawet próbować ruszać rękami, by się utrzymać na powierzchni. Ktoś to robi za mnie. Szkoda tylko, że nie ma dla niego

żadnego znaczenia to, czego ja pragnę.

Państwo Laurent, którzy mieli się mną opiekować, podróżowali z trojgiem uroczych dzieci w wieku od dwóch do ośmiu lat. Byli bardzo przejęci rolą opiekunów samotnej, ciężarnej kobiety. Zaglądali do mnie każdego ranka z pytaniem, czy dobrze się czuję i czy czegoś mi nie potrzeba. Potem spotykaliśmy się na śniadaniu w kryształowej restauracji, obiedzie w sali perłowej i kolacji w sali złotej.

Zorientowałam się, że Federico przedstawił mnie jako swoją żonę i musiałam cierpliwie znosić szczebiot pani Laurent:

– Niech się pani nie martwi. Mąż zapewne wkrótce do pani dołączy. Musi się cieszyć z waszego dzidziusia. Ciekawe, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Wygląda pani tak pięknie, że są widoki na chłopca.

Mogła tak gruchać godzinami. Uśmiechałam się tylko i nie siliłam nawet na podtrzymywanie kurtuazyjnej rozmowy, zazwyczaj wymawiając się złym samopoczuciem spowodowanym chorobą morską. Kiedy już dość zmęczyło mnie samotne przebywanie w kabinie, przemogłam się wreszcie i zaczęłam towarzyszyć pani Laurent w spacerach po tarasie na najwyższym pokładzie. Wtedy komplementowałam jej imponujące stroje, które zmieniała do każdego posiłku i uroczę dzieci, którymi opiekowała się głównie niania. Moja garderoba, surowa i bez polotu jak u proletariuszki, zupełnie nie pasowała do przepychu, który zewsząd mnie otaczał. Nigdy nie przywiązywałam wielkiego znaczenia do aktualnej mody, ale zauważyłam, że suknie pani Laurent były innego kroju niż te, które nosiły elegantki z Managui. Widać paryskie trendy docierały z opóźnieniem na nikaraguańskie salony.

Mój brzuch był już sporych rozmiarów i z bólem serca musiałam wydać całkiem pokaźną sumę na zakup sukienek w jednym z ekskluzywnych butików liniowca. Muszę dodać, że wszelkie fundusze, jakimi dysponowałam w trakcie podróży, pochodziły z kieszeni Federico, bo z moich oszczędności mogłabym sobie zakupić co najwyżej kilka par jedwabnych pończoch. Nowe kreacje były już jak najbardziej na czasie i w dodatku okazały się niezwykle praktyczne – luźne w talii.

Anna Laurent oczywiście pomagała mi w trakcie zakupów. Cóż

zresztą miała innego na głowie. Dzieci przez cały dzień wyżywały się na niani, a jej mąż Jean-Pierre spędzał z nią mało czasu. Był zajęty interesami, które przywiodły go do Ameryki. Jean-Pierre niczym pies gończy węszył, gdzie pachnie dużymi pieniędzmi i kiedy złapał trop, natychmiast tam podążał. A wraz z nim cała jego liczna rodzina. Annie nie starczyło palców obu dłoni, gdy wyliczała miejsca na całym świecie, w których już mieszkali. Ostatnio na dłużej zatrzymali się w Panamie, gdzie firma Laurent uczestniczyła w budowie kanału panamskiego. Kiedy ponownie ledwie zarysowywała się koncepcja budowy drugiego takiego kanału na terenie Nikaragui, Jean-Pierre przeniósł się wraz z rodziną do mojej ojczyzny z nadzieją przechwycenia dużego kontraktu. Niestety, ostatnie krwawe wydarzenia i kolejny amerykański potop zawróciły go z powrotem do Francji. Kolejny Francuz, który zawiódł się na Nikaragui. To był jednak urodzony przedsiębiorca i nie marnował czasu nawet w trakcie rejsu. Lotem błyskawicy zawierał nowe znajomości i w międzynarodowym gronie inwestorów obmyślał nowe strategie zarobienia kolosalnych pieniędzy. Właściwie towarzyszył rodzinie tylko w posiłkach, ale wtedy widać było, z jaką atencją traktuje piękną żonę.

– Niektóre kobiety mają wszystko. – Patrzyłam na nich z zazdrością. – Kochającego męża. Gromadkę dzieci. Dom. Jaki jest sekret takiej przychylności losu?

O tym, że zbliżamy się do Europy, uprzedzał narastający ziąb. W Nikaragui temperatura nie schodziła poniżej dwudziestu sześciu stopni Celsjusza przez niemal cały rok, a we Francji dopiero zaczynało się przedwiośnie.

Państwo Laurent byli tak uprzejmi, że zadbali o to, bym dotarła do Paryża pod wskazany przez Federico adres. Do rodziny jego matki. To było równie irracjonalne, jak to, że Zelaya znalazł schronienie w Nowym Jorku. A jednak zamieszkałam nie gdzie indziej, tylko u siostry ciotecznej Laury Barroso. Widać nie dotarły za ocean wieści o niechlubnej synowej, bo Charlotte de Mailly, była przekonana, że wkrótce urodzę dziecko jej siostrzeńca. Pozwoliła mi zająć nieduży pokój w kamienicy przy Rue Sainte-Anne.

Paryż nie zauroczył mnie tak, jak się tego spodziewałam. Może

dlatego, że nie przyjechałam tu rozkoszować się blichтром i światowym życiem. Byłam na zesłaniu. Przymusowej podróży po poślubnej. Byłam sama. Minęło wiele czasu, zanim przyzwyczaiałam się do gąszczu domów o jednolicie szarych dachach i fasadach. Ludzie też wyglądali tak samo, jedynie białe twarze. W moim kraju domy i ich mieszkańcy tętnili kolorami. Górząca nad miastem stalowa konstrukcja nie mogła zachwycić kogoś, kto miał zawsze nad głową ośnieżone szczyty wulkanów. Rozluźnienie obyczajów nawet dla mnie, bękart, który nosił w brzuchu kolejne dziecko z nieprawego łoża, było zbyt rażące. Słowem, byłam zbyt rozpustna jak na Nikaraguę, a zbyt święta jak na Paryż.

ROZDZIAŁ XXIX



12 marca 1910 roku w paryskim szpitalu Hotel-Dieu przyszła na świat Maria Gustava de Barroso. Czemu nie de Oliveira? Nie chciałam od razu komplikować życia mojej córce. Zwłaszcza, że wciąż opiekowała się mną rodzina Federico. Madame de Mailly była nawet na tyle uprzejma, że zawiozła mnie do szpitala, kiedy sprowadzona do domu położna przeraziła się leciwą pierworódką.

– Z takimi są kłopoty – zawyrokowała.

Kłopoty były nie lada, ale jedno spojrzenie w granatowe oczy córki wynagrodziło mi trud wielogodzinnych męczarni. Jako jedyne dziecko na oddziale miała bujną czarną czuprynę, co ucieszyło mnie niezmiernie, bo obawiałam się, że odziedziczy po von Badenbrockach rude włosy i piegowatą cerę. Mia, bo tak oczywiście nazywałam ją na co dzień, od razu łapczywie przyssała się do mojej piersi. Byłam obecna w tej chwili całą sobą, żadna cząstka mojego jestestwa nie błędziła w przeszłości, ani w przyszłości, zalała mnie wdzięczność, że mogłam doświadczyć tego uczucia. Warto było się dla niej zмагаć całe życie. Choć moje ciało było osłabione wydaniem na świat tego cudu, odkryłam w sobie pokłady jakiejś niepojętej siły. Ta energia płynąca do mnie z góry i z dołu przesywała mnie na wylot, wypełniała mnie. Już się nie bałam. Uwierzyłam Rosie, że Bóg prowadzi nas do celu krętymi ścieżkami. To był mój cel.

Do chrztu Mia powędrowała na własnych nogach, tak długo zwlekałam z dopełnieniem tego rytuału. Pragnęłam ją ochrzcić po powrocie do Nikaragui, bo tu nie widziałam nikogo godnego roli jej rodziców chrzestnych. W końcu, z bólem serca, nakłoniłam Charlotte i jej młodszego o dwadzieścia lat utrzymana – Xaviera, by zostali rodzicami chrzestnymi Mii.

Kiedy moja córka skończyła dwa lata, wyprowadziłam się od ciotki

Federico. Dość miałam narzekania, że czasy trudne, wojna za pasem, a Federico nie zwiększył przekazów nawet o franka, mimo że stan liczebny osób do utrzymania bezapelacyjnie się zwiększył. Chyba też Charlotte zaczęła się domyślać, że nasze małżeństwo niekoniecznie ma widoki na przyszłość. Czekałam na wiadomość, że mogę wracać do Nikaragui, ale skoro nie nadchodziła, postanowiłam wziąć w swoje ręce życie moje i mojej córki.

Zaczęłam udzielać lekcji angielskiego i hiszpańskiego, aby nie liczyć wyłącznie na rodzinę Federico. Charlotte bez mrugnięcia okiem inkasowała całą sumę, jaką udało mi się zarobić. Pomyślałam wówczas, że mogę zacząć żyć bez poczucia winy i płacić komuś innemu za dach nad głową. Lekcje pozwalały mi na wynajem małej mansardy na poddaszu jednej z podupadłych kamienic w Dzielnicy Łacińskiej.

Okazało się, że umiem sobie radzić lepiej, niż się spodziewałam. Chodziłam po domach ludzi zamożnych, a ci biedniejsi przychodzili do mnie. Korepetycjami płaciłam też za opiekę nad Mią, kiedy musiałam zostawić ją samą. Kiedy tylko mogłam, brałam córeczkę ze sobą. Było mi ciężko, ale w Paryżu żyje się inaczej. Takich kobiet jak ja, samotnie wychowujących dzieci, było równie dużo, jeśli nie więcej niż przykładnych mężatek. Wiele z nich nie gardziło statusem utrzymanki, ale ja nie dałam się namówić mojej gospodyni na sprowadzenie bardzo porządnego adwokata, którego żona od lat ciężko choruje. Mógłby mi pomóc finansowo w zamian, jak to określiła, za odrobinę czułości. Jako samotna imigrantka z dalekiej Nikaragui musiałam zarazem intrygować, jak i wzbudzać litość. Usłyszałam niejedną propozycję opieki od ojców dzieci, które uczyłam.

Tuż przed czwartymi urodzinami Mii do Francji przyплыł Federico. Towarzyszyła mu świeżo owdowiała Laura. Trzy miesiące wcześniej serce Fernando na dobre odmówiło posłuszeństwa. Laury już nic nie trzymało w Nikaragui. Całe lata wdychała do Francji i na każdym kroku podkreślała swoje pochodzenie. Zaprażyła ostatnie lata życia spędzić wśród swoich krewnych.

Federico z kolei postanowił wyjechać z kraju całkowicie zawładniętego przez Amerykanów, których sam z narażeniem życia ściągnął do Nikaragui. Nie tak wyobrażał sobie jednak pomoc Wielkiego

Brata. Mocno rozczarowany, rozstał się z polityką na zawsze. Próżno szukał spokoju w Europie. Za kilka miesięcy miała wybuchnąć wojna, której pożoga ogarnęła prawie cały kontynent, a nawet resztę świata.

To było niesamowite odczucie – zobaczyć go w drzwiach mojego pokoju na poddaszu. Chciałam mu się rzucić na szyję, ale pocałowałam go tylko w policzek jak dobrego przyjaciela. Mia przywitała go zaskakująco radośnie, usiadła mu na kolanach i nie chciała wypuścić, kiedy szykował się do wyjścia. Sądzę, że to skłoniło go do kolejnych wizyt. Przywiózł mi listy od ojca i sióstr, co oznaczało, że musiał się wybrać do Nandaime. Ojciec chorował na reumatyzm i plantacją zarządzał jego młodszy zięć Alvaro, mąż Pauli. Paula urodziła tylko jedno dziecko, za to Isabel miała ich kilkanaścioro. Eduarda z radością odnalazła się w roli babci. Żyli całkiem dobrze i nie wyglądało na to, by obchodziło ich, kto teraz rządzi w kraju.

Federico musiało brakować bratniej duszy w przerażająco wielkim dla Nikaraguańczyka mieście, bo zaczął mnie odwiedzać z dość dużą regularnością. Ubolewał, że mieszkamy z Mią w tak skromnych warunkach, ale nie zgodziłam się przyjąć od niego pieniędzy. Nasze rozmowy krążyły wokół granadyjskiej kuchni, narzekaliśmy na zbyt mało słońca i nieumiejętność parzenia przez Francuzów wystarczająco aromatycznej kawy.

Jeszcze przed wybuchem wojny Federico zakupił przestronny dom na obrzeżach Paryża. Po pół roku zamieszkaliśmy razem. Laura wybrała mieszkanie u ciotecznej siostry.

Budowaliśmy nasze małżeństwo od nowa, na obcej ziemi, dojrzałym, ubrudzeni przez życie. To nie była namiętność, która łączyła mnie z Gustavo. To była spokojna, ciepła miłość dająca bezpieczeństwo mnie i mojemu dziecku. Miłość latami hartowana bólem i zdradą. Miłość, której starczyło nam jeszcze na prawie dwadzieścia lat. Federico traktował Mię jak rodzoną córkę. Spontanicznie ją pokochał. Okazało się, jak bardzo pragnął mieć dzieci. Czasami zastanawiam się, czy Gustavo byłby równie dobrym ojcem, tak cierpliwym i czułym. Federico stoczył o Mię batalię z własną matką, która z czasem pogodziła się z faktem, że jej syn oddał serce dziecku mojego kochanka. Całe swoje kosztowności, które przywiozła ze sobą z Nikaragui, Laura zapisała Mii.

Pomiędzy mną a nią lody stopniały dopiero po śmierci Federico, bo Laura przeżyła swego ukochanego syna o rok i pięć miesięcy. Niewyobrażalnie wielki ból roztopił jej dumę. Zdążyłam jeszcze uścisnąć jej rękę, zanim odeszła. Musiałyśmy się mocno poranić, by nauczyć się wybaczać.

Całe życie balansowałam na granicy dwóch światów, cały czas targało mną poczucie winy, że kogoś zdradzam. Teraz wiem, że mylą się ci, którzy dzielą wszystko na czarne i białe, dobre i złe, słuszne i niesłuszne. Nie mają racji ci, którzy odgradzają się murem przekonań i bronią go z narażeniem życia. Ten mur jest iluzją, nieuchwytną tęczą, dla której nie sposób wyznaczyć początek i koniec. Ludzie po obu jej stronach chcą kochać i chcą być kochani. Tylko o to jest sens walczyć. Tylko z tego powodu warto umierać.

ROZDZIAŁ XXX



Kochana Mamusiu!

Minął miesiąc, jak dotarłam do Nikaragui. Jest tak, jak mówiłaś, nie, jest jeszcze piękniej. W życiu nie widziałam tak intensywnej zieleni, tylu wulkanów na raz i tak różnobarwnych kwiatów. Rzeczywiście, tęcze pojawiają się tu nadzwyczaj często.

Ludzie, których spotkałam dotychczas, byli bardzo serdeczni. Zwłaszcza, kiedy dowiadawali się, co mnie tu sprowadza.

Dotarłam do Nandaime. Nie wyobrażasz sobie, jakie miała oczy ciotka Paula, kiedy oświadczyłam jej, kim jestem. Porwała mnie w objęcia i szlochała ze wzruszenia. Ponoć mam twoje oczy. Jej syn Antonio dojechał kilka dni później. Przystojny ten mój kuzyn, aż żal, że jesteśmy tak blisko spokrewnieni. Ma dwadzieścia pięć lat, dwa lata młodszy ode mnie, ale nie widać różnicy wieku. Skończył medycynę. Pracuje w szpitalu w Leon.

Ciocia zorganizowała rodzinne spotkanie, na które zdołała ściągnąć całą rodzinę, także twoją drugą siostrę. Isabel przyjechała z córkami, bo jej mąż Alfredo zmarł dwa lata temu. Ma cztery córki, z których jedna, Anna, nie wyszła za mąż i wciąż z nią mieszka. Olivia i Cara mieszkają w Granadzie. Eva wyjechała do Managui. Ma także dwóch synów, Juana i Franco. Juan zarządza plantacją w San Marco, a Franco jest zawodowym żołnierzem. Cudowna ta moja rodzina, dobrze, że ich poznałam.

Kawowe imperium jest imponujące, wujek Alvaro dba i rozwija dzieło babki Gertrudy i Matyldy, dokupił sporo ziemi gdzieś na północy i sprowadził jeszcze szlachetniejsze odmiany kawowców. Przyjechałam akurat w okresie kwitnienia i biały puch fruwał po całym domu. Zupełnie jakby sypał śnieg.

Odwiedziłam wszystkie cmentarze – w Nandaime byłam na grobie

von Badenbrocków, w Granadzie odnalazłam grób ojca taty, Fernando. Nic mi nie wspomniałaś, że obok dziadka jest jeszcze pochowany niejaki Domenico Barroso, który żył zaledwie rok. Grobowiec jest niebywały – nie uwierzysz, ale przypomina miniaturę katedry Notre Dame.

Pojechałam także do Leon, by odwiedzić grób babci Julie i tu muszę cię zmartwić, nie znalazłam go. Wyjaśniono mi, że jak nikt nie opiekuje się grobem, to po pewnym czasie można w tym miejscu chować kogoś innego. Przykro mi, Mamo, ale wierzę, że dla Julie to nie ma większego znaczenia. Grobu ojca także nie ma, a przecież wciąż żyje w twoim sercu. Ciotki Barbary też nie znalazłam. Jeszcze. Bo na razie nie zamierzam wracać do Francji. Tu się dużo dzieje. Ten kraj sam jest jak wulkan. Piszę, piszę, piszę. Będzie niesamowity reportaż. O ile mnie nie wsadzą. Żartuję, oczywiście.

Kocham cię Mamusiu, dbaj o tatę. Wiem, że niewiele już do niego dociera, ale mimo to przeczytaj mu ten list ode mnie. I babci Laurze też. Na pewno ucieszyliby się, że byłam u dziadka Fernando. Całuję Was mocno.

Wasza Mia

KONIEC

Po tamtej stronie tęczy

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-298-5

© Katarzyna Anna Gieracz i Wydawnictwo Novae Res 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Agnieszka Juskowiak-Sawicka

KOREKTA: Bartłomiej Kuczkowski

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl,

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



